



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

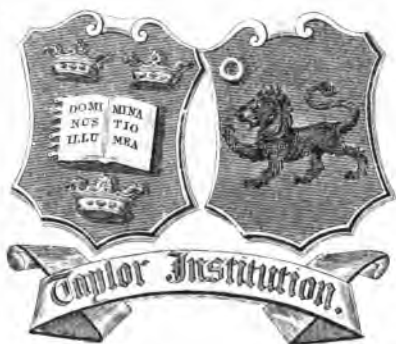
- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



~~168 d. 13.~~



REP. SLAV. 7711

PG 7160 K9 A2 W9 (13)



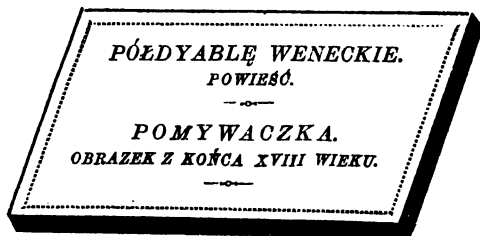
302820358V

WYDANIE JUBILEUSZOWE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM XIII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatą.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki, Nr. 2.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Юни 1879 г

PÓŁDYABŁĘ WENECKIE.

L' amor comincia con suoni e con cant
Et poi finisce con dolori e pianti...

Piosnka ludowa

Cofnąć się potrzeba aż w przeszłość, chcąc pocieszyć oryginalnością ludzkich charakterów, samoistnością człowieka, który dawniej urabiał się mniej do formy jednej, swobodniej jakoś wedle żyjącej w sobie fantazyi, i był czém go Pan Bóg stworzył, nie wstydząc się siebie... Dzisiaj Europę z końca w koniec prze-wędrowawszy, nie trafi się na wybitniejszą postać, i żadna fizyognomia wyrazistsza nie przejrzy przez skorupę cywilizacyi. Wewnątrz zapewne jest zawsze toż samo, co tam i dawniej bywało, człowiek w gruncie jeden od początku świata; ale po wierzchu wygląda dziś jak migdał cukrem oblany, i trudno zgadnąć, czy słodki czy gorzki, świeży czy nadgniły, a nawet czy to migdał tam siedzi, czy kawałek suchej skorupki bez smaku.

Dawne czasy i u nas, i wszędzie obfitsze były w oryginały, i nie było jeszcze téj łatwości przebiegania świata, która dziś ściera piętna, ogląda obyczaje, przenosi ludzi, a z nimi jakiś ogólny ton europejski, który w istocie zależy na tém, żeby być podobnym do wszystkich, a jak najmniej do siebie samego. Nawet twarze tracą powoli charakter dawny, wybitniejszy, przywdziewając jakąś maskę tandetną, którą staranne wychowanie nadaje... Wszyscyśmy do siebie podobni, z małemi różnicami...

Śmiano się przed niewielu jeszcze laty z ekscentryczności Anglików, z Hiszpanów i Niemców oryginalności; terazby się dziwić potrzeba, że już w tłumie nikogo z nich rozpoznać nie można. Anglicy wyczuli się po francuzku bez akcentu, a Niemcy zapuściwszy bokobrody sążniste, tak udają obywateli Wielkiej Brytanii, jakby się nimi urodzili.

Życie też i obyczaj nie wyrabia się jak dawniej własnym kunsztem i dowcipem, ale według pewnej recepty przyzwoitości, ogólnie za najlepszą przyjętej.

Dla tego i nieszczęśliwy bazarz, który wodyby warzyć nie chciał, musi malowniczego wątku szukać w skryształizowanej przeszłości, bo terażniejszość staje ledwie na materyał do rachunku i na temat do karykatury...

Wszystko to cel mieć musi, i jest to widocznie stan jakiegoś przejścia, przerabiania się i cichój fermentacyi, z którego coś zapewne wyrośnie bardzo ładnego i bardzo pożytecznego dla świata... ale z tego co teraz pożywamy (ni kwaśno, ni słodko) ulepisz chyba tylko bezbarwny i bezwonny placek... Trzeba więc, pożegnawszy świat rachmistrzów i gazeciarzy,

gieldę i bankierskie elegancye ozłoczone na wszystkie boki, puścić się na wędrówkę... kędy pieprz rośnie.

Przysłowie to oznacza, że pieprz nieblizko rośnie, a pieprz jest tém co osmacza, podbudza, piecze, zachęca do życia.... tego potrzeba szukać w przeszłości. Klimat dzisiejszy dla niego za zimny; pójdziemy więc w tę przeszłość osławioną i uwielbioną... przetrzucimy spleśniałe rękopismów karty, zajrzemy do zbutwiałych trumien, na których wieku przegniłem siedzi uśpiona poezya z zeschlým wieńcem w ręku.

Niech się tylko czytelnicy nasi nie ulęką bardzo, jeśli niestara tę historję rozpocząć będziemy musieli od bardzo dawnych przypomnień: są one niezbędne dla zrozumienia następnych wypadków. Uznał to już i dowiódł ksiądz kanonik Ciampi, że pomiędzy Polską a Włochami stosunki bardzo były ożywione, wymiana ludzi bardzo czynna. Myśmy im tam posyłali bogatych suchotników, znudzonych wielkich panów, umiatające panie i pobożnych a zamożnych prałatów; oni nam oddawali pożyczkę w niedouczonej doktorach, w niefortunnych malarzach, w nieszczęśliwych prawnikach, niekiedy wszakże w artystach całę znakomitych i rzemieślnikach niepospolitęj wprawy.

Żart na bok: dużo naszej młodzieży uczyło się w Padwie, wyświęcało w Rzymie, bawiło w Wenecyi, a leczyło potem pod ciepłym słońcem Neapolu.

Ci co w Padwie przesiadywali, pociągali za sobą z powrotem do kraju jadąc, współuczniów lub nauczycieli. Słynęła Polska z zamożności, a z hojności jeszcze bardziej. Każdy się tu cudzoziemiec czegoś dorobił, a niejeden, *per pedes apostolorum* przyszedłszy,

powracał poszóstno. Trafia się to przybyszom i dzisiaj: my tylko jedni poszóstno wyjeżdżamy, żeby powrócić z torbami, często jeszcze wstydu pełnemi...

Łatwo sobie wytłómaczyć, jak przodek mojego bohatera dostał się do Polski.

Był on doktorem przy królu Stefanie, któremu w wojnach i obozach towarzyszył. Drugi z téj rodziny Franciszek ożenił się z siostrą lekarza Buccelego, nadwornego przy Zygmuncie III.

Trzeci się także w Padwie medycyny wyuczył, aby ją w Polsce praktykować, i za Zygmunta III panowie Lippowie de Buccelis otrzymali indygenat i szlachectwo polskie, a do rodowitych ich tarczy dwubarwnych, przez szczególną przyjaźń dla Lippięgo, Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, starosta sandomierski, dodał im górą w czerwonym polu swojego białego Nałęcza.

Lippiowie więc tu osiedli, i z ubogich niegdy mieszkańców Belluna i Padwy, gdzie mieli dwie stare kamieniczki, przeszli na zamożną polską szlachtę, posesyonatów co się zowie. Gdy przyszło do tego indygenatu, o którym wspomniałem, na sejmie 1597 roku, musieli panowie Lippiowie produkować się jako szlachta wenecka; ale nie zrobił trudności doża Marino Grimano, i wydał im na pergaminie malowanym ze srebrną pieczęcią dyplom tak wspaniały, iż mogli go śmiało pokazać najwybredniejszemu szlachcicowi. U góry stały dwie tarcze, jedna wzdłuż podzielona na dwoje, druga dwoma w poprzek palami przecięta, z głową czarnego jastrzębia czy orła o złotym dziobie, wcale pokazną *).

*) Oryginalne przywileje i indygenat są w posiadaniu piszącego.

Lippi, syn doktora, już ożeniwszy się z Polką, poszedł na zagon gospodarzyć. Powoli z Lippich zrobili się nawet Lipińscy de Buccelis; a wnuki już mało co po włosku umiały. Przechowywała się jednak tradycja o weneckim szlachectwie, o kamieniczce w Bellunie i domu w Padwie.

Dziad mego bohatera był nieco dziwaczego umysłu. Ubierał się z włoska, niekiedy bardzo bogato, czasem bardzo dziwacznie, jeździł w powozie alias kołebce malowanej pstro, sprowadził sobie murzynka, którego stroił po wschodniemu i nieodstępnie miał zawsze przy sobie... Coś tam we krwi jego włoskiej było fantazyi, która się z Polską butą mieszała, i pan Bernard, którego po prostu Bernatem zwano, choć wielkopolski szlachcic, urodzony z Polki, z Polką żonaty, mało co włoszczyzny umiejący, bawił się w senatora weneckiego i patrycyusza. Przez całutki też życie wybierał się jechać do Padwy i Belluna dla rewindykowania dziedzictwa, które mu, jak on dowodził, niesłusznie wydarto. Ale z roku jakoś na rok odkładając wyjazd to dla słoty, to dla nieurodzaju, to dla niedobrego zdrowia, to z obawy, aby tam w Wenecyi wschodniego moru i zarazy nie zastał — dożył na zagonie rodzinnym do dni końca.

W dziedzicznym jegomości Robninie było piękne jezioro, a na niém wysepka mała, u brzegów trzcinami porośła, w środku piaszczysta. Otoż z tego ostrowu Bernat sobi małą uczynił był Wenecyę, zmurowawszy tam parę domków na palach, dosyć okazałej z dala struktury. Nikt tam nie mieszkał, prócz jednego rybaka; ale dziedzic często różne zabawy wyprawiał, gości spraszając, i gondolami ich czarnymi, na sposób wenecki zbudowanymi, przewoził do swęj *Isola Bella*,

jak ją nazywał. Na te dni stroił się w lamy i brał czapkę, która zakrawała na książęcą doży, oryginalnym kształtem; murzynek nosił nad nim purpurowy parasol, złotemi frendzlami przyozdobiony, a dwoje pachołał facolet na poduszce i worek staroświeckiej formy, z którego jałmużnę rozdawał między dziadyłki na niego czekające. Był na wyspie i moździerz, z którego na przybycie gości i gospodarza ognia dawano, i wieża z wywieszoną chorągwią, pomalowaną w herby Lippich z Nałęczem owym Gostomskich.

Wszystkie te niewinne dziwactwa pana Bernata sprawiły, że mu okoliczni wieśniacy, ba! i bracia szlachta dali przydomek: — Półdyablę Weneckie. Wiedział on sam o nim, ale się z niego śmiał i prawie mu był rad; a gdy na humor mu przyszło, pytał się czasem z cicha sąsiadów — „A co? prawda? półdyablę? he? półdyablę weneckie?” I brał się za boki śmiejąc, tak mu się ten przydomek podobał.

Ale żadne w świecie, by najniewinniejsze dziwactwo i fantazyja, płazem człowiekowi {nie przechodzi. Mimo jejności, która była zapobiegliwą i oszczędną, mimo pięknej wsi posagiem wziętą, mimo kapitałów dziadowskich jeszcze, Bernat dobrze majątności naderwał; a gdy życie skończył, wierzycieli obliczono, syn jego i pozostała wdowa przestraszyli się, aby im ojcowizny zbywać nie przyszło.

Jednak pracą i oszczędnością, jakoś się to połączyło.

Tylko się zaraz wyrzekli wszelkich owych pańskich fantazyj, budynków na Isola Bella, które opustoszały zupełnie i poszły w ruinę, gondoli, którym próchnieć dozwolono, i murzynka. Tego przyjął do służby swój wojewoda Jabłonowski.

A że za pana Bernata dużo się ludzie byli rozpróżnowali i opuścili, musiał syn jego sprężyć się brać do gospodarstwa, co się nie podobało; ochrzczono go więc znowu owem spadkowym—Półdyablęciem Weneckiem.

Wcale to nie był zły człowiek, i szatańskiego w sobie nic nie miał; ale ściślej pilnując sprawiedliwości, nie pobłażając nikomu, naraził się wielu. Surowego był nader obyczaju, posępnego oblicza, a pod starość księgi lubiał i chętnie się w nie wczytywał. Mając zaś tak prawie jak dwie ojczyzny, obu się uczył, obu wspomnienia cenił i zbierał.

Był on właśnie ojcem bohatera naszego Konrada Lippiego, pospolicie Lipińskim zwanego.

Po upadku konfederacyi barskiej, wielu z tych, co w niej czynny udział mieli, zniechęconych stanem rzeczy obecnym lub spodziewających się rychłej jego zmiany, rozpierchło się po Europie. Niektórzy z sercem osmutniałym a piersią pełną poezyi tej uroczystej doby, która religijnego ducha podniosła, powrócili do domów, aby przy roli i pracy zapomnieć o tém, co bolało. Odpasane szable zawisły nad łóżem przy ryngrafach z Matką Bożką Częstochowską, a żołnierz w kitlu płóciennym i skórzniach po kolana, poszedł za pługiem, odśpiewując pieśń księdza Marka do Matki Bożkiej i Królowej... niebios.

Do tych rozbitków, którzy się waleśać po obczyźnie z razu nie cheieli, należał i Konrad Lippi.

Dziedziczył on po ojcu i dziadzie wieś ową w Poznańskim, Robnin, na której jeziorze jeszcze w ruinach stały fantazyje dziadowskie, a razem spadło na niego niezasłużenie i przyzwisko owo—Półdyablę Weneckie,—które już szło z ojca na syna.

Konrad wychowany był bardzo troskliwie i starannie przez ojca, który też chciał, aby choć jeden z synów jego włoskie pochodzenie rodziny miał i w duszy, więc go obok łaciny, języka włoskiego wyuczyć dobrze kazał. Ojciec Jezuita, Włoch, który się Konradem zajmował, wywiązał się z tego nader szczęśliwie, tak, że młodzieniec i język, i dzieje drugiejszej Rzeczypospolitej znał jak własne polskie. Ale sercem jakoś więcej był przyrósł do tej ziemi, na której się urodził i wychował.

Konrad, gdy konfederacya się zawiązała, przystąpił do niej, i jako prosty żołnierz bić się poszedł; potem nieprześladowany jakoś, do rodzinnego kąta mógł powrócić.

Ale na niego tam nikt nie czekał... Konrad dawno był rodziców stracił, siostrę miał zamezną aż w Kaliskiém, brata rodzzonego osiadłego w Prussiech około Chelмна, a w domu z rodziny żywego ducha. Wyruszając na wyprawę, powierzył gospodarstwo, mienie i zarząd interesami, staremu Pukale. Pukało, Litwin, kędyś od Kowna rodem, pacholeciem się był jeszcze przybłąkał do dworu w Robninie do rodziców Konrada, służył najprzód przy pokoju, potem przy gumnie, pomagał ekonomowi, wyręczał pisarza, ale że wyrobił się z niego człowiek bardzo poczciwy, stateczny, rozsądny, w końcu mu powierzono tak jak wszystko: klucze, rejestra, pieniądze i nowy dziediec wcale mu ich odbierać nie myślał, boby sam pewnie tak jak on rady nie dał.

Pukało był wzorem tych starego autoramentu rządów, co się tak z rodziną zjednoczyli, iż swojego własnego interesu nie mieli, a w panach swych żyli cali. Wynosił na rękach Konradka, pannę Annę i pana

Bolesława, pogrzebał oboje starych Lipińskich, wydał potem za mąż Anusię, naostatek na wojaczkę wyprawił Konrada, którego najwięcej kochał... i oto on jeden witał go teraz z powrotem.

Dla niego w Robninie nie było kąta, człowieka, rzeczy, którejby nie znał z gruntu i historii jęj nie wiedział. Ledwie już pamiętał miejsce rodzinne, mało co wiedział o swoich nad Niemnem; ale tu... tu mu się trawa spowiadała, gdy rosła; znał genealogię wszystkich gniazd bocianich; ludzie wiejscy niepewni metryki do niego się udawali po objaśnienie, kiedy się kto rodził. Pamięć też miał doskonałą, a serce chyba jeszcze lepsze. Dla czego się był nie ożenił dotąd, chociaż już tego poszpakowaciał, to tylko Panu Bogu było wiadomo.

Dosyć niemłody, wyglądał jeszcze raźnie, zdrowo, trzymał się prosto, i wcale lat, które miał w istocie, nie pokazywał.

Nie brzydził się też niewiastami, i owszem, wzdychwał do wielu, ale ile razy sunął się do kobierca, zawsze mu coś na drodze stanęło. Woli bożej jakoś nie było i nie było. Pukało to sobie w końcu wyperswadował, bo był pobożny, a z wolą bożą godzić się nauczył, i mawiał, gdy się go pytano: — „Musí to tak być lepiej, kiedy się nie udaje... człowiek często pragnie mocno tego, czego potem ma żałować... zatem stań się wola Twoja! Wie Pan Bóg co robi.”

Z Litwy jedną tylko rzecz wynióśł z sobą Pukało: przysłowie stare, dawniej snadź używane w miejsce zwykłego dalibóg, aby Imienia bożego nie nadużywać, powtarzał często bardzo *Dalifur*, i z tego poszło nawet, że go potem więcej nazywano panem Dalifurem niż Pukałą.

Gdy panicz sobie mundur sprawił, a karabelę ojcowską przypasał i gniadosza najlepszego ze stajni wziął pod kulbakę, Dalifur się upłakawszy, przeżegnał go Karawaką i poszedł z nią i z koronką około gospodarstwa jak zwyczajnie. We dworze ani znaku nie było, że panicza zabrakło. Pilnował Pukało, żeby tam wszystko było na swoim miejscu i w porządku. O południu regularnie chodził zegar gdański nakręcać, żeby nie stanął; w piękne dni sam okna odmykał, garderobę wietrzył, pyły ścierał i przechadzając się po pustych komnatach, nawzdychał się i napłakał nieraz do sytu.

Bo dla niego od wielu lat nic a nic się tu nie zmieniło na jotę jedną w losach, zajęciach i nadziejach. Kapota jego szara przeżyła starego Lipińskiego; dzieć dzisiejszy podobny był do wczorajszego jak brat rodzony; w izdebce, którą zamieszkiwał lat dwadzieścia, patrzył na jedną szybę z rysą i piec popękany... a tymczasem na świecie ile doli ludzkich, i żywotów, i szczęścia rozprysło się w tym młyńskim ruchu gorętszej wrzawy!...

Nieraz to sobie przemyślał Pukało: czemu ludzie nie starają się o ten spokój, na którym jak na wygodnej łódce przepływa się ów burzliwy ocean życia i dobija {do brzegu, prawie nie poczuwszy podróży? ale—trudno mu było zrozumieć wszystko na świecie, a i pretensyi do tego nie miał.

Zaraz po ostatnich klęskach konfederatów, napisał do niego pan Konrad, że przybędzie, i już czekano na niego w Robninie. Cieszył się Pukało, że panicz choć z życiem ocalał, i zabierał się z nim rozmówić o przyszłości w ten sposób, aby do dalszych niebezpiecznych wycieczek odjąć ochotę.

Robnin był co się zowie porządną posiadłością szlachecką; nie zbywało jój na niczém, rola była wysmienita, lasu i łąk dostatek, jezioro rybne, rzeczka spokojna a wygodna płynęła doliną, zabudowania gospodarskie były fundamentalne... a i ludzie zamieszkujący na gruntach od wieków już zespoleni z Lipińskimi, przywiązali się do nich, i choć swych panów dziedziczném imieniem: Póldyablę Weneckie, nazywali, kochali ich przecię. Był i kościółek, i plebania mała, i nieopodał gościniec bity do miasta, które niezbyt odlegle leżało, i austerya intratna, z której arendarz, też przyjaciel dworu, zwany Parnesem opłacał ze trzy tysiące złotych rocznie, nie licząc kawy, cukru, mięsa i świec łożowych, dodawanych tytułem porękawicznego. Porządny młynek rzeczny także coś znaczył.

Nietylko rodzice pana Konrada, ludzie porządni, gospodarzni i lubiący ład, przyłożyli się do zbudowania bardzo pięknego folwarku, ale i dziadowskie fantazyje dały się na coś pożytecznego poprzerabiać, oprócz ruin na wyspie. Lamus wyglądał jak baszta murowana; dwór z drzewa, pruskiego muru i cegły w przybudówkach, mógłby się być nazywać pałacikiem... tak z daleka dobrze się prezentował. Wszystko zresztą szło z nim w parze.

Chlubił się ojciec pana Konrada, że u niego chlewka nawet byle jak skleconego nie znalazł. Folwark, w którym Pukało mieszkał, a naprzeciwno stara klucznicza Murzynowska, tak był wygodny, że drugiemu szlachcicowi mógłby być za dwór służyć, i nie powstydziłby się pewnie.

.Sąsiad Robnina, niejaki Pyszewski, poczciwy człek,

ale szalaowała niezmierny, powiadał, że u Lipińskich było lepiej mieszkało, niż u niego ludzie.

Słynęli też ostatni z Lippich Lipińskich z ładu i dostatku. Nie było to bogactwo, nie zwało się państwem, ale na tej jednej wsi odłużonej przez nieboszczyka Bernata, ojciec Konrada dokupił drugą dla Bolesława, zebrał posag dla Anusi i zostawił synom znaczne kapitały. Ale żyło się skromnie bardzo, wygodnie, zdrowo, a wcale nieszumnie. Pamięć starego owego, co się bawił w patrycyusza weneckiego, była skutecznym przykładem. Nigdzie chleba smaczniejszego nie znalazłeś niż u Lipińskich, ale marcypana tam nikt nie powąchał. Poszło to już w obyczaj, i obaj synowie byli ludzie, choć dobrze wychowani, do prostoty przywykli, do twardego życia i wielkiego porządku.

Pan Bolesław mieszkający w Kaliskiem zupełnie się wdał w ojca, ożenił, zagospodarował, roli patrzył, a było mu tego co miał bardzo dosyć, i więcęj nie pożądał. Anna też poszła w ślady matki, wydano ją za męża, życie jej wiejskie smakowało, dzieci ją zajmowały; krętanina około apteczki bawiła ją i była szczęśliwą.

Konradowi już z młodu — choć go najlepiej lubili i ojciec, i matka, i Pukało, i wszyscy we dworze, był chłopak stateczny — choć jakoś nie na hreczkosieja i domatora z oczu patrzyło. Gorączka był, ciekawy, i jak to mówiono dawniej, smakował mu światek.

Ale ojciec postrzegłszy to, jeszcze gorliwiej pracował nad nim niż nad innymi dziećmi, i potrafił tyle, że z żywego srebra, jak powiadał — zrobił srebro żywe...

Po śmierci rodziców, gdy się Konrad został samuteńki jeden w owym wielkim dworze robnińskim, z zegarem wybijającym pomalutku jednostajne godziny, ze ścieżkami wydeptanymi przez starych, których zabrakło, z pamiątkami młodości brata i siostry, co się ztąd powynosili — bardzo mu się tęskno zrobiło.

Ani polowanie, ani sąsiedzi, ani gawęda z proboszczem, ani nawet ukochany Dalifur rozzerwać go nie mógł i rozweselić. Najlepiej to widział i najwięcej się tém gryzł Pukało; ale jego rady panicz nie chciał słuchać. Bywało, przyszedłszy wieczorem na kolacyę — bo obiad jadał wcześniej na folwarku lub jak tam gospodarstwo pozwoliło, a wieczrę zawsze z paniczem, — Pukało po kieliszku gorzalki, jak się rozgadał, namawiał pana Konrada na ożenek, i sam mu nawet bogdanki swatał. Ale panicz na to milczał.

— Już, dalifur—mawiał—takie życie jak to panicz prowadzi, toby się i świętemu uprzykrzyło. Cóż to teraz ten dwór, jeśli nie grób! Gdzie stąpisz to po nieboszczyku, a nie ma do kogo żywego słowa przemówić... Ale też sam Pan Bóg nakazał i przypomina, aby tu nowe życie wprowadziła niewiasta, a zaraz będzie inaczej.

— Daj mi ty stary pokój! odpowiadał Konrad: na to jeszcze czasu dosyć; a jakbym tu albo trzpiota wwiódł, coby mi do góry nogami stary dwór przewrócił, albo biedę, niepokój... pierwszybyś pewnie płakał i narzekał... Ożenienie, ty to wiesz najlepiej, nie człowiek sam zarządza, ale Opatrzność. Jak się go zbyt zachce komu, niechże się ma na bacności, bo pewnie będzie potem pośpiechu żałował.

Ale to były słowa bardzo rozsądne, a nie ze wszystkiém szczerę; wiedział Pukało, że pan Konrad nie dla tego się nie żenił, aby się obawiał, ale że mu żadna do serca nie przypadła, a po głowie jakieś złotoskrzydłe latały bogdanki.

Pan Konrad lubiał po polsku i po włosku czytać, a najwięcej czytywał poetów, i od młodych lat przyplątały się mu marzenia dziwaczne... więc powszedni chleb i ludzie powszedni nie smakowali.

Tego się też stary lękał bardzo, i radby go był co prędzej ożenił, aby ostudzić, bo wiedział, że gdy w świat prychnie, nie powróci do gniazda bez złotopiórej ptaszyny. Tych to piór złotych strachał się poczciwy Pukało, myśląc, jak one często niezłota okrywają duszę...

W sąsiedztwie panien hożych było podostatkiem, ale wszystkie szyły w krosnach, robiły sery przedziwne, piekły baby doskonałe, a żadna jakoś nie kwalifikowała się na ową boginię.

Gdy pan Konrad poszedł na wyprawę, Pukało na intencję zdrowia jego, powodzenia, i też by go tam, jak mówił, czupiradło gdzie jakie nie ułowiło, odmawiał regularnie koronkę do Przemienienia... Jakoż jednego szczęśliwego wieczoru doczekał się panicza... Ale ów żołnierz strojny powracał z szablą w bryce, bez munduru, a co gorsza, bez gniadosza. Legł poczciwy wierzchowiec od kuli. Konradowi też druga podrapała nogę, ale nieszkodliwie.

Pukałę wyściskawszy w progę, panicz znowu wszedł z nim do dworu, do pustych komnat, w których tylko zapach zeszlój lawendy powkładanej od molów przez Murzynowską, czuć się dawał i jakoś pustkę przypominał. Dziwnie smutno, grobowo wy-

dała mu się ta siedziba, której każde krzesło, stół, sprzęt przypominały pogrzebanych: ojca, matkę,— oddalonych: brata i siostrę. Staruszek zegar wystukiwał swe wiekuiste *memento*. Nic się tu nie zmieniło, tylko śmierć powymiałała kąty.

Dalifur rozradowany powrotem, pytał, odpowiadał sam, śmiał się; dla niego teraz dwór ożył, gdy panicz powrócił.

Ale Konrad powrócił tak smutny, przygębiony, zrozpaczony prawie, milczący, że się aż Pukało wkrótce też wesołości przebrało. Co otworzył usta, to z nich ból leciał i lał się, albo czarne przecucia.

— Że niewesoło nam, dalifur, rzekł Pukało po kilku odezwaniach się swojego panicza — no, to prawda; ale na Boga miłego, póki człek żyw, truć się nie powinien temi myślami, które mu życie i ochotę do niego odbierają... Niech-no jegomość wypocznie, odje się trochę, rozpatrzy po gospodarstwie, a o jakiejś pracy pomyśli. Czémś się trzeba zająć... w słowach pociechy mało, ale w robocie lekarstwo jedyne. Gdybyś pan choćby wyżła służyć uczył, jużby lepiej niż tak siedzieć i stękać... Pan wiesz jak to stary nasz jegomość mawiał, że na żelazie, co leży w kącie, rdza w końcu porosnąć musi, a stary nóż nieustannie w robocie, to też się i świeci...

Rozśmiał się pan Konrad.

— Dajże mi robotę, mój stary nożu... rzekł z uśmiechem..

— Jak ja ją dam — odparł Pukało — to się ona, dalifur, na nic nie zda. Dla człowieka praca tylko ta dobra i zdrowa, którą on sobie sam znajdzie i wyjmuje ją z pod serca.

Ale młody już i nie słuchał—chodził a wdychał.

Przesiedział tak w tój pustce miesiąc, trochę zapoLOWAŁ, nieco czytaŁ, wieczorami czasem o gospodarstwo popytaŁ, niekiedy konno się przejechaŁ, to na ganku siedząc poświstaŁ, żeby przechadzającemu się po dziedzińcu Pukale dać wyobrażenie o swój wesołości, ale mu byŁ z twarzy widny taki ucisk serdeczny, że się staremu aż żał młodzieńca schnącego tak marnie robiŁo.

Już późną jesienią, coraz chmurniejąc, rzadziej z domu wygŁadając i wychodząc, pan Konrad zachorzaŁ; a byŁa to choroba, którój i nazwać trudno, i leczyć niepodobna. Nie bolaŁo go nic, nie ũmiaŁ powiedzieć co mu jest, a wychudŁ, zmizerniaŁ, zbladŁ tak, że widocznie kaźdego dnia życia z niego ubywaŁo. Ani ochoty do jadaŁa, ani do snu chęci, ani do zabawy popędu; siedziaŁ w oknie, wzrok miaŁ wlepiony gdzieś, bodaj w ścianę, a gdy się kto do niego odezwaŁ, porywaŁ się nagle przestraszony, jakby go ze snu przebudzono. Na twarzy skóra poprzysychaŁa do kości, oczy mu blyszczaŁy jakoś szklisto, a bez życia...

Pukale aż na płacz się zbieraŁo. WspomniaŁ coś o doktorze, ale się Konrad nań ofuknaŁ, dowodząc, że jest zupełnie zdrow i wcale się chorym nie czuje.

Trzeba byŁo fortelu zażyć: namówili się więc z Murzynowską, która stękając poŁożyła się w łóżko, a folwarczne konie posłano po doktora do miasteczka, niby dla niej. ObrachowaŁ się tak PukaŁo, aby doktor być musiaŁ na obiedzie we dworze i panicza widziaŁ; umówiŁ się teź z nim wprzódy o co chodziŁo. Nie byŁo naówczas u nas prawie innych doktorów nad Niemców; ten teź rodem z nad Renu zwaŁ się Werner, i maŁo co, ale bardzo źle mówiŁ po polsku, a mniej jeszcze życia naszego rozumiaŁ. Doktor to

był dobry, ale téj szkoły, która w człowieku widziała tylko mięso i leczyła mięso — sprawy ducha były dla niego wcale niezrozumiałe...

Co duch zbroił w człowieku, zwałało się na nerwy, a na te były też lekarstwa; i gdy nerwy spętało, że się dusza niemi posłużyć nie mogła, zdawało się, że i ona być musi zdrowa.

Werner pod pozorem obiadu zaszedł do dworu, umiał nawet nieznacznie dopytać się języka chorego i pulsu, ale znalazłszy go wycieńczonym, z gorączką, po długim badaniu, odjeżdżając, powiedział Pukałemu:

— To jest choroba... i to nie jest żaden choroba... jemu trzeba żonka... zabawa... wesoloscia... będzie jemu zdrowa...

— To także mi nowinę powiedział za mój czerwony złoty! rzekł Pukało. Niby to ja tego nie wiem, że jak będzie wesół, to nie będzie smutny! Jak mu tę żonkę sprokurować... dalifur... to sęk...

Mozolił się i kłopotał Pukało, i naradzał z Murzynowską, która bardzo jakieś skuteczne ziółka uspakajające z dodatkiem szafranu zalecała... ale pan Konrad w żadne leki wdawać się nie chciał, sechł i trybu życia zmieniać nie myślał.

Rok też cały w okropnym niepokoju strawił Pukało. Posyłał do siostry, ale ta dla bliższej słabości przybyć nie mogła; dawał wiedzieć bratu, który na krótko zjechał i przerwał trochę jednostajność Robnina; ale gdy za bramę wyruszył, znowu Konrad pograżony w myślach, na ścianę począł patrzeć.

W końcu potrzeba było nareszcie uwierzyć, czego od początku domyślała się i dowodziła stara kluczniczka Murzynowska, że na pana Konrada jakiś fatalny urok rzucono. Chodziło tylko o to, gdzie wyszukać baby,

któraby naturę tego czaru rozpoznawszy, umiała mu go skutecznie odjąć — i żeby pan Konrad nie opierał się doświadczeniu, jakicby na nim uczynić chciało... a poddał się odczarowaniu z pokorą.

— Że to są uroki, mówiła uparcie Murzynowska — na tobym gardło dała... Młody człowiek... to nie jest żadna choroba... ludzka tylko przewrotność, zemsta, nasłanie. Ale jak go tu na babę namówić!!

Pukało nawet wniosku tego uczynić się nie podejmował. Tymczasem Murzynowska po baby znachorki od wsi do wsi, dowiadując się, latała... Ale czarownice jakoś już naówczas były rzadkie. Do drobnych posług można było znaleźć je jeszcze, nawet do zdjęcia uroku i zrzucenia go na psa... ale z pana szlachezca żadna się nie podejmowała odczynić nasłania.

Już Pukało miał księdza namówić, aby pod pozorem jakiego błogosławieństwa, duchownych użył egzorcyzmów, a to opętanie zdjął z niego — gdy nagle niespodziewana zupełnie zaszła zmiana.

Było to jakoś wczesną wiosną, a właśnie owies siać miano i Pukało z nim pośpieszał, bojąc się, ażeby rola do zbytku nie oschła, pamiętny na przysłowie: „Kto rzuca w błoto, ten zbiera złoto,“ — gdy z największym podziwieniem swém, mając siadać na stępaka, odebrał ze dworu wezwanie, ażeby niezwłocznie do pana przyszedł.

Przestraszył się starowina, bo od czasu jak tak zachorzał, nigdy go pan Konrad nie wzywał, a mało kiedy nawet wieczorem się z nim rozgadał...

— Cóż to tam takiego? zapytał chłopca, który przybiegł po niego, — czy nie przyjechał kto?

— Nie, nie ma nikogo, pan sam, proszę jegomości — odpowiedział tak zwany węgrzynek, w istocie Maciek ze wsi rodem, — tylko od wczorajszego wieczoru, cości panicz jakby to zdrowszy... Trochę nawet se podśpiewuje, krząta się po pokojach, ubrał się jakoś i czuprynę do góry zaczesał...

— O! o! dalifur... a to chyba cud!... krzyknął stary. I zaraz stępaka oddawszy stajennemu, pośpieszył.

Zastał pana Konrada w ganku, i aż mu się, spojrzawszy nań, lice też rozpromieniło... Był ubrany, twarz miał nieco bladą, ale świeżą, w oczach powrócona młodość świeciła, jakby inny, odrodzony wyglądał człowiek...

— „Pan Jezus przy dziecięciu! — zawołał w duchu — a cóż to się święci?...“ I podszedł ostrożnie, a z cicha, jakby się obawiał spłoszyć tę odrobinę wesela, tego zwiastuna lepszej przyszłości.

— Czy pan mnie kazał wołać? spytał udając obojętnego, choć mu serce biło.

— Al chciałem cię prosić, mój poczciwy stary przyjacielu — wdzięcznym głosem odpowiedział panicz, — miałbym z tobą co do pomówienia.

— Aby dobrego! zawołał Pukało: toć ja zawsze na usługi pańskie... Choć w téj chwili chciałem przypilnować jak tam oni owies siać będą, ale niech tam gumieny idzie... On nie ma konia... nasienia nie ukradnie przecię, — a nim zabronują, to i ja do-skoczę...

— Siadajże-no na ławie... sam siadając, rzekł Konrad. Nie napiłbyś się wódki?... ranek chłodny...

— Ba! a z kim? sam wódki nie piję — odparł Dalifur.

— No, to ja do was przypiję...

— O! to z miłą chęcią...

— Wiesz co, po kieliszku staruszki... dodał, uśmiechając się młody człowiek.

— Już zgoda, choćby na witryol... rzekł uradowany Pukało.

Węgrzynek pobiegł na skinienie do apteczki, i powrócił z fiaską, chlebem, solą... ba! i z piernikiem.

Patrzył Pukało jak on też będzie pił, ale zobaczywszy, że szczerze wychylił kieliszek, aż mu się lżej na duszy zrobiło, od roku bowiem panicz nie powąchał żadnego napoju.

— To już chyba ktoś zdjął czary! rzekł w duchu.

— No, mój Pukało, będziesz ty na mnie gderał może — odezwał się po chwili Konrad, — ale już tak dłużej marnieć nie chcę... trzeba mi się trochę rozruszać... myślę w podróż się wybrać.

— A to Duch Święty natchnął! zawołał Dalifur, składając ręce. Albożbym to ja temu opponować się śmiał! Jedź pan, jedź, ino nam wesół powracaj. Czy do siostry, czy do brata, czy wreszcie choćby do Warszawy, do Krakowa... toć się pan rozerwie, a i wszystko dobrze będzie.

— Ale ba! zaśmiał się Konrad: ty myślisz, że ja na taką małą wybieram się wędrówkę?

— No? a dokądże?

— Pomyślałem sobie... ot... zobaczę moją, a raczej moich dziadów ojczyznę Wenecję, a ztamtąd łatwo mi się będzie i do Grobu Pańskiego, do Jerozolimy dostać.

Pukało struchlał...

— To źle — rzekł w duchu — to źle! Próżnom się za wczasu ucieszył... gorszém to jeszcze pachnie niż siedzenie w domu.

Nie śmiał się wyraźnie sprzeciwić Pukało po-bożnej intencji; wiedział, że do Jerozolimy pielgrzymów jeździ siła; znał to, że się nie godzi od takiego aktu odciągac; słyszał, że księżę Radziwiłł był tam Sierotka i wielu panów świeckich i duchownych; a Wenecyi też, do której jakiś instykt ciągnął serdeczny, nie wypadało odradzać. Ale gdzie znów młodemu i nie tak bardzo bogatemu chłopcu — myślał — na taką się puszczać imprezę?

Z razu więc zamydlił ni tém ni owém.

— A czemuż nie! czemuż nie! rzekł — tylko że to oboje, choéby i ta Wenecya, cóż dopiero Jerozolima... daleko strasznie, a podróż kosztowna... i do licha, niebezpieczna... W Ziemi Świętej z pogany sprawa... z morzem, z okrętami... z fluktem niepewnym, z nawą kruchą... E! gdyby tylko intencya pielgrzymki, tobym wotował za Kalwaryą naszą albo Cęstochową.

— Zapominasz o Wenecyi, mój miły — odparł Konrad — i o tém, że ja jechać chcę właśnie dla widzenia krajów, dla poznania świata... dla...

Pukało niedobrze i tę ciekawość i tę żądzę rozumiał — ale jak się było opierać?... nużby znów w tę niebezpieczną popadł chorobę?

— Może-ć to taka podróż i nie ruina — odparł — ale zawsze... bez jakich tysiąca czerwonych złotych ani myśleć się ruszyć... a może i drugi zaczepić wypadnie... dodał, kiwając głową. Ono-ci się to tam

i znajdzie... dalifur... ale... prawdę rzekłszy... posypać to po drodze, trochę szkoda...

— Myślę, że się to i mniejszym kosztem obejdzie, odparł pan Konrad. Dwa razy do roku albo i więcej, jakem czytał, odpływają z Wenecyi okręty do Ziemi Świętej, pielgrzymów tam jeździwa dużo i nie bardzo dostatnich... przecież się ważą na to... no, i cali powracają. Wystaw sobie, kochany Pukało—dodał z zapalem i uśmiechem — zobaczyć naszą dawną ojczyznę, Włochy, Wenecję, morze... Palestynę i gród uświęcony przez Zbawiciela...

— Daj tylko Boże cało i jak najrychlej powróci! westchnął stary... Czemuż nie! czemu nie! Ale za pozwoleniem pana, nie obrazisz się gdy zapytam: zkąd to panu ta myśl przyszła?..

— Nic naturalniejszego, odpowiedział Konrad: myślałem o naszej ojczystej Wenecyi... czytałem o podróżach... i ot...

Stary głową pokiwał...

— Jeśli to ma posłużyć panu, orzeźwić, dodać do życia ochoty... potrzeba natchnienia słuchać... Tylko dobrodzieju mój — rzekł ciszej — jak tam z tymi Arabami czy Turkami? czy bezpieczni to ludzie? czy pogany te lada kogo nie zaczepiają?

— Tylko się im opłacać potrzeba, odparł uśmiechając się Konrad. W najgorszym razie, częścięj obedną, niż na życie się targną.

— No to tak niby jak i z Niemcami! zawołał stary. Jeszcze to pół biedy, byle na krew chrześcijańską chciwi nie byli i na nią nie czyhali.. a znów do kata w niewolę nie uprowadzili, bo z niej się wykupować to i wioski mało... Wszak-ci to dziad nieboszczyka pana podkomorzego był u Turka w Ca-

rogrodzie w niewoli, a familia go ledwie za wielkim staraniem OO. Trynitarzy dostała, na wagę srebra zań opłaciwszy... Jeszcze oprócz tego co prezentów nadawali dragomanom, a co fundacyj na tę intencję, a i pół klasztoru Trynitarzom przez wdzięczność budowali tak, że się niemal na pół wieku zrujnowali.

— O to się nie lękaj stary! wesolo zawołał Konrad: nie ja pierwszy jadę, nie ja jeden... siła tam co rok pątników, powracają przecię cali i zdrowi.

— No, niech i tak, dalifur, niech i tak! potakując począł Pukało. Teraz co do grosiwa wypadnie konferować. Co do tego krótką zdam sprawę. Jest tysiąc czerwonych złotych tych, co się zawsze nazywały jeszcze za życia nieboszczyka ojca pańskiego *zakłętymi*, tych jabym nie ruszał. Złoto węgierskie i obrączkowe, dukat w dukat dobrane jak perły; szkoda by je było puścić marnie... Około tysiąca zbierze się różnej monety około domu, a tysiąc pożyczylem kupcowi do Poznania tak, abym je mógł na każde zawołanie odebrać. Płacą od nich prowizyi pół procentu co miesiąc i dają kawę i cukier. Człek tantny... napiszę tylko do niego, za dziesięć dni będą.

— A na Boga, po cóż mi tyle! wykrzyknął Konrad.

— No, bez okrągłego tysiąca ja pana nie puszcę, odpowiedział stary — już jak tam sobie chcecie. Gdy się jedzie w kraj daleki, między ludzi, nie można się ladajako pokazać, zwłaszcza w tej Wenecyi, bo to się tam przybywszy z Polski należy i postawić, aby nie myślała szlachta wenecka, że my tu samym razowym chlebem żyjemy. Koło domu to tam człowieka znają i nie sądzą go z miny; ale po za krajem mieszek nabity, to najlepsze *testimonium* i *litte-*

rae passus. Nie przystoi, aby mego dobrodzieja wzięli tam za jakąś hetkę, pętelkę. No, nie pojedzieć się też — dodał stary — bez czeladzi, bez pacholika, bez dworzanina..., a no człek do koni jeden i drugi, i koni też...

— Stój! stój! mój Pukało! śmiejąc się przerwał Konrad. Co znowu! co ci się śni! Ja myślę lub sam jeden, lub najwięcej samowtór z węgrzynkiem. Czy to ja taki wielki pan? a teraz już i nie te czasy. Konie mi żadne potrzebne nie są, przyborów nie wiele; te więcej ciężą niż pomagają.

— A! no, to jak wy tam sami rozporządziecie... szepnął Pukało. Przecież w taką drogę tak z kopyta ruszyć niepodobna, trzeba się przygotować. Obmyślimy wszystko; a ja do mojego Kasperowskiego dziś jeszcze o dukaty napiszę.

Poskrobał się stary po łysinie, bo mu się żal zrobiło onych zapaśnych tysiąca czerwonych złotych, ale pocieszył się w duchu, mówiąc sobie: „Pal ich dyabli! aby panicz był zdrów, a nie nudził się, dałbym i dwa. To się odrobi... aby życie i siła...”

Piorunem poszły przygotowania do podróży, bo raz myśl tę powziąwszy, gorączkował się Konrad, chodził, napędzał, śpieszył, aby co najprędzej wyruszyć. W tydzień istotnie Kasperowski złoto owo z Poznania przywiózł, a choć były między niemi i obrzezańce, w ogóle jednak niezłą wagę trzymały. Pięćset najdorodniejszych, tłustych, tuczonych, jak mówił stary, karmionych, dodawał Kasperowski, opieczętowano osobno, na ostateczny jakiś wypadek, gdyby już jaka bieda przyszła. Trzos uszyto umyślnie zamiszowy, mocny; Murzynowska bieliznę, suknie, niektóre kordyały nieodzownie w drodze potrzebne zbie-

rać poczęła. Sam Pukało dobierał suknie, pasy i w czémby się przystojnie okazać można. Koniec końców, rupieci się aż do zbytku wiele nazwłóczyło, bo ludziom co mało po świetle się kręcili, wszystko zdawało się bardzo potrzebne. Chcieli nawet koniecznie namówić panicza, aby wziął koldrę, losią skórę i poduszek choć ze dwie, ale temu się stanowczo oparł Konrad, i kontentował jedną skórą.

Wszystkie te węzłki, puzderka, sepeciki, sakwy byłyby objuczyły wielbłąda, ale Murzynowska i Pukało zaklinali się, że bez tego stąpić za próg nie było można. Klucznica nie wyobrażała sobie nawet, aby bez domowej mięty pieprzowej i melisy puścić się w świat godziło. Trudnoż było nie mieć faszki wódki w zapasie, trochę chociażby wędliny, kawałka sera z kminkiem i słodkiej jakiejśbądź przekąski.

Pukało ledwie się zgodził na to, aby na jednym poprzestać węgryzku, myślał dać starszego i stateczniejszego sługę; ale chłopak się panu do nóg rzucił i wyplakał, że go wzięto.... Tak mu się chciało Grób Pański oglądać!

Ten węgryzek, w istocie, jak mówiliśmy, prosty Maciek, dla czego się węgryzkiem mianował nie było dobrze wiadomo; to pewna, że w Węgrzech się nie urodził i ani ich powąchał.... Węgrem był domowego chowu, tyle tylko, że go ubierano z węgierska. Czupurny malec, wesoly, roztropny, odważny, wygadany, był, jak to dawniej mawiano, ciekawy bardzo. Sam się czytać prawie nauczył i do książek się rwał strasznie, był też do panicza swojego przywiązany bałwochwalsko; wadę miał przecię jedną, lat siedmnaście, a z téj przyczyny niesłychanie czule serce dla płci niewieściej, za którą szalał. Oplacało mu się to nie-

ustannemi kłopotami, guzami nawet i tysiącem nieprzyjemności, ale cierpiął wesoło i wcale się tём nie zrażał.

Zwrócił uwagę pańską na ten defekt węgrzynka Pukało, ale pan Konrad się rozśmiał i ramionami ruszył.

— Za granicą — rzekł — nie znając języka, trudno mu będzie wdać się w jakie miłosne konszachty....

— Ale ba! odparł Dalifur: to takie stworzenie zadaje, że się gotów pannom na migi oświadczyć; ale ja go zreflektuję na odjezdném tём — dodał — że mu przyrzeknę pięćdziesiąt odlewanych, jeśli mi najmniejsze głupstwo zrobi. A że ojciec jego nieboszyk przełał na mnie swą władzę umierając, dotrzymam świącie.

Węgrzynek wysłuchał wprawdzie tój obietnicy wyszczerzając zęby, ale go ona nie ustraszyła... Szczęśliwy był, że jedzie z panem, tak, że gdyby mu Pukało *anticipative* wypłatę należności zaproponował, byłby ją przyjął, byle jechać.

Nadszedł nareszcie wielki dzień rozstania. Pakunek jeszcze się zwiększył troskliwością sług a roztrzępaniem węgrzynka. Rano do kapliczki dworskiej przybył ze mszą świętą pleban staruszek dla pobenedykania na drogę pobożną tego, któremu błogosławił już raz, gdy na świat przychodził.

Cały dwór przytomny był temu obrządkowi uroczystemu, a stary Pukało spłakał się biedaczysko, myśląc o niebezpieczeństwach, które czekały panicza, choć mu ks. pleban starał się wytłómaczyć, że elementa straszniejsze są od ludzi, bodaj pogan, nawałnice groźniejsze od Arabów i Turków, choroby zjadliwsze nad węże i padalce. Skutkiem trafnych tych perswazyj proboszcza było, że głowę sobie nabił

stary i morzem, i burzą, i ludźmi, i chorobami, i padalcami razem... a więcej się jeszcze trwożył niż wprzód.

— Żeby przynajmniej mnie z sobą wziął, mówił Pukało: jabym mu jakoś rady dawał... tylko, że któżby tu znowu bezemnie gospodarzył?

Przeżegnany, oplakany, ale z myślą rzeźwą, z ciekawością wielką widzenia dziadowskiej ojczyzny z krain dalekich, wyruszył Konrad ku nieznanym krajom; a we wrotach Robnina Pukało, Murzynowska, ks. pleban, czeladka, nawet psy podwórzowe, długo stali patrząc na tuman kurzu, który pędził drogą i nareszcie znikł im z oczu.

Zapomnieliśmy dziś, jak się to ongi podróżowało; mamy ułatwień tyle, że dawnych trudności dziś jakoś i pojąć nie umiemy... Ale kto się choćby teraz nawet puszczał na mało udeptane drogi, w pustą Kalabrię, po wybrzeżach Elby i Korsyki, choćby w Abruzzy lub inną okolicę, której nie przeryniają gościńce, na których jeszcze nie czatują oberżyści, ten nocując pod gołym niebem, żyjąc spleśniałym chlebem i zgęstniałym winem, powziąłby wyobrażenie, czém były wędrówki za dawniejszych czasów, gdy niezbrojnemu i nie w wielkim towarzystwie puścić się nawet nie było podobna, a ciekawość lub nieopatrzość często się zdrowiem i życiem opłacała.

Nie było już tak bardzo źle po wielkich traktach w końcu XVIII wieku, i tam gdzie poczty same lub pod eskortą siły zbrojnej chadzały; ale na uboczach podróży samotny musiał się dobrze oglądać, wzbudzał bowiem apetyt nawet w ludziach zwykle na cudze kieszenie i życie niełakomych.

Za to podróż była nierównie więcej zajmująca niż teraz, gdy innego przypadku nad pęknięcie kotła lub wywrócenie wagonów i skrócenie karku prozaiczne, spodziewać się nie można... Spotkania, znajomości, awantury niezmierne urozmaicały wędrowkę; wszystkie niemal romanse stare na gościńcach się poczynają, ciągną i rzadko gdzieindziej kończą niż w gospodzie.

Dla zadomowionego człowieka, który świat nieco był sobie przywykł wyobrażać na wzór swojego kraju, nowe strony nieco się musiały wydawać dziko. Węgrzynek ledwo za granicę wyruszywszy, i śmiał się, i dziwił, i narzekał, i aż prawie od rozumu odchodził. Najwięcej go to niecierpliwiło, że powszechnie ludzie szwargotali niezrozumiałemi językami, z których nie dojść nie było można... i że mowa polska nie była tak powszechnie znana, jak sobie wyobrażał.

Pan Konrad o to przynajmniej kłopotu nie miał, mówiąc niezłe po francuzku, *expedite* po łacinie i po włosku, a nawet odrobinę po niemiecku. Ostatnim z tych języków gdy był zmuszony dłużej mówić, spluwał potem, jakby sobie czém niedobrem usta porzydził.

Po Europie naówczas jeszcze z francuzczyzną a z łaciną łatwo było można wędrować.

Na Szlaku byli jak w domu. Przejeżdżając Czechy, węgrzynek utrzymywał, że i tam po polsku mówiono, ale jakimś spieszczonym językiem. Dalej wpadli w niemieckość, a dojechawszy do Wiednia, chłopak już tylko na migi rozmawiał.

Nim ztąd do Tryestu potrafili się dostać przez ogromne góry, nadziwił się ich urodzie i wielkości, nastrachał przepaści, które mu się po nizinach i równinach przeraźliwie ogromnemi wydawały... a dopie-

roż gdy zobaczyli morze... otworzył gębę i stanął jak wryty!

Ta woda bez końca i pływające po niej lupiny od orzechów, myśl, że się w kruchej łodzi przyjdzie puścić na te bezdenne obszary przepaści — odjęła odwagę chłopakowi, i zmusiła go prawie żałować, że spokojny kąt w Robninie za piecem tak lekkomyślnie i porywczco opuścił.

Pan Konrad był wesół, w najlepszym w świecie humorze, radował się wszystkiemu, znosił niewygody heroicznie, a zajmowała go najmniejsza rzecz do tego stopnia, że się aż zapominał. Węgrzynek często go za rękaw pociągnąć musiał, aby godzinę spóźnioną przywieść na pamięć.

Już w Wiedniu pan Konrad bardzo się począł przypatrywać niewiastom, wyglądającym nieco żywiej i fantazyjniej od tych, które dotąd spotykał; ale niemieckie owe pulchne a białe piękności, choć na młodego chłopaka oczyma niebieskimi rzucały, jeszcze mu były za flegmatyczne, za nadto do ziemi zdawały się przyrosłe.

W Tryeście jeszcze Włoch tak prawie jak nie było. Włoszianki z okolic, gdyby nie osielki, na których na targ przyjeżdżały, przypomniałyby mu domoroste wieśniaczki, nawet nieco językiem... ale tu już na okręt przyszło siadać i do Wenecyi płynąć. Biło serce coraz żywiej Konradowi do stariej dziadowskiej ojczyzny...

Nie było pogotowiu innego statku nad jedną barkę kupiecką kapitana Weneta, powracającą od Wschodu, która do Wenecyi odpływała; na tę się tedy wybrali podróżni nasi. Gdy przyszło życie zdradliwemu powierzyć żywiołowi, znacznie spoważnieli oba.

Statek ów, który się zwał *Padre Antonio*, spory był i pokaźny, ładowny kupią, którą wiózł ze Wschodu. Burza go była zmusiła szukać chwilowo przytulku w porcie, z czego korzystając zabierał nieco podróżnych z sobą. Ale już na pokładzie ledwie było cokolwiek miejsca wolnego zostało; towary, ludzie, skrzynie, powrozy, różna gawiedź w liczbie wielkiej go zalegała.

Zgodziwszy się z owym kapitanem Wenecyaninem, który mimo polityki usługę swą wyświadczoną podróżnym na cekiny dobrze obliczyć potrafił, Konrad na łódkę zabrawszy pakunek i węgrzynka, puścił się, polecając się Matce Miłosierdzia, do statku.

Jeździł-ci to i on i węgrzynek jego nieraz po jeziorze w Robninie, bał i po Gople — ale tam się nigdy woda tak nie ruszała jak tutaj. Rzekłbyś, że ją kto w kotle warzył. Zdawało się, że co chwila łódka się ochynie i zanurzy, słone wody pluskały w twarz, a trzymać się potrzeba było dobrze za burt, aby nie wylecieć.

Statek szczęściem niezbyt odlegle stał od brzegu, i ta krótka pierwsza przeprawa poszła szczęśliwie. Wdrapał się chłopak na okręt po drabince jak kot, pan Konrad też dosyć zręcznie; rzeczy powciągano bez szwanku, a na szerszym pokładzie i serca przybyło. Zdawało się też jakoś bezpiecniej.

Gdy rzeczy w kątku złożono, siadł węgrzynek na tłomoczku i począł się rozglądać po okręcie, a było się też czemu przypatrzeć, i Konrad też ciekawie oczyma strzelał, bo dla nich wszystko to było nowe.

Okręt płynął aż z Carogrodu, a po drodze do różnych portów przybijał, nabral też i wędrowców siła wszelkiego rodzaju, począwszy od tych, co do czyś-

ciejszego miejsca mieli prawo, aż do biedaków poświęconych na dnie i na tyle okrętu.

Twarzy ogorziałych, zawojów zbrukanych, strojów dziwnych było podostatkiem.

Kapitan, niestary jeszcze człowiek, ale obeznany z morzem i bywalec, wesołego usposobienia, czuwał pilno nad swym statkiem, a gdy mu się wypocząć godziło, brał za gitarę i podśpiewywał, albo z podróżnymi baraszkował. Mężczyzna wzrostu tęgiego, barczysty, ogorzały od słońca i morskich wiewiów, wyglądał po trosze na korsarza, choć nie zabawiał się tym rzemiosłem i ucziwie towarem handlował. Z *Doganą* czasem miał małe zatargi, ale to była domowa sprawa.

Oprócz niego obfite było towarzystwo i urozmaicone: dwóch brudnych Turków, którzy podesałwszy sobie kilimki, siedzieli z nogami pod się podkurczonemi i palili fajki, nieustannie im nakładane przez małego murzynka, bardzo zwinnego chłopaka; dwie Turczynki zawinięte w muślin i okryte rodzajem namiotu, aby ich ludzkie nie dopatrzyło oko; kilku czarnych, ogorziałych Greków z nożami za pasem, i — co niezmiernie dziwiło węgryzka — w białych spódnicach; kilku Włochów; dwóch naostatek bogatych Żydów, którzy na uboczu obstawiwszy się swojemi pakami, siedzieli osobno.

Był i braciszek Kapucyn, chudy niezmiernie, bosy, w habicie łatanym, łysy zupełnie, który sobie w kątku się modlił.

Gdy kapitan obliczył się, że mu już nikogo nie braknie, dano znak do odjazdu. Wiatr był pomyślny i obiecywał statkowi podróż niedługą, łatwą, koło brzegów ciągle, tak, że prawie lądu z oczu tracić

nie mieli. Pogoda też po gwałtownej burzy ustaliła się prześliczna, powietrze było wonne, świeże, chciało się je pić i lykac piersią pełną... Widok na sinzielone fale zachwycał. Zakołysał się wkrótce okręt po wyrwaniu kotwic, rozpięto szeroko żagle; powiał w nie wiaterek lekki.

Padre Antonio unoszony falami pędził już z dobrą myślą ku królowej Adryatyku...

Już się byli nieco odsunęli od brzegów i tryesteński amfiteatr wzgórzy piękną ich oczom malował się panoramą, gdy z pod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych.

Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły: Turcy podnieśli zwieszono głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarze, węgrynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie.

Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo niezmiernie wyglądające? — Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwacznie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało.

Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryczy Cenci w jednej z galeryj rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobniutkie regularne rysy niezmiernego wdzięku, którymi się uśmiechała mała czarownica.

Usteczka jój rumiane podobne były do rozkrojonej wisienki, czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistemi strzałami, pleć białą jak śnieg, włosy... no! włosy — niestety! — były rude. Nie była to jednak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś nakształ bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana—drogi ów kolor Wenecyankom ulubiony, który sobie nadawać umiały sztuka, jeśli poskapiała im téj ozdoby natura.

Na dziewczęciu wszakże znać było, że sobie główki nie wypiekała na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy, które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak, że zdawały się ciężyc małej główce, którą opasywały kilkakroć węzłem wielkim, misternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały.

Dziewczę ubrane było nie wiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach pantofelki żółte złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie, na to rzucona sukienka z muślinu, potem płaszczyk cięższy aksamitny galonami bramowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik rozpięty, szyty bogato, i pas z frendzlą złocistą, spływający do kolan, i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczy, a na szyi łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo.

Znać było, że się czuła piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obudzi, bo się jakoś zaraz zwyczajko obejrzała dokoła, i z uśmiechem zwróciwszy się do kapitana, spytała go włoszczyzną wenecką, wskazując na Konrada: coby był za jeden?

— *E un signore Polacco...*

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekała dziewczę, które śmiało podeszło do Kon-

rada, wzięwszy się jedną ręką w bok, i poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Mówiliśmy już, że Konrad był bardzo przystojnym młodzieńcem, rycerskiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, nie wypadło mu też ladajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał na sobie suknię z węgierska adamaszkową z pętlcami złotymi, a na niej płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał, czapkę z czaplém piórem, szablę piękną u pasa, i turecki szal zamiast zwykłego przepasania.

Twarz jego smutna, poważna, zamyślona, oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły z niego piękny wzór dla malarza. Dolabella byłby go mógł pochwycić na jeden z tych szkiców, których tyle na papier wyrzucał.

Dziewczę zdawało się to uznawać, bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał można powiedzieć od jój wzroku. Gdyby chwilę dłużej, byłby go może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi biła i do głowy, a rumieniec krwawy oblewał całego. Nie wiedząc co z sobą robić, bo mu i ręce zawadzać zaczęły, i nogi drżeć, i suknie dolegać, sięgnął ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie.

Dziewczę widać samo zrozumiało, że tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło, i rozśmiałszy się, pierzchło ku kapitanowi, który z boku poglądał wesoło na stworzeńko kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej troskliwego ojca i opiekuna.

Sarnecka poczęła potem przebiegać pokład, przeskakując liny, paki, wymijając siedzących, przypatrując się nieznanym twarzom, uśmiechając się do

jednych, krzywiąc na inne, jak pieszczone dziecię, któremu wszystko wolno.

Przybiegła do namiociku Turczynek, odchyliła opone, włożyła główkę, coś poszeptala, rozśmiała się głośno, i znowu poczęła skakać po pokładzie.

Węgrzynek, który aż był wstał, wodząc oczyma za tém zjawiskiem, pociągnął z lekka za płaszcz swego pana i zapytał go:

— Co to jest, proszę jegomości? Czy to kobieta? czy... tak sobie?

Konrad się rozśmiał, nie dziwiąc się pytaniu, bo istotnie dziwowisko to było prześliczne, cudowne, a niełatwo określić się dające — tak sobie.

— To dziecko! rzekł do węgrzyka...

— Dziecko! a jakiegoż to narodu? cicho zapytał chłopak, oczu oderwać od niej nie mogąc.

— Narodu? ano Włoszka i Wenecyanka pewnie być musi, odparł Konrad.

— „Ot! ot! półdyablę weneckie też!” rzekł w duchu Maciek; „ale chyba cały dyabeł!”

Dziewczę obiegłszy statek, powróciło na środek, zbliżyło się do kapitana jakby szukając u niego opieki, ale twarzą zwróciło się ku Polakowi i zapatrzyło na niego dłużej i poważniej.

— Cazità! szepnął Włoch do niej: nie patrz się tak na tego młodzieńca, bo gotów oszaleć...

— O! kiedyż bo mi się bardzo... bardzo podobał! śmiało odpowiedziała dziewczyna. Jestem nawet pewna tego, że i ja mu się też musiałam podobać bardzo... bardzo...

— Cóż dziwnego? z lekka klepiąc ją po ramieniu, rzekł kapitan: a komużbyś się ty nie podobała, miły

ty mój szatanku? Ciebie i twoje oczy potrzebaby chować jak bazyliuszka, żeby ludzi nie zabijały.

— Mój ty miły — odparła dziewczyna — czyż ja zabijać mogę? ja co w życiu jeszcze nikogo nie nawidzieć się nie nauczyłam. bo mnie wykołysała miłość... a tak mi dobrze było zawsze, że dałabym szczęście całemu światu, aby wszystek ze mną śpiewał...

Kapitan wciąż na nią patrząc, uśmiechał się czule; nareszcie powoli usta zbliżył do białego jej czoła i pocałował ją... prędko lzę ocierając, która się na mężkiem oku znalazła.

— Taka była pocziwa, śliczna, dobra, kochana matka twoja... i tak nam z nią na świecie dobrze było; ale Pan Bóg mi jej pozazdrościł i wziął ją do swoich niebios...

— Wszak my się tam kiedyś wszyscy razem znajdziemy? szepnęła Cazita — nie prawdaż? Matka Bozka, przed którą lampę palę co sobota, wstawi się za nami... złego nie robimy tak bardzo wiele... a Pan Bóg dobry i łaskaw... my pobożni i prawi chrześcianie... nie prawdaż? Ja ufam, że Matka Bozka z otwartymi rękoma wyjdzie przeciwko nam...

Kapitanowi znowu lzy kręciły się po powiekach, pocałował córkę.

— Nie mówmy o tém — rzekł cicho — nie mówmy... patrzaj-no lepiej... jak piękne to morze nasze.

— E! morze! znam je dobrze, odpowiedziało dziewczę. Wszakżem się to ja z szumem jego oswoiła jeszcze w kolebce... Przez cały ten czas, cośmy w Tryeście były z ciotką, chodziłyśmy ciągle nad brzeg albo na wschody katedry, i pasłyśmy się tym widokiem, po którym tęskno nam było, wyglądając

Padre Antonio. Ale tu morze wydawało się nam inne niż w Wenecyi, tameśmy je wzięli w niewolę, a tu ono szumi swobodnie, i śpiewa, i ryczy, i śmieje się, i gniewa... O! miły Boże! gdyby żywy człowiek... Ojciec — dodała ciszej, zwracając ku niemu twarzyczkę — pozwól ty mi popatrzeć na twarz tego Polaka... nie widziałam jeszcze Polaka nigdy, nigdy, a ten jest bardzo ładny! Gdyby zagadać do niego, jakimby on mówił językiem?

Kapitan się uśmiechnął.

— Gdybyś ty do niego przemówiła dziewczyno, to zrozumiałby po włosku i po włosku odpowiedział... Tobie cudów dokazywać nie trudno.

Cazità rozśmiała się, patrząc mu w oczy.

— Umie po włosku? zapytała cicho.

Kapitan nie chciał snadź odpowiedzieć ani przecząco, ani potakująco, milczał.

— Chodź ty ze mną, odezwała się: będę śmielsza, ty za mnie przemówisz do niego; chcę tylko posłyszec dźwięk jego głosu... jestem ciekawa, bardzo a bardzo ciekawa... a taką mam naturę, że człowieka nie znam póty, póki mi głos jego nie zaszemrze w uchu i nie odbije się w sercu... Głos więcój mówi niż słowo...

— Ale na cóż ci go bliżej poznawać? przerwał jej ojciec ze smutkiem. Jutro ci z oczu zniknie ta twarz smutna... i zapomnisz o niej. Tak w życiu naszym przesuwają się ludzie jak te fale szumiące: musną, zaszumią, i okręt je minie, a fala o brzeg się rozbije gdzieś daleko.

— Nie chcesz? spytała tęsknie.

— Chodź... rzekł kapitan,—chodź, tobie nic odmówić nie podobna... I prowadził ją za sobą ku Kon-

radowi, który ujrawszy ich zbliżających się ku sobie, poczerwieniał znowu i mocno się zakłopotał.

Gdy stanęli przed nim, sama grzeczność wymagała ukłonu; zdjął więc kołpaczek z czaplém piórem i pozdrowił dziewczę milczące, które się weń wpatrywało jak w tęczę.

— To córka moja, począł kapitan trochę połamaną włoszczyzną, w której wenecki dyalekt i mieszaninę różnych języków czuć było... Znalazłem ją wypadkiem trochę w Tryeście i odwożę do Wenecyi. Dziecko, jak widzicie, jeszcze trzpiotowate, a już ciekawe podwójną ciekawością dziecka i kobiety... Otoż się wam przypatruje, bo Turków już widziała dużo, Greków dosyć, nawet Francuzów i Tedesków, ale z waszego narodu goście u nas rzadcy.

Pan Konrad zdawał się zbierać trochę na odpowiedź, i z podziwem wielkim Cazity, rzekł wreszcie czystą tokańską włoszczyzną, ślicznie brzmiącą w jego młodych ustach.

— Jestem Polakiem i zarazem Włochem, rzekł z wolna, — a szczycę się tém, że należę do szlachty weneckiej i polskiej zarówno... Widzicie więc we mnie signorino istotną osobliwość, bo Polaka-Włocha... a ja w was, dodał, większe daleko cudo, bom takiej piękności jakem żyw i nie oglądał, i nie marzył...

Cazità słuchała cała drżąca, zarumieniona, z biciem serca... ale już słów na odpowiedź nie znalazła: stała się nagle trwożliwą, prawie smutną; głos, który tak usłyszeć pragnęła, niezmiernie głębokie, prawie bolesne uczynił na nią wrażenie...

Spojrzała z jakimś strachem na Konrada, i nieśmiało wyrzekła po chwili:

— Jedziecie do Wenecyi... a! zobaczycie tam daleko, daleko piękniejsze nademnie... i żywe signory na gondolach, i nieśmiertelne na obrazach naszych mistrzów... Od tych pewnie oczu nie oderwiecie.

— Choćbym najcudniejsze widział, odparł grzecznie Polak — pierwszej Wenecyanki widzianej w życiu do śmierci nie zapomnę.

Cazità bardzo była zaczerwieniona i zakłopotana, bawiła się frendzlą swojego płaszczyka, z pod długich rzęs kilka razy rzuciła nań oczyma czarnemi, uśmiechnęła się dziękując, ale ojciec ją odciągał, i sama czuła się dziwnie zmieszana, pożegnała go więc lekkim ukłonem... Ale żegnając, zdrajczyni jeszcze raz wpoila w niego wejrzenie, a co mu niem powiedziała nieopatrna, o tém prócz Konrada nikt, nawet kapitan nie wiedział.

Zrozumiał tę mowę biedny młodzieniec, bo się nią upił od razu; potarł ręką po czole, jakby chciał oprzytomnieć; a gdy znowu tęskne oczy podniósł ku niej, kapitan i jego córka znikli.

Szmer tylko jój sukni posłyszał za sobą i dźwięczny, cichy uśmieszek dziewczęcia.

Wtém węgrynek za płaszcz go pociągnął.

— A! panie! panie! zawołał: jeszcze też jakim żyw podobnej kobiety nie widział. Żeby człowiek umiał, toby ją sobie namalował, aby się na nią nieustannie patrzeć.

Konrad uśmiechnął się tylko.

Statek gnany wiatrem pomyślnym, wydawszy szare żagle, ślizgał się po falach morza, jakby igrając z niemi; słońce złociło zielone wód bałwany, obwieszając je strzępkami złotemi... W oddaleniu to płaskie, to najeżone górami* jakby z chmur tkanemi

siniały wybrzeża, malując barwami powietrznymi... Widok był zachwycający.

Na statku panowała cisza, ledwie przerywana rzucanemi niekiedy rozkazami kapitana i wykrzykami majtków.

Cazità znikła była, wsunęła się do namiotu kobiet tureckich i bawiła się temi spowitemi w białe obłony mumiami, usiłując z ust ich zakwefionych dobyć jakie słówko. Znużone Turczynki, równie ciekawe a rade jój, uśmiechały się, przypatrując dziecku, które brały za jakąś almeę. Dwaj Turcy z za dymu fajek poglądali ku namiotowi, z pod którego opony maleńkie nóżki Cazity w pantofelkach złotych migwały się dziwną pokusą. Obaj cmokali ustami i głowami kiwali ku sobie znacząco. Z namiotu szalone śmiechy słyhać tylko było.

W téj chwili z pod pokładu, od wschodków wiodących do izby kapitana, ukazała się niespokojna głowa kobiety, która w innym rodzaju, ale nie mniej-sze mogła uczynić wrażenie nad pierwsze zjawisko.

Głowa ta, której oczy zdawały się czegoś szukać po pokładzie, należała widocznie do podżyłej niewiasty, która może niegdyś była piękną, ale teraz stała się po prostu okropną.

Podobnych spotyka się wiele i w Wenecyi, i po całych Włoszech, gdzie kobieta dojrzeva prędko, starszeje wcześniej i brzydnie niesłychanie. Zdaje się, że za karę może, te, które słyneły niegdyś z piękności, stają się potem najpoczwarzniejszemi.

Ciotka Cazity, jakkolwiek blisko spokrewniona z tą znakomitą pięknoscią, nic a nic do niój nie była podobna. Na szerokich ramionach i karku grubym, pofałdowaną, okrytym skórą, osadzone było to obli-

cze olbrzymich rozmiarów, kolorytu niepewnego, ciemnego, a rysów do zbytku wyrazistych.

Czarne niegdyś, krucze włosy pani Anunziaty, których część uciekła, a reszta wysiwiała, ułożone były dość niedbale, niepokryte niczém, ledwie z tyłu szpilką spięte. Wichrzyły się one w nieładzie wcale niemalowniczym. Duży nos, usta grube, cała dolna część twarzy porosła jak u dwudziestoletniego młodzieńca puchem czy mchami, okryta skórą zmarszczoną i dziwacznie pokrajaną, składały fizygnomię wybitną, niemiłą, chociaż wyraz jój dobrocią i łagodnością uderzał, tém dziwaczniejszą im mniej spodziewaną na takiém obliczu.

W Wenecyi i Tryeście, gdzie pani Anunziata miała krewnych, utrzymywało się dotąd podanie o wielkiej i wspaniałej jój piękności; ale historye opowiadane o tém, sięgały już lat dwudziestu kilku. Ślady tych wdzięków pozostały chyba w oczach czarnych, wspaniale oprawnych, ale których wyraz bardzo przygasał. W téj chwili właśnie, oczy te niespokojnie biegały, szukając czegoś czy kogoś. Naostatek usta zniecierpliwione poruszyły się i tubalny głos odezwał:

— Cazità! Cazità! Cazità!

Za każdym powtórzeniem rósł on, potężniał i stawał się niecierpliwym.

Z pod opon namiotu jak ptaszę furkające z gniazda, wyleciało dziewczę, śmiejąc się przeskoczyło gruby zwój lin okrętowych, i zatrzymało się dopiero na brzeżku nad samą głową signory Anunziaty, którą zjawieniem się swém widocznie rozpromieniło.

— Patrę na pokład, po kątach, wszędzie — po skrzynkach, po dziurach... a nie mogę tego trzpiota znaleźć! zawołała ciotka, grożąc palcem po nosie.

E!-ty bałamucie jakiś niegodziwy, aż mi się serce ze strachu ścisnęło... nie wiedziałam gdzie cię szukać.

— Ależ ciotko Anunziato, śmiejąc się odparło dziewczę: jeszcze w Tryeście, gdym wpadła do ogrodu signory Maryi, mogliście się trwożyć o mnie; ale tu... cóż mi się tu stać może na tym ciasnym statku, gdzie oko ojca czuwa nademną?

— Co ci się stać może! powtórzyła Anunziata; albo ja wiem, czego ja się boję? dosyć, że byłaś mi z oczu znikła, lękam się o ciebie, nawet tu... nawet tu. Ot tak!

Rozczuliła się stara i uczuła potrzebę otrzeć rozczulenie fartuchem.

— Patrzaj-no, dodała zwracając rozmowę: już dobrze z południa, możeby się co zjeść dało... he? powietrze morskie zaostrza apetyt. Zapytaj-no ojca: i on może także nie od tego?

— E! e! mnie się wcale jeść nie chce, szepnęło dziewczę, i chcąc być bliżej ucha ciotki, przypadło na pokładzie, a nachyliwszy się nad starą, mówić poczęło:

— Ciotko Anunziato, czyście wy kiedy widzieli Polaka?

— Polaka? nie; zdaje mi się, że nigdy, odpowiedziała ciotka. Był jeden w Wenecyi niedawno, mówił, że bardzo bogaty, co zamiast pieniędzy woził z sobą cegły złote, ale mi go nie pokazali...*)

— Otoż ja wam innego pokażę, szczebiotła Càzità. Jest tu jeden, i taki piękny, ciotko Anunziato, że się na niego nie mogę napatrzeć.

*) Książę Padziwill.

Ciotka z oburzenia nad tym bezwstydem aż splu-
nęła, uderzając dziewczę po rękę.

— Wstydz-bo się ty jakaś... Już ty mi szukać
będziesz oczyma i wybierać pięknych mężczyzn! pa-
trzajcie-no ją! dam ja ci: ho! ho!

— Ciotko Anunziato — śmiejąc się wcale nieustra-
szona groźbami temi, mówiła Cazità — ciotko Anun-
ziato, otwórz dobrze oczy... patrz, tam, za mną, na
pokładzie w lewo... dalej, dalej, stoi mężczyzna
w czapce z piórkiem. Powiedźże mi, jak kochasz Ma-
donnę, czy nie piękny?

Ciotka przechyliła się nieco, podniosła się nawet
o jeden wschód wyżej, grube swe ręce wsparła na
pokładzie, przymrużyła powieki, dojrzała nareszcie
czapkę pióra, i aż westchnęła biedna.

— Przystojna bestya... ale to pewnie heretyk, do-
dała chcąc Cazità odstręczyć. Ci obcy ludzie, zwłasz-
cza od północy, w piątek mięso jedzą, i do Matki
Bożkiej nigdy się nie modlą.

— Ale ten to co innego, ciotko Anunziato, pod-
chwyciła Cazità: to jest Polak i Wenecyanin razem,
jego przodkowie wyszli od nas... tak, tak, sam mi
o tém mówił najpiękniejszą włoszczyzną w świecie.

Ciotka aż ręce załamała.

— Patrzcie ją! niegodna, bezwstydną... toś już
z nim gadała!

— Ciotko, śmiała się Cazità,—chodziłam z ojcem...
ojciec był przy rozmowie...

— Stary dudek... szeptała ciotka; ale dziewczę
nie zdawało się słuchać, i dodało szybko:

— Wypytywałam ojca o Polaków; są oni dobrzy ka-
tolicy jak my, nawet mówił mi ojciec, że u nich Kró-
lową całego kraju jest Matka Bożka.

Anunziata pokiwała głową niedowierzająco.

— Może to i być zresztą, rzekła — wiesz przecież, że Signoria i lud, Chrystusa Pana dawno ogłosili królem Florencyi... ale nie wiem czy oni są katolicy!!

— O! niezawodnie! niezawodnie, śpiesznie dorzuciło dziewczę. Ale jakże się on wam wydaje? powiedzcie?

— At, niczego! niczego sobie, kiwając głową rzekła Anunziata — ale widziało się piękniejszych; nieboszyk doża swojego czasu, kiedy go obnosili koło Prokuratorji po placu Św. Marka... o, to żebyś była widziała jak wyglądał! No, a tak potem zestarzał... ot, jak ja! Westchnęła Anunziata.—Co ta piękność w czło-wieku znaczy! nie warta cekina... dziś jest, jutro po niej ani śladu...

— Słuchaj, ciotko Anunziato, poczęła szczebiotać mała, zarzucając jęj ręce na ramiona:— piękność coś znaczy, mówi... Pan Bóg ją dał niedarmo... z rąk bożych wychodzimy wszyscy pięknymi... a świat nas męczy, męczy, aż się oczy wypłaczą, i usta wykrzywią...

— Zkąd ty to bierzesz co mówisz? odparła ciotka. Czemu mnie to do głowy nie przyjdzie? Utrapione dziecko, mózg tak sobie temi myślami wysusza. Oto chodź, nie patrz, nie myśl... a dam ci ryby, bułki, sera... zjesz, i będzie ci z tém zdrowiej!

Miała posłuchać Cazità rozkazu, gdy ciotka za-wołała podnosząc głowę:

— Kapitanie Zeno!

Kapitan wydawał rozkazy, ale odwrócił głowę do dobrze znanego mu głosu.

— Cóż tam każe signora Anunziata ?

— Każę, każę iść jeść, głód na morzu niedobry, a i wina szklanka ci nie zawadzi...

— A cóż ci podróżni jeść będą ? zapytała Cazità.

— Muszą tam mieć z sobą coś w sakwach, a co nam do tego ? żywo odparła ciotka, — przecież nie godzili się o jedzenie. Jeśli im głód dogryzie, niech poproszą i zapłacą... To są ludzie, których pieniądze już przeznaczone na to, aby się rozsypały po drodze; lepiej, żebyśmy my je wzięli, niż kto inny. *Ecco*.

— A ja wiem, szepnęła cicho, ale żywo Cazità: że ojciec mi pozwoli zanieść polsko-weneckiemu szlachcicowi *fiascone* wina, a choćby sera i chleba...

— Nie pozwolę, nie, rzekł śmiejąc się kapitan; ale sam mu je zaniosę.

— A czemuż nie ja ? spytała córka.

— Dla tego, dziecko ty moje, zawołał Zeno — że z serem mógłby i ciebie zjeść.

Rozśmieli się, ale wtém Cazità bardzo zręcznie wyminąwszy ciotkę, wśliznęła się na wschodki, spadła po nich jak kot w głąb statku, i w chwilę potem wydrapała się nazad po cichu z fiaszką oplataną, serem i chlebem. Jednym susem stanęła przed Konradem, skłoniła mu się, uśmiechnęła, wskazała na ojca, tłómacząc pochodzenie daru... i zarumieniona, słowa nie rzekłszy, uciekła; wpadła nazad na wschodki, znikła... Kapitan Zeno uśmiechał się, ciotka gderiała.

Tymczasem na pokładzie, ta postawiona fiasza, ten chleb i ser, niewykwintny dziecięcego serca podarek, pozostał przed Konradem, który go tknąć nie śmiał, tak był niezmiernie wzruszony dowodem współczucia i dobrego serca dziewczęcia. Lica mu gorzały, serce biło: przecież nie spotkało to nikogo innego,

tylko jego... jego jednego,—za tém... szły złotem tkane ludzkie marzenia. Cazītà była tak cudnie piękna, on tak młody!

Węgrzynek patrzył na to zdziwiony, ale trochę i dumny, że się na jego panu poznać umiano.

— Słuchaj-no chłopcze, rzekł do niego Konrad: rozwiąż-no mi ty zaraz ten sepecik, co jest w miechu skórzanym, a żywo...

Chłopak ukląkł i zabierał się do roboty, nie wiedząc o co chodziło, ale domyślając się, że pan po polsku miał zawdzięczyć ową flaszkę wina i chleba kawałek.

Tak było w istocie. Panu Konradowi przyszło na pamięć, że na wyjeźdném poczciwy Pukało, który niczego nie zaniedbał coby w podróży przydać się mogło (czytając różne opisy wędrówek dla informacji—jak powiadał), wynalazł tam, że wszędzie małemi datkami wiele zrobić było można. Za pozwoleniem więc pryncypała nakupił różnych *ad hoc* fraszek, to jest *ad captandam benevolentiam* wschodnich narodów służyć mogących, między innemi dosyć wyrobów bursztynowych. Te bursztyny przypomniał sobie pan Konrad. Nie chciał on zbyt kosztownym darem obrazić kapitana i jego córki, a chciał polskiem sercem poczciwém, czémś im przecię odwdziaczyć. Na wierzchu w sepeciku leżał właśnie piękny różaniec bursztynowy z Męką Pańską zgrabnie wyrobioną. Zdało się Konradowi, że go przeznaczenie jakieś umyślnie położyło na oku, i dobył różańca, ściskając w dłoni, czekając tylko pory dogodnej, aby z niego ofiarę zrobić ślicznemu dziewczęciu.

Do Wenecyi daleko było jeszcze, wiatr ku wieczorowi zwolnił, statek posuwał się leniwo, miał

więc pan Konrad dosyć czasu, a gdyby nawet zawstydzona Cazità pokazać się nie chciała, postanowił go dla niej oddać ojcu. Tak, ze spokojniejszym już sumieniem wziął się do wina, chleba i sera.

Węgrzynek byłby się chętnie o swoją też część tej biesiady upomniał, bo go dosyć wewnątrz zwijało, ale Konrad postanowił nie zostawić ani prószynki, i z oczu mu było widać, że gotów był bić się o nie, gdyby mu je kto chciał odebrać.

Węgrzynek więc dobył swojego chleba kupionego w Tryeście, i pożywał go, odświeżając prozaiczną cebulą, która mu dość smakowała. Wzdychał jednak po ojczystej słonince przypiekanój, kto wie czy i nie po gorącej misie krupniku — ale te były daleko.

Nieszczęściem nawet cudowny widok zachodzącego słońca, które coraz jaskrawiej złościło fale i malowało niebo najczystsze farbami swojej palety, nie nasycał chłopaka, który mu się przypatrywać nie umiał.

Wieczór na Adryatyku był istotnie czarowny, niebo w świątecznych swych szatach, morze w atlasach drogiemi kamieniami sadzonych, powietrze przepojone wonią orzeźwiająją. Niekiedy wiatr od lądu przynosił jakby sny czeremch rozkwitłych i bzów rozpachniałych. Statek się ślizgał, niezbyt daleko trzymając się od brzegów; uroczyste na nim panowało milczenie. Turcy odprawiali swe modlitwy; wielu znużonych podróżnych odpoczywało na pakach; kapitan patrzył opodal w stronę Wenecyi, ojczystego swojego miasta, które kochał bardzo, którego był zawsze wiernym dzieckiem, do którego tęsknił w podróży i pilno mu je ujrzeć było. Przy najpomysłniejszym jednak wietrze dopiero nazajutrz o dniu białym mieli ujrzeć z morza dobywające się campanille i płowe wybrzeże Lido,

na którym wśród ogródka i winnicy stał dom stary kapitana Zenona.

Cazità połajana przez Anunziatę usiadła w kątku, zasłoniła oczy paluszkami, i udając smutek wielki, śmiała się szczerze... jak dziecko.

Pocziwa ciotka ze swą rozczochraną głową stała nad nią wzięwszy się w boki, i dopełniała sumiennie, gderząc, obowiązków opiekunki.

— Madona del Salute! Madona delle Grazie! Otoż jak to dziś ta młodzież jest płocha! wołała. Tak! tak! to ci się niczém zdaje, nieznajomemu, obcemu człowiekowi okazać niby zimną grzeczność tylko. Tak! tak! nie w tém nie widzisz zdrożnego? prawda! Cazità! Cazità! Ależ to tak a nie inaczej gubią się wszystkie dziewczęta. Jedno spojrzenie, jeden ukłon, uśmiech jeden, a szatan potrafi z tego korzystać. Zawiązał pętelkę i pociągnie cię nią do piekła! Tak! tak! *signorina mia*, tak! nie się to zdaje, mała rzecz na pozór, ale wielka być ona może w nieobrachowanych następstwach. Czytałaś historję pięknej Maryi Cervi, którą sprzedają na Riva dei Schiavoni: cóż ją zgubiło nieszczęśliwą? upuszczona rękawiczka. Dyabeł tę rękawiczkę pochwycił. Możesz być pewna, iż on na duszę twą nie czatuje w postaci tego pięknego młodzieńca, który, przyznaję, że jest wcale przystojny. Przypomina mi nawet nieco mojego pocziwego Apostoła, choć o wiele ma mniej wdzięku, i dużo od niego niższy wzrostem. No! widzisz, przyznaję, że piękny, bo uważam, że ruszasz ramionami — cóż z tego? Dyabeł się przebiera za anioła, gdy chce duszę ludzką na zagubę wyprowadzić.

Cazità nie mogąc już wytrzymać dłużej, parsknęła śmiechem. Ciotka rzuciła się prawie rozgniewana;

mówię „prawie,” gdyż tusza i dobre serce nigdy się jój bardzo gniewać nie dopuszczały.

— Tak to wy wszystkie młode dziewczęta, starszych słuchacie... jedném uchem wleci, a drugim wyleci.

Cazità rzuciła się jój na szyję.

— Droga moja, nie bój że się o mnie! zawołała. Szatan do mnie nie przystąpi... noszę krzyżyk na piersiach, pacierz mówię regularnie co rano, zęgam się przy obudzeniu zaraz...

— Wszystko to bardzo dobrze — odpowiedziała nieco uściskiem udobruchana ciotka, całując ją w czoło, — ale szatan mądrzejszy od ciebie.

— Ale Pan Bóg, ciociu, mocniejszy od szatana.

— Tak! ty masz zawsze na wszystko gotową odpowiedź! odparła ciotka.

Na tém skończyła się rozmowa. Dzieweczce się już bardzo na pokład iść chciało; zaczęła się skarżyć na duszność i gorąco. Ciotka groziła na nosie, ale pieszczoszcze oprzeć się było trudno, a gdy załadowała czego, straszliwie była uparta.

Po malutku Cazità przysunęła się ku wschodkom, skrycie wzięła za poręcz, cicho wstąpiła na próg ich, i skromnie, niby tylko dla odetchnięcia świeższym powietrzem, poczęła posuwać się ku górze.

Ciotka dobrze już wiedziała, na czém się to skończy; ale nie miała serca się sprzeciwiać. Udawała, że nie uważa.

Gdy pan Konrad z utęsknieniem poglądał w stronę, od której mógł się spodziewać ukazania się dziewczeczki, główka jój wychyliła się, pokazała, rozśmiała i znikła. I znowu wypłynęła ostrożnie raz, drugi, a z kobiecą przewrotnością zwróciła się ku oj-

cu, jakby ją tylko ku niemu tak ciągnęła tęsknica. Ojciec się jój też uśmiechał, tak dawno nie widział dziecka, a tak mu ono było drogie! I skinął. Na dole krzyknęła ciotka Anunziata; ale już było za późno, ptaszyna jednym skokiem na pokład furknęła.

Chciał zaraz korzystać z tego Konrad, ale bał się oniesmielić ją zbyttem pośpiechem, zaczekał. Dopiero gdy ojciec z córką gwarząc rozchodzili się po pokładzie, z wolna z ukłonem przystąpił do kapitana i jego córki, i powoli odezwał się kłaniając:

— Signor capitano! śliczna córka wasza biednego wędrowca z dalekich stron gościnnie przyjęła na pokładzie statku; ma więc i on prawo prosić, aby tę bardzo ubogą pamiątkę przyjęła od niego.

To mówiąc, rozwinął śliczny złocisty różaniec z bursztynów wielkich jak laskowe orzechy, i oddał go zarumienionj Cazicie, która z obawą, radością i niepokojem jakimś na skinienie ojca go przyjęła.

Kapitan rękę Polakowi ścisnął.

— Dziękuję wam za szczodrość waszą, rzekł; lękam się tylko, by datek nie był za wspaniały.

— Proszę sobie nie wyobrażać, aby w naszym kraju rzeczy te kosztownemi były, odparł Konrad; wstyd mi małej jego wartości... Ale to owoce naszj ziemi, morze go u nas wyrzuca, jak wiecie, i morze go robi w swém łonie ze skamieniałej drzew żywicy.

Cazita przypatrywała się uśmiechając różańcowi, i bawiła się nim... Niezmiernie jój było pilno pochwalić się przed ciotką; ale nim uciekla, odezwała się wlepiając oczy w Konrada:

— Bądźcie pewni, że póki życia, tój pamiątki z waszego morza, waszj ziemi i waszj dobroci ni-

komu nie oddam, nigdy nie rzucę. Za was na nim modlić się będę.

Tych słów kilka wymówiła okrywając się całą rumieńcem szkarłatnym, uśmiechnęła się, spojrziała raz jeszcze, i po wschodkach jak uragan spadła do izdebki, wysoko nad głową niosąc zdobycz swoją, którą podrzucała i igrała po dziecinnemu.

Ciotka, która drzemała na poduszkach, zerwała się przestraszona.

— Co się stało? zawołała.

— Patrz! patrz! co to mi za tę *fiaccone* wina ofiarował piękny ów polski młodzieniec! co za cudny sznur bursztynów! jaki śliczny krzyżyk przy nim!!

Anunziata, która już była poczęła podziwiać bursztyny, zobaczywszy krzyżyk, puściła je z rąk i siadła widocznie zachmurzona.

— Cóż to! czy się wam nie podobało?

— Te dzieci to nic nie wiedzą — zawołała Anunziata. Powiadam ci, to jest zły dar! zły dar!

— Jak to? cóż w tém może być złego? przerwała Cazità smutnie prawie. Ofiarował mi go przy ojcu, ojciec przyjąć dozwolił, wszelkie formalności zachowane... cóż złego?

— Czyż nie wiesz — dodała ciotka — że rzeczy świętych kawaler kobiecie dawać nie powinien, bo one są złą przepowiednią!

— Złą przepowiednią!... błędniejac powtórzyło dziewczę. Ani ja, ani on o tém nie wiedział pewnie.

I stanęła zamyślona.

— E! ciotko Anunziato, rzekła po chwili: żli to ludzie wymyślili te niedorzeczności; czyż może być co złego w tém co święte i pobożne? Jużcić szatan nie

mógł zamknąć się w bursztynie, tak jak w nim czasem komary i muchy bywają zalane...

Ciotka potrząsnęła głową.

— Kto tam zbada biedną ludzką głowę, dla czego jedno złe oznacza, a drugie dobre wróży? czemu pogodny zachód dla żeglarza czasem burzę zwiastuje, a chmurny ranek dzień pogodny?

— Otoż ja się mojego różańca nie boję! zawołała Cazità,--i całując krzyżyk szepnęła: Odtąd na innym się modlić nie będę...

I zarzuciwszy go sobie na szyję, dobyła zwierciadła.

— Jest mi z nim bardzo ładnie! rzekła — patrz Anunziato!

— A w czémże tobie nie pięknie, póki masz te lata!! mówiła stara. Skomponuj co takiego, aby mnie w tém było pięknie, to dopiero sztuki dokażesz...

Cazità parsknęła śmiechem... i na tém się skończyło.

Szybko po zachodzie słońca, noc zaczęła zapadać ciemna, gwiazdzista, a coraz chłodniejsza... Zwinęto trochę żagli, podwojono ostrożności, odsunął się statek nieco od brzegów, zapalono w izdebce lampę przed Madonną, niektórzy z podróżnych powoli zaczęli się zabierać do snu.

Cazità rzuciła się na swe poduszki, wieczorną zmianę stroju poczynając od włosów i klejnotów, któremi była obwieszona.

Powoli, pokład dosyć ożywiony we dnie, stawał się coraz cichszym; snuli się po nim tylko majtkowie, przechadzał kapitan doglądając, czuwał sternik u rufy, reszta nie lubując się w pięknej nocy, którą księż-

życ miał za chwilę rozjaśnić i uczynić przezroczyso-srebrną, kładła się spać, gdzie kto stał. Turcy na swych skórzanych poduszkach i kilimkach już drzemali; inni też podobniejsi byli pozawijani w płaszcze do martwego pakunku, niżeli do żywych ludzi. Żegluga tak się zdawała bezpieczną, noc tak się zwiastowała pogodną, kapitan tak dobrze znał te wybrzeża, które dziecięciem na łódce, szamocząc się się z bałwanami, opływał!...

Długo Konrad marzył, oparty plecami o swoje tłomoki, Bóg wie już tylko o czém.... o morzu zieloném, o dziewczęciu białém, o Ziemi Świętej, o podróży długiej, o domu porzuconym, o kraju smutnym, o szczęściu niedostępném, aż mu się oczy powoli zmrużać już chciały. Koło niego węgrzynek w burkę uwity przewracał się też z boku na bok, stękał, i nie mógł przybrać się do snu, choć zwykle miewał sen łatwy i do zbytku się w nim nawet lubował.

Już było dobrze w noc, a Konrad znowu rozbudzony przyglądał się wschodowi księżyca, który z oparów morskich wstał czerwony, jakby z łaźni wychodził—gdy nagle węgrzynek się pochwycił z posłania, otrząsnął, przeżegnał i coś mrużyć począł.

— Cóż ci to? czyś niezdrów? spytał pan.

— Juścić zdrów, proszę panicza, rzekł chłopak, ale co zasnąć, to ani weź.

— Przecież cię gdyby w kolebce kołyszą.

— I jać to sobie mówię, ale nie... ino oczy zmrużę, to mi się dwie twarze poczynają przekomarać: Jedna ta jójmość siwowłosa, dużo brzydsza od Murzynowskiéj, a drugie to pöldyablę weneckie ze swoją ślicznością—i człek zasnąć nie może.

— Któż? co? spytał Konrad.

— A te dwie co wylażą z dziury, dodał Maciek. Te dwie... człek jeszcze w życiu nie podobnego nie widział.

Paniczowi nie było lepiej, więc się rozśmiał.

— Ta druga, co to ja ją z pozwoleniem pańskim, pół-dyabłem nazywam—mówił węgrynek—piękna jak sto dyabłów, ale i straszna!

— Czémże straszna?

— Albo ja ta wiem! odrzekł Maciek. Jakże to wytłómaczyć, czemu ocet w gębie kwaśno smakuje? Tak i to. Straszna ta i straszna, że strach... Człek-by się na nią patrzył a patrzył; oczu oderwać nie sposób... a po duszy ciarki chodzą... Proszę panicza, u nas kobieta choćby najpiękniejsza, to będzie jakoś inna, będzie zawsze z przeproszeniem trusiątko, bojaźliwa, oczka spuszcza... zdaje się drzy, kuli się, stracha, i człowiekowi z nią różniej, — a ta!! oho!... Proszę tylko panicza, jak ona się patrzy, to człowiek czuje, że go do szpiku przenika; a gdyby tak pod tym wzrokiem pottrzymała dłużej, to dalipan zdechłby.

— Otoż się rozgadał! rzekł Konrad, uśmiechając się. Praw, co ci na myśl przyjdzie; weselę mi, gdy tak gwarzysz. Cóż dalej mój Maćku?

— A dalej, proszę łaski panicza, odparł Maciek zmieszany,—dalej to już ja nic nie wiem. Tylko mi jój strach.. Myślę sobie, żeby szatan chciał człowieka spokusić na złe, to jużby chyba inaczéj się nie sprezentował.

Panicz rozśmiał się i westchnął: chłopak słowy in-nemi, wyrazistszemi malował wiernie te wrażenia, jakich na sobie Konrad doznawał. I on był bezsenny, wzruszony, a myślał bez ustanku o tych oczkach czarnych, i słyszał śmieszek jój srebrny, i kręciła mu-

się po pokładzie cała błyszcząca, iskrząca, jak kiedy ją widział we dnie.

— Maczku mój, odezwał się Konrad wreszcie: przeżegnaj się, to cię mary odleca, a śpij dobrze, bo jutro już dopłyniemy do miasta, z którego dalej przyjdzie żeglować do Ziemi Świętej... A będzie przy wyborze siła roboty i na wodzie niestatecznej kłopotu niemało; bo nie każdy dzień i nie każda noc tak spokojne i pogodne wypadną jak dzisiejsze.

Maciek posłuchał, przeżegnał się i legł, ale panicz nie zasnął. Prózno się przewracał z boku na bok, dobierał miejsca na kobiercu,—oczy się już kleić nie chciały. Trzymała je też otwartemi i ciekawość; pierwszy raz był na morzu, a ta noc powitania trafiła mu się zachwycająca.

Cicho podniósł się księżyc coraz stygnąc i jakby bledniejąc, bo z drugiej strony za łańcuchem gór w prawo, już się powoli pierwsze brzaski dnia wiosennego marzyły, i widniało coraz, i morze dalekie, z razu zamglone rozjaśniało się, a po niém jak stado łabędzi niezliczone łodzie rybackie ze swemi żaglami białemi, szaremi, w pasy czerwone, snuły się jak wpół uśpione. Statek je wymijał co chwila, ludzie się pozdrawiali lekkim okrzykiem tylko, i płynęli dalej.

Dzień coraz już szybciej nadchodził, szerzej roztaczały się odbłaski jeszcze niewidomego słońca, aż z łoża purpur i złota w jednej chwili wystrzelił brzeżek tarczy, rósł, a po falach przebiegło jakby drzenie, jakby muzyka promieni grająca świetnemi dla oka jakby barwami, hymn blasków dziennych. Na horyzoncie księżyc zawstydzony, jak biała został plamka, ale wszystkim świat za to zajaśniał, rozwidniał; góry zaczęły się rysować ostrzej, wody zieleniej wyglądały,

piana była srebrzysta, po szafirze niebios migąło, zwijając się, białe ptactwo morskie... I łodzie, których przody zdobiły wizerunki świętych, przestały widma udawać, przyznały się do drewnianych osmolonych boków, konopnych sznurów i wilgotnych sieci, któremi były poobwieszane.

Wszyscy jeszcze spali twardym snem poranku. Konrad zachwycony modlił się w duszy; błogo mu było... on jeden sęczył. oczyma tę tajemniczą chwilę uroczystą stworzenia, mówiącą wyraźnie o Bogu do serca człowieczego; zdało mu się, że podsłuchiwał szept ziemi, korzając się i modląc się przed tronem Ojca...

Kapitan nawet, obrócony ku sterowi swojego statku, drzemał, ale niebezpieczeństwa nie było, płynęli drogą znaną, wiaterek coraz raźniej popędzał, okręt zdawał się czuć i wiedzieć dokąd płynie, ciągnęło go ku domowi, ku Wenecyi.

Ledwo ukazało się słońce, wilgotna noc chłodna pierzchnęła gdzieś nagle ze swemi mroki i powietrzem zimnym; ciepło poczęło rozchodzić się coraz szybciej, tak, że w godzinę zrobiło się gorąco. Śpiący rozbudzili się, poczuwszy, że ich inna atmosfera otacza. Turcy obmywszy się, już modlili się; dalej Żydzi rozpoczynali także głosić chwałę bożą; ostatni chrześcianie przeciągnawszy się, żegnali się i mruzczyli krótkie modlitewki ziewając.

Od wschodków ujrzał Konrad nagle rozkwitłą, rozespaną, różową twarzyczkę Cazyty.

Nie spodziewała się może, by ją kto tak nieprzystrojoną zobaczył; ale śpioszek ze zwiniętymi włosy, które się porozplątywały i spadały w nieładzie na ramiona, jak sploty rośliny spływające z wazonu,

śpioszek był inaczej, a zawsze cudnie piękny, piękniejszy jeszcze może, niż gdy się przystroił. Na twarzy rumieniec snu wykwitał, oczy mniej były rozhuwane niż we dnie, usta jeszcze ziewały, trochę białych, perłowych pokazując ząbków...

Wyrzała bojaźliwie, ale zdumiona, gdy spostrzegła utkwiony w sobie wzrok Polaka, zawstydzila się bardzo, rączką machinalnie poprawiła włosy i schowała się. Jednak nie całkiem chciała nie być widzianą, a patrzeć, jedno oko tylko na pół nad deski pokładu się wysliznęło.

— Czyżby nie spał? myślała; czy się tak rano przebudził? czegoś się zadumał, a patrzy, o! ku mnie, ciekawy! Dam mu *buon giorno!* E! nikt nie patrzy, ciotka śpi jeszcze, ojciec drzemie obrócony plecami, o Turków nie dbam, co mi tam obcy!

I wysunęła główkę, śmiało uśmiechnięta i cicho, aby nikogo nie budzić, posłała mu *buon giorno signore!* które on więcej odgadł niż posłyszał. Zdjął kołpaczek, skłonił głowę, a obejrawszy się wkoło, od ust posłał jój pocałunek!...

Sam nie wiedział doprawdy jak się to zuchwalstwo stało, zawstydzil się, ona mu pogroziła, ale nie straszno, popatrzała chwilkę i znikła.

Oczy Konrada padły przerażone na starego chudego Kapucyna, który na uboczu stał z różańcem w rękę, i pogroził mu palcem, i pokiwał głową.

Konrad zawstydzil się mocno.

Dopiero gdy ochłonawszy od tego spojrzenia groźnego, rozmyślać począł nad popełnioną nieprzyzwoitością, Konrad przekonał się, że był bezwstydnym zuchwalcem... Ukłon mógł być dozwolony, naturalnie, ale ten ruch ręki do ust! o! to już było za

wiele! to był prawie kryminal! Kapucyn miał słuszną, gdy groził: to mówiło wyraźnie we wszystkich świata językach: „Pocałowałbym cię, gdybym mógł.“ A jakież miał prawo panicz podróżny do tak poufałego zbliżenia?...

Było to źle, było szkaradnie, ale pan Konrad tłómacząc się przed sobą, przypisał ten szal wpływowi bezsennéj nocy i południowego klimatu. W kraju nigdyby był tego nie śmiał uczynić; Włochy snadź mają swe prawa...

Zrodziła się też kwestya ważna: czy ona była za to gniewna czy nie? czy widziała potępienie i groźbę chudego Kapucyna? Była obawa zarazem i były znaki niektóre pocieszające, uspakajające... Stało się po rozwadze i rachunku, że musiała być trochę obrażona, ale niezbyt śmiertelnie.

Wypadało też rozmówić się z Kapucynem, który właśnie ranną kończył modlitwę, i prosić go o rozgrzeszenie. Konrad zbliżył się do niego nieśmiało, i w rękę go pocałował obyczajem naszym; księżyna uśmiechnął się łagodnie.

— Złapaliście mnie, ojcze, na mimowolnie popełnionej nieprzyzwoitości, odezwał się Konrad; alem złój myśli nie miał... Stało się to, sam nie wiem jak...

— Dziecko moje, odparł powoli Kapucyn — dzieje się to tak zawsze mimo wiedzy, kiedy człowiek nie czuwa nad sobą. Zbrodnia niewielka, ale po co ci karmić myśli puste i w niej i w sobie? Obcy jesteście, za godzin kilka rozdzieli was los znowu na wieki.

— To prawda, rzekł Konrad; ale nie godzi się Boga chwalić w dziełach Jego?

— Tak! tak! sofistykuj jegomość! Chwalcie Boga inaczej, to będzie bezpieczniej.

I począł się śmiać stary, klepiąc po ramieniu Konrada.

— Jużem w waszmości poznał Polaka, rzekł, — a znałem dużo ziomków waszych i w Rzymie, i w Padwie, i na Szlązku, gdzie trochę gościł. Wszyscyście poczciwi, ale tacy lekcy... i płomieniści, że żal bierze patrząc na was... jak upolować łatwo tę biedną zwierzynę... Ej! ej! — dodał wzdychając — ino się też pilnujcie, gdzie oczu czarnych dużo, a nie wszystkie tak niewinnie patrzą, jak córka naszego kapitana, która jest dzieckiem jeszcze...

— Nie bójcie się, ojcze, rzekł Konrad: choć Wenecya jest mi na pół ojczyzną, bo z włoskiej rodziny pochodzę, nie myślę tu bawić długo, tyle tylko, by się u grobu Św. Marka pomodlić i okręt dobrać, coby mnie zawiózł do Ziemi Świętj, do grobu Zbawiciela.

Kapucyn popatrzał, śmiejąc się i potrząsając głową.

— Ty, moje dziecko, do Ziemi Świętj? a cóż to? ślub?

— Nie, pobożność i ciekawość razem.

— E! e! dodał stary: wątpię ja, żebyście tam dojechali; uwięźnicie w Wenecyi, zrazicie się trudnościami i niebezpieczeństwami... o! może i jakie oczy czarne nie puszczą.

Konrad się uśmiechał, ale te przepowiednie trochę go dotknęły.

— Czyżby ta podróż tak w istocie miała być ciężka? zapytał.

— Jam ją odbywał dwa razy w życiu, cicho odparł Kapucyn: raz świeckim jeszcze pokutnikiem, drugi już w sukni zakonnj... Ale wierzaj mi: dodał,

pomódl się tutaj, a nie zapędzaj się zbyt daleko, jeśliś ślubu nie uczynił... mało kto cały powracał

Konrad się zadumał, staruszek znowu poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i rzekł:

— Dłużej o tém rozpowiedzieć mogę; przyjdźcie do mnie do *Frari*, i spytajcie u fórtty o starego *padre Serafino*.

To mówiąc, dobył różańca, i na nowo chodząc po pokładzie, zaczął szeptać ranne modlitwy. Konrad stał w miejscu zamyślony.

W tych dumaniach tak się zatopił, iż nie postrzegł, jak słońce dopominało się o zrzucenie opończy. Węgrzynek też już na pół upierzony, oczy przecierał i pacierz odmawiał, ziewając. Wszystko na nowo żyć i ruszać się poczynało na pokładzie: Turcy pili kawę, którą im zgotował Murzyn, i palili tytuń; inni przekąsywali i popijali co kto miał.

Konrad także zajrzał do swój flaszki, i napiwszy się z niej, postrzegł jasno jak na dłoni, że *Cazità* bardzo się gniewać nie mogła, że się może nawet nie gniewała wcale, tylko dla przyzwoitości wypadalo jej okazać pewne niezadowolenie.

Pod pokładem budziła się i ciotka *Anunziata*, a *Cazità* zastała zadumaną głęboko, już czuwającą, ale jeszcze niebiorącą się do stroju. *Cazità* myślała także, co miało znaczyć to pocałowanie wysłane przez powietrze — czy się niém obrazić wypadalo, czy uważać je za oznakę niewinną więcej niż chwilowego uwielbienia...

— Nie mógł przecię mieć złej myśli młodzieniec, który mi wczoraj tak ładny różaniec darował?... to widoczne... gniewać się nie ma o co; ale trzeba też trochę być zimniejszą, bo to jakiś gorączka, choć

z chłodnego kraju pochodzi! O! tak! muszę być bardzo ostrożną i baczną, chociaż zrażać go znowu nie ma potrzeby, nie! Takby mi było przykro, gdybym go zraziła! Ale ja to potrafię.

Po główce jej krzyżowały się myśli różne, tak poplątane potem, tak dziwne, że ich już zwinąć w pasmo jedno nie umiała.

Ciotka zęgnąła się i modliła, poziewała, zaczynała gderać powoli. Cazità czesała długie włosy i wybierała nowe sukienki.

Cała ich paczka leżała przed nią.

Na pokładzie, począwszy od kapitana, wszyscy twarzami obróceni ku przodowi okrętu stali, sięgając w dal oczyma. Z kilku ust po cichu zerwało się: *Ecco!*

Daleko, daleko, widać było piaszczystą ławę... to Lido, a nad nią, jak wysokie pnie drzew wyrastające proste, smukłe campanille. Kapitan rozeznawał już nawet San Giorgio, dzwonnice Św. Marka i ledwie dla drugich widoczny biały wierzchołek kopuły *La Salute*. Ale co chwila rozjaśniał się ten obraz, rosły dzwonnice, po nad ławą piasku poczęły wystawać mury.

— *Venezia! ecco Venezia la bella!* zawołał głośno kapitan, i odkrywwszy głowę, witał ją ze łzą w oku; drudzy witali uśmiechami.

Statek wszystkie rozpuścił żagle, śpieszył zdyszanym, pilno było i majtkom, i sternikowi, i podróżnym.

Nigdy powolniej nie dościgamy celu, niż gdyśmy go już najbliższej. Naówczas zdaje się, że on ucieka, szydząc z niecierpliwości naszej, przed nami. Na ostatek i Cazità wybiegła na pokład z powitaniem „dzień dobry“ dla ojca, choć już nie pierwszym na ustach. Tego dnia zapragnęła być zupełnie inną niż wczoraj —

dla czego? to tajemnica kobiety. Ubrała się całkiem czarno, nie włożyła klejnotów, nie powieszała łańcuszków, tylko bursztynowy jeden złożył się na sukni różaniec. I włosy zwinęła prościej, a była w istocie tym strojem do niepoznania zmieniona i znowu dziwnie piękna a znowu całkiem inna — czarownica!

Wczorajszy trzpiotek nabrał powagi i spokoju, choć z po za ułożonych poważnie ustek, młodość zająca uśmiechała się figlarnie. — Przytuliła się do ojca.

Widać już było Lido. Kapitan z dala rozeznawał swój dom stary, murowaną kamieniczkę u brzegu morza, oplecioną winną latoroślą.

Żałował, że wprost przybić tam nie mógł; trzeba było opłynąć w około, i stanąć naprzeciw nieubłaganą Dogany.

Na statku, jak zwykle przed wysiądzeniem, ruch się zwiększył, pakowali się wszyscy: Turcy swoje towary, żony, kilimki i poduszki, kupcy ormiańscy i greccy tłomoki, Żydzi węzélki, majtkowie porozrzucane rzeczy. Węgrzynek i pan Konrad stali i patrzali jedni nic nie robiąc; nietyle im było śpieszno co innym, a daleko dziwniej. Chłopak już był téj, którą nazywał półdyablęciem weneckim, zapomniał, bo miasto owo wyrastające wprost z morza, zdające się pływać po niém, całe go pochwyciło. Kiwał głową, załamywał ręce, ruszał ramionami i co chwila się żegnał.

— A! Święty Antoni! wołał: to już chyba dyabeł budował nie ludzie. Jakże my tu żyć będziemy mogli, kiedy ja pływać nie umiem?

Konradowi gdy statek stanął, gdy już na ląd się potrzeba było wybierać, zrobiło się dziwnie smutno, i pomyślał sobie:

— Już więcej może tój cudnej nie zobaczą towarzyszki... a póki życia jój nie zapomnę! Otoż to los człowieka: mignie mu słonko i zachodzi chmura, i znowu ciemno a ciemno na wieki.

Ani się domyślał, że Cazità szeptała ojcemu na ucho, aby koniecznie podróżnego Polaka na rybę do siebie zaprosił. Nigdzie tak ryb nie przyrządzano morskich jak u cioci Anunziaty, a potrzeba się było pochwalić przedziwnym ich smakiem przed tym wędrowcem z daleka. To było koniecznością, obowiązkiem, a za różaniec wypłatą długu.

Ojciec był trochę zazdrosny, trochę się lękał; ale trafiła na dobry humor. Powracał do kraju z korzystnej i szczęśliwej podróży; jakże było pieszczonemu odmówić dziecięciu?

— Co on tam sobie o nas pomyśli? rzekł do córki; gotów posądzić, że my go łapać chcemy, żeś ty płocha zalotnica, a ja podstępny awanturnik.

— A! ojczel! ojczel! jemu widać z oczu, że podejrzliwym nie jest.

— A ty czytasz w oczach jego?

— Jak w otwartej drukowanej księdze. Napisano w nich, że jest pocziwy, a pocziwi o niepocziwość drugich nie posądzają.

— *E vero!* rzekł z uniesieniem Zeno, całując ją w głowę; zostaw to mnie.

— Bo ja go zobaczyć muszę! dodała stanowczo choć zarumieniona dziewczyna; pokażę mu moje piękne Conchille, a jeśli ma matkę lub siostrę, dam mu z naszego morza różaniec dla siostry lub matki.

— Albo dla żony! dodał śmiejąc się kapitan Zeno.

Dziewczę stanęło jak rażone tym domysłem; ale pocałunek posłany z rana wnet rozproszył podejrze-

nia. Była pewna, że żonaty nie byłby śmiały jój posłać tego rannego całusa.

— O! on nie jest żonaty! zawołała śmiejąc się.

— A z kądże ty to wiesz tak pewnie? spytał ojciec.

— No, wiem, odparła śmiało; dosyć, że wiem.

Musiał ojciec spełnić uparte żądanie córki, ale ostrożniejszy od niej, chciał to uczynić niby sam z siebie. Odprawił ją do izdebki, chodził długo, narzecie jakby przypomniawszy sobie coś, zbliżył się do Konrada i podał mu rękę.

— Otoż i nasza wspólna ojczyzna, rzekł wskazując na miasto, mamy się nią prawo pochlubić: wydarliśmy ją morzu i uczynili panią jego, a podziwem świata. Zabawicie tu pewnie, nie zapomnijcie i o domu kapitana Zenona. Każdy gondoler tę starą kamieniczkę naszą łatwo wam pokaże. Będziemy wam z serca radzi! Ciotka Anunziata obiecuje dla was zgotować rybę taką, jakiej drugi raz w życiu jeść nie będziecie!

Mówił, a Cazità z daleka oczyma mu dała do zrozumienia, że należała do spisku, że wiedziała, o co proszono. Konrad skłonił się, szczęśliwy bardzo, ona go pożegnała uśmiechem i niedostrzeżoném skinieniem głowy... a tuż, tuż, i zamęt wylądowania się poczynął.

— Gondola! signori! gondola! krzyczeli w czerwonych czapkach przyplływający przewoźnicy.

Czarne łódki, podobne do jaskółek z lotu i kształtu smukłego, okrążyły statek. Zrzucano pakunki, spuszczeni się pilniejsi po wschodkach i linach. Przed podróżnymi roztaczała się w całej swój wspaniałości słońcem ozłocona Wenecya, naówczas jeszcze pani Adryatyku, choć już podupadająca, pałac Dożów, Salute, Kanał Wielki, pałace, wieżyce, kopuły, koś-

cioty... I krzyki ludu dochodziły od Riva dei Schiavoni aż tutaj. Roilo się przy Piazzecie.

Nasi podróżni z podziwu nad tym cudem prawie o sobie zapomnieli; węgrynek odmawiał: *Pod Twoją obronę*, gdyż zdało mu się, że pierwszej nocy, pierwszej burzy, całe miasto morskie wody pochłonać muszą.

— Co dziw, to dziw! — szemrał w duchu, — ale wolałbym ta siedzieć doma... nie najadłbym się tyła strachu! Ano pełniusienko ludzi, ta i co robić... może się to zbędziemy strachem, ale doma było siła bezpieczniej...

Pan Konrad miał sobie wskazaną *antica locanda* na wybrzeżu; zwała się ona *Croce di Malta*, ale nie ta była co dzisiaj.

Gospody też ówczesne w ogóle do terazniejszych nie były podobne; sztuka przyjmowania i odzierania podróżnych empirycznie, instynktowo się wykonywała, i nie miała jeszcze tych form pewnych, systematycznych, jakie przybrała dzisiaj. Dawne *locandy* i *osterie* były to jeszcze niby domy gościnne, a nie najemnicze zajazdy. To też zaledwie się nastęrczył podróżny, gospodarz zaraz starał się go poznać, ocenić, wymiarkować, i wchodził z nim w poufały stosunek, a był zwykle pokorny, zapobiegliwy, przyjacielski, serdeczny i niezmiernie usłużny. Słynęli oberżyci z bystrości umysłu niepospolitej, zwłaszcza w sposobach korzystania rozlicznego ze swych gości. Przymiotu tego nie stracili i dzisiaj, różnica jest w tém tylko, że dawniej odzierali kłaniając się, a dziś drą i łają. Postęp widoczny.

Locanda *Croce di Malta*, acz dosyć nawiedzana, nie była bardzo wspaniała, ale ówczesny jój właś-

ciciel signor Beppo Zanaro, słyszał z tego, że umiał każdemu dogodzić, każdego poznać, przypochlebić mu się i w potrzebie wmówić, że było w *Croce di Malta* lepiej niż w raju.

Beppo Zanaro, którego gondolierowie zwali poufale *il gran ladrone*, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu, tuszy odpowiedniej, czerwony, błyszczący, wesolój twarzy i wyparzonej gęby. Dawniej znakomity kucharz, dziś ograniczał się zwierchnim tylko nad kuchnią nadzorem, mając wiele ważniejszych spraw na głowie. Dobry humor i uśmiech na ustach, jak klucze u pasa, należał do atrybucyj jego stanu.

Zaledwie gondola przybiła do brzegu, a z niej ukazał się kołpaczek z czaplém piórem, Zanaro, który czatował we drzwiach gospody na podróżnych, nadbiegł aż do wschodków z czapką swą ponsową w rękę. Jednym rzutem oka poznał w przybywającym znakomitego, a zatém i majątnego cudzoziemca, był więc szczęśliwszy, weselszy, grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Podał rękę wysiadającemu.

— Eccellenza! zawołał z zapalem, mam się za szczęśliwego, iż tak znakomitego patrycyusza pierwszy w Wenecyi powitać mogę... Dom mój, osoba, wszystko jest na wasze usługi... Nie chwale się — dodał trzepiąc bez ustanku, — nie ujmuję drugim ich zalet, ale niech powie Wenecya cała, niech poświędzi Rzeczpospolita, niech sława mojego domu głośna po świecie, dowiedzie waszój ekscellencyi, iż lepiej trafić nie mogliście. Przyjmujemy samych tylko najdosłojniejszych gości, i to nie w widokach podłego zysku, ale dla honoru zbliżenia się do ich osób, dla przyjemności służenia im... Witam was,

witam, i proszę! proszę za mną! najlepsze pokoje! najwykwintniejsza gondola... najtroskliwsza usługa...

Konrad milczał, uśmiechając się; węgrynek po-
glądał z ukosa na tego wyginającego się w łamanych
ukłonach olbrzyma, czerwoną jego szlafmycę i błysz-
czące oblicze.

Na skinienie oberżysty, niesiono już rzeczy do
Croce di Malta, a ile paczek, tyle obdartusów się
znalazło do posługi: szereg był wielki, od wschodów
do drzwi ciągnął się nieprzerwany, każdy coś pochwy-
cił i niósł, aby mieć udział w zarobku... Ostatni dźwi-
gał w tryumfie kawał podartój rogoży...

— Bądźcie spokojni, mówił gospodarz poprzedza-
jąc gościa z odkrytą głową: nie tu nie zginie, ja rę-
czę... Jak się stanąć podoba w. excellencyi? w sali
i oddzielnym appartamencie, czy w kilku pokojach we-
sołych, lepiej jego incognito zachować mogących?

— Jak najskromniej, rzekł wreszcie Konrad, któ-
rego włoszczyzna zdziwiła Zanara.

— Wszystko na rozkazy! pojmuję miłość ciszy,
spokoju i zacisznego kąta!! w. excellencya masz
gust, którym i ja się szczycę! Ale pozwolicie spytać,
z jak dalekich krajów szczęśliwie wiatry tu tak do-
stojnego dały nam gościa!

— Jadę z Polski! rzekł Konrad.

— Z Polski! w dłonie klaskając zawołał Zanaro,
udając zachwycenie. O! jakżem szczęśliwy! z obli-
cza to waszego odgadywałem, na tém czole maluje
się szlachetność waszego narodu, który ja kocham i
wielbię! Pozwólcie, abym kraj szaty waszój ucałował.
Eccellenza...

— Ale choć Polak, dodał z uśmiechem Konrad — jestem zarazem Włochem i Wenecyaninem; familia moja pochodzi...

— O Boże wielki! oburącz uciskając piersi, krzyknął Zanaro: a to cud! a to szczęście niewysłowione! Pozwólcie, bym wam się przypatrzył, bym się nasycił wami, bym niegodnemi usty imię wasze wygłosił.

— Lippi de Buccelis, rzekł Konrad.

Gospodarz łzę otarł wzruszony, już mu tchu brakło.

— A! rzekł ciszej — tylko patron mój, oblubieniec Maryi, mógł mi tak wielkie i rzadkie dać szczęście... Widzicie uczucie, jakiego doznają.... Rodzinę Lippich, główny ród Buccelich znam, znam z dawna, wiem ich zasługi i dzieje, nowym się one blaskiem na ziemi polskiej okryły.

Skłonił się.

— Dość, rzekł: nie chcę was utrudzać wyrazem uczuć moich; cieszę się, że tak dostojna osoba trafiła pod dach uczciwego człowieka... Oddadzą mi też sprawiedliwość w Wenecyi, zem tu pośród tysiąca szalbierzy i oszustów sam jeden czysty jak szkło naszej fabryki w Muranie... Spocznięcie eccellenza! dodał, wprowadzając go do pokojów pierwszego piętra dosyć wspaniałych, choć nieco obrukanych. Dom cały, ja, rodzina moja... na usługi wasze... sam zajmę się installacją.

Węgrzynek stał ogłupiały, pewien będąc, że trafili szczęśliwie albo na krewnego, lub na starego przyjaciela domu. Konrad był zmieszany... Gospodarz już czuł się panem, ale chciał okazać się łaskawym, i po chwili usunął się nieco, przyrzekając tylko obiad godny samego Doży.

Jakoż w godzinie obiadowej nadszedł sam zapraszając eccellenzę, i dając do wyboru albo samotny posiłek w pokoju lub honorowe miejsce u swój *tavola rotonda*.

— Eccellenza może być przekonany, dodał: że nie śmiałym wzywać go do naszego stołu, gdybym nie był pewien, że towarzystwo, jakie się zbierze, powinno mu być miłym... Mam tylko znakomitego lekarza niemieckiego powracającego z Padwy, który zapragnął *miraviglia* grodu naszego oglądać, i signorę Boccatorta, sławną śpiewaczkę, jadącą na dwór cesarski, dokąd została wezwana, razem z kawalerem Gerardim, który jęj w drodze towarzyszy... Będę też miał przyjemność przedstawić excellencyi waszj żonę moją i córkę Magdalenę...

Spodziewając się, że wyjść będzie musiał, pan Konrad był już przybrany jak należało, miał na sobie żupanik wiśniowy atłasowy i kontusik czarny aksamitny, pas siatkowy złoty i bogatą karabelę na rapiach jedwabnych karmazynowo ze złotem przerabianych. Do tego czapeczkę karmazynową z piórkiem, w której mu było bardzo do twarzy...

Trzeba przyznać, że i malowniczo i pańsko się prezentował Lippi, tak, że we własnej ojczyźnie trudnoby go kto był poznał za Włocha; krew polska i życie nasze już go na innego przerobiły człowieka. Na płótnach Weronezyusza tylko coś podobnego do niego z twarzy w dawniejszych czasach znaleźć było można. Wenecya ówczesna znacznie już podupadła, a upadek każdego narodu nawet z fizyognomii jego wyczytać się daje.

W salce na dole zgromadzeni już byli goście signora Zanara, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zaj-

mowała niesłychanie strojna panna Zenobia Boccator-ta, Włoszka, rodem z Medyolanu, brunetka słuszna, wspaniałej postawy, dumnego wejrzenia, pogardliwej minki, ale w istocie zachwycającej piękności. Był to raczej piękny posąg niż kobieta, w którejby się na pierwszy rzut oka rozkochać można, lecz niepodobna było nie dziwić się jej olśniewającemu blaskowi. Włoszka wiedziała snadź o tém dobrze i pyszniła się sobą... Po za nią stał towarzysz i stróż tego skarbu wiezionego na dwór cesarski, cavaliere Gerardi, dobrze dobrany, aby zazdrości ani podejrzenia nie wzbudził, mały, garbaty, z twarzą od ospy oszpeconą, wra-azu zimnego i złośliwego.

Daléj trochę doktor Niemiec, człowiek młody, przy-stojny, ożywionej twarzy, uśmiechał się grzecznie do signory Zanaro, gospodyni domu, osoby już niepierwszej młodości, z pięknymi czarnymi wąsikami, podwójnym podbródkiem i tuszą wspaniałą, po za której rob-ronem kryło się pisklą domu, córka jedynaczka Mag-dalena, biała, rumiana, ni ładna, ni brzydka, ale we-solój twarzyczki i fluternych nad wiek oczu.

Wszystkich wejrzenia zwróciły się na wchodzącego Polaka, nawet signora Zenobia obdarzyła go dosyć łagodnym skinieniem główki, a Magdusia nie spuściła go z oka tak się jej — strój (jak mówiła) po-dobał.

Zasiedli do stołu, na pierwszym miejscu śpiewaczka, kawaler Gerardi, nasz Polak, daléj reszta towarzy-stwa. Gospodarz acz miał krzesło, nie siedział, aby czuwać nad kuchnią i podawaniem potraw... Nie-wiele też mógł jeść, bo mu się gęba od gadania nie zamykała. Miał mówić o czém, o Wenecyi, o Polsce, o perze, o dostojnych przybyszach, o historyi grodu

i historii domu. Konrad mało się odzywał, był milczący. Niemiec, który doskonale się był w Padwie wyczył po włosku, Zanaro i gadatliwa Magdalenka śmieli się i zabawiali wszystkich w czasie biesiady, która wcale zła nie była, ale dla cudzoziemca dziwna trochę.

Każdy mniej więcej tłómaczyć się musiał, z ręcznie wyciągnięty na słowo, z powodów przybycia do Wenecyi; czynili wszyscy mniej więcej szczerze wyznania, których snadź signor Zanaro na coś potrzebował. Gdy kolój przyszła na Polaka, opowiadał otwarcie o pochodzeniu rodziny, o tęsknocie, która go z kraju wyгнаła, i o zamiarze udania się do Ziemi Świętej.

Usłyszawszy to gospodarz, począł bardzo głową kiwać i ramionami ruszać.

— Niech mnie Bóg uchowa, abym ja, człek pobożny, katolickich rodziców dziecię— rzekł powoli— miał waszą eccelenzę odwodzić od tak pobożnej myśli; mam sobie wszakże za obowiązek oświadczyć wam, że podróż ta ani jest łatwa, ani konieczna dziś, gdy tych samych odpustów dostąpić można zwiedzając inne kościoły.

— Ale cóż może zastąpić widzenie Palestyny? rzekł Konrad — poznanie ludzi i krajów nowych?

— Zapewne, odparł gospodarz: młodość ma takie pragnienia; lecz ja com się napatrzył już w życiu dużo na odjeżdżających z promieniejącymi twarzami, a wracających żółtych i tęsknych podróżnych, nikogo sumiennie na niebezpieczną tę wędrowkę namawiać nie mogę... Nie liczę tych, których pożegnałem u brzegu *a rivederci*, a których chyba na innym świecie zobaczę.

To mówiąc, westchnął z miną bolesną, i znać było, że nadzieja wypróżnienia podróznego mieszka polskiego uśmiechała mu się, a boleśnie dla niego było dać go na łup niewiernym.

— Nikt z was o podróży do Jeruzalem—rzekł Zanaro—lepiej objaśnić nie potrafi nademnie, com już se-ciny wyprawiał; tędy z Europy ciągną niemal wszyscy, z wyjątkiem Francuzów, co się z Marsylii wyprawują. Pora właśnie po temu—mówił dalej, — wiosną zwykle pielgrzymki się przedsiębiorą, a na Boże Ciało przybywają do nas mnodzy pątnicy z całego świata. Jest też o tym czasie naw dosyć do wyboru, które ztąd płyną do Cypru, Aleksandryi w Egipcie, Aleksandryi Syryjskiej czyli Aleksandretty, lub do Trypolisu... A choćby kto tu i okręt, i kapitana sobie wybrał, w czémbym ja mu mógł być pomocą, któż zaręczy, że w Aleksandryi, Cyprze, Aleksandrecie, gdzie się drugi Zanaro nie znajdzie, równie trafi szczęśliwie?

— Dość powiedzieć, dodał gospodarz cicho: iż kto-kolwiek się w tę drogę wybiera — bez testamentu nie jedzie. Z Turkami i Maurami nie ma żartów, a choroby i wypadki po ludziach chodzą nie po kamieniach... Żegna się ze światem, kto na okręt siada... spowiedzią i wiatykiem opatruje.

— O! rzekł Niemiec doktor, uśmiechając się niedowierzająco, przecież tyłu przynajmniej powraca ilu ginie, signor Zanaro?

— A może więcéj ginie niż wraca! odparł znacząco *il gran ladrone*. Ale ponieważ zacząłem już o tém, spodziewam się, że mi dokończyć dacie, jeśli signorinę—grzecznie zwracając się do Zenobii dodał—nie nudzi ten przedmiot.

— Owszem, i ja jestem ciekawa, odpowiedziała Boccatorra; mówcie.

— Najprzód tedy podróżny musi się ztąd o pozwolenie wyruszenia w pielgrzymkę starać u legata Stolicy Apostolskiej; jest bowiem anathema rzucone na tego, ktoby wyjechał nie dopełniwszy tej formalności.

— A toż z jakiego powodu? zapytał Niemiec.

— Powód bardzo ważny, rzekł Zanaro: bo legat najprzód potrzebuje, aby mu okazał podróżny najmniej sto czerwonych złotych. Trafiło się bowiem, że się zapędził ubogi, za którego kks. Franciszkanie musieli potem w Jerozolimie i Ramie opłacać haracz należny... a są to księża z jałmużn żyjący i wielkim to dla nich bywało ciężarem.

— A! zawołał Niemiec.

— Dalej następuje—mówił Zanaro—ważna, nader ważna sprawa, w której bez gospodarza ruszyć się nie można: wynajęcie statku do Cypru, lub Aleksandretty. Nie obmawiam nikogo — szeptał zniżając głos, — ale kapitanowie trafiali się i tacy, co nabrawszy dobry ładunek ludzi, potem go niewiernym sprzedawali, będąc z nimi w zмовie i jakby przez korsarzy napadnięci wśród morza...

— O! przerwał cavaliere Gerardi — toby było obydne.

— To w istocie okropne, szkaradne, niegodne imienia chrześcijańskiego! dodał Zanaro; ale tyle poczwar chodzi i pływa po świecie!... Jeśli się tej tragedyi uniknie — mówił dalej wzdychając, — pocznie się tedy zdzierstwo w Jaffie, dla różnej starszyny tureckiej, dla Mucharów, i w Ramie, w Je-

rozolimie, poczną przyczepki, zasadzki, niebezpieczeństwo moru, kłótni, napadu... a za nicze liczycie długą nawigacyę i życie nędzne na statku?... O tém przy stole zamilezę, dokończył Zanaro. Nie chciałbym też, by dostojny mój gość szczere interesowanie się jego losem, i poszanowanie, jakie za pierwszym wejrzaniem obudził we mnie, fałszywie mógł sobie — uchwaj Boże — tłómaczyć.

Konrad skłonił głowę; uśmiechały mu się w tój chwili młodziuchna Magdusia figlarnemi oczkami dosyć zepsutego dziecka, i misterniej a ostrożniej, ale niemniej wyraziście, majestatyczna signora Zenobia...

Ale te dwie napaści kobiece na jego serce, tén tylko sprawiły skutek, że mu przypomniały przesłiczną ową towarzyszkę podróży Cazitę Zeno, córkę kapitana.

— Nie lękałbym się wcale tój podróży, — odrzekł pod wrażeniem wspomnienia, — bośmy w ojezyźnie naszej przywykli niczego się nie obawiać; a niebezpieczeństwa pociągają nas więcej, niż odstręczają — gdyby mi się też trafił tak poczciwy i dobry kapitan statku jak ten, który mnie tu przywiózł z Tryestu...

Zanaro podniósł głowę zaciekawiony.

— Eccelenza pozwoli spytać o jego imię? rzekł żywo.

— Był to wracający ze Stambułu właściciel *Padre Antonio*, kapitan Zeno.

— Zeno! Zeno! powrócił więc! zawołali razem gospodarz, żona i córka. Kochany, zacny, nieoszacowany Zeno... Szczęcę się jego przyjaźnią, gorąco rzekł Zanaro. Znam go jak brata, kocham jak rodzzonego. Ma dom na Lido, stary dom, stary, ale krzepki statek, starą siostrę Anunziatę, i śliczny kwiatuszek, córkę.

Tu Zanaro pięć złożonych palców ręki do ust przyłożył, i pocałował je, cmokając.

— Cudnej piękności Cazitę...

Mimowolnie Konrad się zarumienił, czuł, że mu twarz jakby ukropem zapłynęła; obawiał się nie bez przyczyny, aby téj wywieszonéj chorągwi obłązonego serca nie postrzeżono. Zanaro przelotnie spojrział nań i filut domyślił się wnet wszystkiego, ale udał, że nie wie.

— Czyście czasem nie jechali razem z ciotką Anunziatą i piękną Cazitą? rzekł niewinnie: bo, jeśli się nie mylę, miały na niego czekać w Trieście.

Konrad kraśniał jak dojrzewająca wiśnia; zmieształ się.

— Tak, rzekł w końcu odważnie: płynęliśmy razem.

— Więc się już nie dziwuję, że w. ekscellency tak miłym wydał się kapitan Zeno, tak dogodnym jego statek, i tak krótką zapewne podróż na nim. Ha! ha!

Magdalena i signora Zenobia spojrzwały trochę z ukosa na Polaka, który oczy spuszczał jak winowajca na uczynku schwycony.

— Zaprawdę, nie ustając paplać, mówił Zanaro: Wenecya ma krocie piękności i nigdy w nie ubogą nie była; ale Cazitą...

— Cóż to znowu? przerwała urażona pani Zanaro: co to pleciecie? Cazitą jest ładna ruda myszka, a kto ma szczęście przy swym stole przyjmować taką piękność, jak signora Zenobia, której równéj nawet na obrazie nie znaleźć... no, i komu Bóg dał tak nieszeptną córkę jak wasza, ten...

Zanaro uderzył się szybko z jednej i drugiej strony po twarzy i wypoliczkował, uznając swój występki.

— Winienem, rzekł; ale nie zaprzeczycie, że Ca-
zità... śliczna. Cóż wy mówicie eccellenza? waszego
jestem zdania ciekaw nadewszystko?

Konrad, któremu tak wprost strzelono w piersi tém
zapytaniem, znowu się zapłonił i zmieszał.

— Są—rzekł powoli, wykręcając się—różne pięk-
ności niewieście, których jedną miarą mierzyć się nie
godzi; oblicza obudzająco uwielbienie (skłonił głowę
przed signorą Zenobią, która mu się tak wdzięcznie
uśmiechnęła, że cavaliere Gerardi, aż usta zakąsił)...
są twarze budzące braterskie uczucia... (spojrzał tro-
chę ku Magdusi, która skrzywiła usta)... są wreszcie
i niezbyt pięknych może rysów, a straszliwie niepo-
kojące człowieka i niezapomniane dla niego twarze...

Spuścił oczy na talerz, kobiety spochmurniały,
gospodarz chrząknął, nastąpiło głucho milczenie.

— Mam cię kawalerze, powiedział sobie w duchu
Zanaro: już mi się nie wykreśisz... a że do Jerozo-
limy nie pojedziesz, za to rękę.

Czas tedy było wstawać od stołu, i ruszyli się
wszyscy. Signora Zenobia głośno mówiła, że będzie
w teatrze, prawie zapraszając do swój łoży Konrada.
Magdusia bąknęła, że pojedzie na Lido.

Lido to, kilkakrotnie powtórzyła znacząco.

— Jeśli pojedziesz na Lido, dodał gospodarz, toć
nie wytrzymacie, abyście nie odwiedziły ciotki Annu-
ziaty i Cazity. Klaniajcie się im odemnie.

Konrad odchodził powoli.

— A od was? spytała figlarnie Magdusia Zanaro:
a od was eccellenza?

— Nie śmiałem was o to prosić, signorino, rzekł Lippi; ale jeśli łaska, proszę pokłonić się wszystkim odemnie także.

— Wszystkim? cicho spytało dziewczę. Jam myślała, że tylko tój wieczny niepokój budzącej twarzyczce?

Konrad nie miał odwagi plątać się więcej; uśmiechnął się, nisko uklonił i poszedł z gospodarzem, który go nie odstępował. Dopytywał, czy nie potrzebuje gondoli, czy nie zechce oglądać miasta, czy nie weźmie przewodnika na plac Św. Marka i piazzę; a w istocie do dna badał i usiłował poznać gościa. Nie przyszło mu trudno prostodusznego usidlić człowieka...

Następne dni przeszły szybko na oglądaniu miasta, które dożywało razem z Rzecząpospolitą dni swoich i świetności stariej... Dla cudzoziemców z daleka, z tój jeszcze ziemi, na której sztuka nigdy z nieustannie wzbiejącego pączka nie miała czasu zakwitnąć — wszystko tu było dziwem i cudem... wszystko nauką nowego jakiegoś i niezrozumiałego życia. Konrad wprawdzie przygotowany był czytaniem i myślami do pojęcia swój drugiej ojczyzny; fizyognomia jój nie była mu obcą; ale między opisem a rzeczywistością tyle się wciska niepochwyconych rysów...

Gorzéj było z węgrynką, który, jakkolwiek gra tu rolę podrzędną, jakkolwiek prosty Maciek, nie może nas nie obchodzić. Węgrynek bez języka, bez przewodnika i tłumacza, choć go Konrad wszędzie z sobą woził, aby się chłopczysko nie nudziło, był jak na niemieckim kazaniu ciągle. Trudno mu było przy każdym objaśnieniu całą teorię niepojętych dla

niego zjawisk wyklądać. Maciek z otwartemi usty partrzał, podziwiał, ale nie rozumiał ani krzty.

— Już to ja, proszę jegomości, mówił drugiego dnia wieczorem — to tak jestem ciągle bezsenny, że mi się czasem zdaje, że to wszystko, na co człowiek partry, mara jakaś... Ale co osobliwości, to osobliwości, proszę jegomości; co rarytne, to rarytne... Aż strach aby tego morze nie pochłoneło której nocy; bo nie wiem, czy pan zważał, ale dalipan, tu żadne domowstwo i żadna wieża prosto nie stoi... gdyby pijane to na tę stronę, to na tamtą niby się wała... no ale z dopustu bożego do czasu to stoi... A i — z pozwoleniem pana — kobiety, niech je wszyscy dyabli wezmą! — młode, by anioły piękne, a stare brzydsze od dyabłów... Czy to może być, żeby z takich pięknych panien wyrastały tak srogo szkaradne baby! Chyba ztąd kobiety młode gdzie wywożą, a stare...

Nie dokończył machnąwszy ręką, i widząc, że pan się śmieje, sam też śmiać się począł.

Wezwał pan Zanaro wedle zwyczaju *eccellenzę* do stołu, a węgrzynek, który już był się posilił i dobrze wina napił, sam pozostał.

Było mu zalecono pilno, ażeby stancyi strzegł, i z domu się sam, dla nieumiejętności języka, nie odalał. Ale węgrzynkowi robiło się nudno, a ruch na *Riva* wyzywał go i nęcił. Przed oknami kuglarz właśnie hecę z małpą wyprawiał, i olbrzymia kobieta grała na bębnie. Jak tu było wytrzymać?

— A co mi się ma stać jak wyjdę? rzekł do siebie; juźcić bez rozpytania nazad do gospody potrafię, bo i wiem, że się Malta zowie! A tuć nic nie ukrad-

na, bo trzosiy gdzieś na przechowanie oddane, a drzwi się dobrze zamykają... Pan nie zaraz powróci...

Jak rzekł, tak uczynił; ale się węgrynek nie rachował dobrze z następstwami wycieczki. Nim zszedł z piętra po cichu, kuglarz i olbrzymka znikli, lud się rozszedł, na placyku nie było już co robić i na cò się wyszczerzyć. Węgrynkowi świerzbiały pięty strasznie.

— A no, pójdę przed kościół Ś. Marka, rzekł sobie: to się podziwię tym złocistym obrazom, bom takich jak żyw nie widział.

Drogę znał trochę, i przez placyk pociągnął bardzo przyzwoicie na sam plac, przeżegnał się przed kościołem, zdjął czapkę, Zdrowaškę odmówił, a począł się przyglądać, a przyglądając się i dumał.

— Po co to oni cztery konie na kościele postawili? Chyba tò te, któremi Ś. Marek przyjechał przez morze,—odpowiedział sam sobie i westchnął.

Tłómaczenie własne uspokoiło go co do koni. Wpatrzywszy się w jeden z mozaikowych obrazów, mocno się zgorszył i znowu okrutnie zadumał. Spostrzegł na nim doskonale wyobrażonego świeżo zabitego wieprza *). Tyle razy po Bożém Narodzeniu i przed Wielką-Nocą oglądał podobne na folwarku, myśląc o przyszłych kielbasach, że nie mógł się omylić. Nie znając legendy, nie rozumiejąc co tam wieprzowina robiła na kościele, Maciek posmutniał...

Odszedł zgorszony od kościoła, a tu go zegar ze swemi sztukami bijący właśnie zatrzymał. Tuż przez bramę widać było ciasne uliczki na *Merceryach*. Gdy

*) Wenecyanie wykradając ciało Św. Marka, okryli je wieprzowiną, aby odstręczyć od ściślejszego przegłądania urzędników granicznych. Jeden z obrazów na kościele to przedstawia.

zegar przestał bić i sztuki wyprawiać, Maćkowi się okrutnie zachciało wejrzeć tam w głąb tych ciasnych szuj, obstawionych sklepikami.

— Kiegożbym licha nazad nie miał trafić! rzekł wdychu,—a no pójdę, zajrzę.

A miał na sobie jak przystało odzież nowusienką, z węgierska, z cienkiego sukna cale ładną, i pasik kowany, i czapeczkę, magierkę piękną, i wyglądał bardzo przystojnie; ludzie się też na niezwykle strój poczęli trochę gapić. Szczególniej jeden jakiś wielki drab, ponurój twarzy, krok w krok za nim ciągnął, a z oka go nie spuszczał.

Ale Maćkowi nie było to w głowie, i nie spojrzał nań nawet. Zaraz za bramą, która od Prokuratoryi prowadzi w ciasne uliczki Merceryi, węgrynkowi wpadły w oko sklepiki jeden dziwniejszy nad drugi... Rupiecie tam były wszelakie, których on użytku zrozumieć nie mógł. Gdy się tu zagapiwszy stoi, ów drab pchnął go mocno. Maćkowi krew buchnęła do głowy, bo był gorączka, więc też pięścią oddał. Drab zaraz przystanął, a tuż i do noża. Maciek odstąpił nieco zuchwało, choć do boju, ale bezoreźny, ino wkoło patrzy, coby pochwycić, aby garść nie była próżna.

Ale Włoszyszko zamiarkowawszy, że chłopaka nie zje w kaszy, zamiast się do niego porwać, jął okrutnie hałasować i krzyczeć. „*Ladrone... canaglia...*“ i gorsze jeszcze wyrazy posypały się gładem. Maciek też usta otworzył, i w długu nie chcąc zostać, nuż go po polsku bezcześcić. Na ten wrzask, tłum ze wszystkich sklepików jął się zbierać, gromadzić, oblegać, tak, że ciasne owo przejście całe się wnet ludźmi zatkało.

Im głośniej wrzeszczał drab wywijając nożem, tém

Maciek też serdeczniej mu dopiekał. Obaj się nie rozumieli, ale doskonale domyślali się, że to nie musiały być błogosławieństwa.

Już się na to zbierało bardzo, że zbiry obu ich do więzienia pochwycić mieli, gdy w pośrodek pomiędzy zwaśnionych wcisnęła się osobliwsza figura.

Był to mały, bładny garbusek, z głową ogromną, a łysą jak kolano i błyszczącą, przyodziany dziwnie, bo w koszuli tylko, spodniach letnich, z bosiemi nogami w pantoflach, i w skórzanym od pracy świecącym a założonym fartuchu... Na nosie miał ogromne okulary mosiężne, a że te widać tylko do roboty mu służyły, patrząc na świat spuszczał głowę, aby wyżej nich nagiemi oczyma mu się przyglądać, więc też i głowę osobliwszym sposobem wykręcał. Z za fartucha wyglądało mu godło rzemiosła jego, kopyto drewniane, a w ręku (ręce miał żylaste i olbrzymie mimo niewielkiego wzrostu) trzymał szydło i dratwę.

Garbus zerkając z za okularów na obie strony, wciąż jedno ucho ku Maćkowi nastawiał, a co go doleciało przekleństwo, to się uśmiechnął; na ostatek jakby zniecierpliwiony przypadł do Maćka, porwał go za rękę żylastą dłonią, i pociągnął wlokąc za sobą do małego sklepiku, którego drzwi zatrzasnął.

W ulicy wrzawa była ogromna, ale szewc ani słuchał jęj, obrócił się do węgrzynka i — Maciek o mało z podziwienia nie struchlał — po polsku go ofuknął.

— Czegoż to się tak samopas po ulicach włóczyć w mieście? he?

Węgrzynek ręce złożył.

— A! Matkoż ty Boża! zkądże wy po polsku umiecie?...

— A tobie co do tego smyku! rzekł szewc. Mów! coś to zrobił? zkad idziesz? i po coś tu wlał w to osie gniazdo?

— Mój dobrodzieju, panie szewcze, odparł Maciek: jam se na przechadzkę wyszedł z Malty... drab mi pierwszy dał racyę, tom-ci mu oddał pięścią, jak się patrzy, a ta bestya zaraz hałasu narobiła.

— Czyjżeś ty jest? zapytał szewc żywo.

— A pana Lipińskiego z Robnina.

— I jakież was tu licho przyгнаło.

— No, to-ć do Ziemi Świętej jedziemy.

— Siedźże trutniu cicho, a czekaj! odparł gospodarz, i otworzył drzwi.

Przed progiem tłum jeszcze i ów drab cisnęli się i krzyczeli okrutnie. Szewc na górnym schodku stanawszy poważnie, wyglądał jak na kazalnicy. Skinął ręką. Umilkło wszystko. Odchrząknął...

— Czego chcecie? próżniaki, mazgaje, trutnie, psy Najświętszej Panny! he? czego? Lenardo, ty będziesz wisiał, ja ci mówię, że wisieć będziesz, jeśli ci pod czerwonym słupem na Piażecie łba nie utną. Zaczepiłeś niewinnego chłopaka, sługę możnego pana polskiego, który ci tego płazem nie puści... Ja przeciwko tobie sam świadczyć będę... Pierwszyś go kuliąkiem uderzył... Chciałeś odrzeć, lub kłótnię wykupnem skończyć, a ja cię osadzę w więzieniu, ja, ja, jakem Jacopo Nani, he! słyszysz?

Poparł tę mowę, jak przystało obyczajem włoskim, ogromnemi ruchami rąk żylastych, a w końcu tak się pięścią w piersi grzmotnął, że mu się aż okulary zsuwać poczęły niebezpiecznie zjeżdżając; poprawił je wszakże szybko, i miał tę pociechę, że wysiłek nie

został bez skutków, bo drab mrużąc wszył się w tłum, a ciżba powoli rozplywać się poczęła.

Dopiero Jacopo Nani zwrócił się do węgrzynka z uśmiechem.

— To twoje szczęście chłopcze, rzekł, że się ta awantura stała przed sklepem moim, bobyś z nią cało nie wyszedł, i alboby cię odartło, albo zbito. Gadajże mi teraz, zkąd wy tutaj?

— A! mój dobrodzieju! odparł węgrzynek zmieszany: gęby nie otworzę, dopóki się nie dowiem, jakim sposobem wy po polsku umiecie? toż... to...

Szewe siadł powoli na stołku, ręce opuścił i z za okularów spojrział na chłopaka z uczuciem; w oczerwienionych powiekach kręciła mu się łza... głos miał też drżący.

— Hej! hej! zawołał—dziwno się wam zdało naszą mowę posłyszeć z takiego rozbitego jak ja garnka; ależ i mnie, i mnie, com jój tyle lat nie słyszał... mało serce nie pękło...

Szewe otarł czoło i oczy...

— Toście wy też z Polski? spytał węgrzynek.

— A jużć! odpowiedział szewe,—alem nie od dziś wywędrował, a wypchnęło mnie nieszczęście... Z którychże wy to stron?

— Od Poznania.

— A jam od Krakowa, moje dziecko... od tego starego dziaduszka naszego, nad którym Wawel na straży stoi, kędy mogiły Wandy i Krakusa... jużem ja tu lat dwadzieścia na tych Włochach, i mowem zmieniał, i wrosłem tu, i nawykłem, a gdy zasnę, to mi się śni Hejnał z maryackiej wieży i śpiewa w duszy... aż płaczę... Oj! nie daj Boże włóczyć się po obcych i cudze kąty wycierać!

Maciek stał i słuchał, i jemu to znowu jakby snem się zdawało... byłby się też zasłuchał może nie wiedzieć dopóki, gdyby nie przypomniał, że pan od stołu powrócić może, i jego i klucza nie znaleźć.

Przyznał się tedy zaraz panu Jakóbowi, który z kołka wzięwszy starą wytartą aksamitną, spłowiałą kurtkę, rzekł:

— Choćbyś i trafił do Malty, ja cię na Rivę przeprowadzę, aby znowu nie opadli te zbóje... A pilnuj się mi chłopcze, i sam nie chodź, bo cię tu co złego spotka.

Domawiał tych wyrazów szewe, gdy przez drzwi z głębi wyjrzała kobieca główka. Węgrzynkowi się w oczach zaćmiło, taka była piękna. Nic nie widział, jedno parę czarnych źrenic ogromnych, i śmiejące się białymi zębami usta, ale te ząbki go od razu za serce pochwyciły.

Szewe jak tylko spostrzegł ciekawą, tupnął nogą i począł łajać po włosku.

— A nie pójdziesz ty mi precz! szatanie ty jakiś! a czego to tu wyglądasz? a co tu ciekawego? Schowaj ty mi się zaraz, a prędko, bo kulakiem napędzę.

Maćkowi serce mdląło, a wpatrzył się w nią i ona w niego tak, że Jacopo nierychło potrafił przepędzić niebożątka.

— O mój dobrodzieju! krzyknął Maciek, gdy znikła: a cóż to za śliczne dziewczątko! a cóż to za malowana twarz!

Szewe milczał niby głuchy.

Niestety! była to córka jego Marietta, o którą w ciągłym był i tak niepokoj. Przybyło mu kłopotu. Czuł, że to spotkanie bez kozery nie będzie.

— Co ty tam po kątach patrzysz? zawołał; co ci tam po dziewczętach, hę? jeszcześ wása nie dostał; ot zabieraj się ze mną.

— Ale proszę pana majstra, kto to taki? nalegał Maciek.

— Kto? odparł szewc, podnosząc na niego oczy: królowna neapolitańska... a teraz chodź!

I wyciągnął go na ulicę milezący, a doprowadziwszy do placyku, chciał porzucić.

— Mójże zbawco kochany! wstrzymując go i całując w ramię, rzekł Maciek: ja was nie puszcze, żebyśmy się nie widzieli; to-ć i wam miło być musi swoich zobaczyć?

— Jeszcze my się spotkamy, chmurno odpowiedział szewc; ale ty mi na Mercerye się nie włócz, bo cię dyabli wezmą.

I odszedł. Maciek spuściwszy uszy po cichu, jak zwyty, wrócił do Malty. Szczęściem, że tu nie ostrzeżono jego wycieczki, bo Konrad, poszedłszy do stołu, jeszcze był nazad nie wrócił.

A były powody ważne, dla których się tak opóźnił...

Ci sami goście, co dnia pierwszego zebrani byli w pokoju, gdy *gran ladrono* wprowadził eccelenzę, jedna im tylko nowa przybyła postać, nieobojętna zdaje się dla signory Zenobii, chociaż ona go niby nie znała, a on na nią ani patrzył. Udawanie jednak tak było w obojgu widoczne, że tylko cavaliere Gerardi mógł się na niém nie poznać. Przybysz był bardzo pięknym mężczyzną, lat zaledwie trzydziestu, strojnym wytwornie, i jak ze stroju wnosić było można, wielkim panem lub wielkim w odegrywaniu państwa artystą.

Zanaro po cichu szepnął Konradowi, iż dostojny gość jest Principe Alessandro di Ponte-Vecchio, krewny Papieża nieboszczyka, bogaty Rzymianin, jadący z ważną missyą na dwór cesarski, o czém wszakże najgłębsze milczenie zachować wypada.

Principe tym razem podsiadł Polaka i znalazł się po drugiej stronie signory Zenobii, która wciąż od niego głowę odwracając tego dnia, ze szczególną uprzejmością rozmawiała z cavalierem Gerardim. Za to przy Konradzie znalazła się Magdalenka Zanaro ze swym filuternym śmieszkiem, którym obdzielała doktora Niemca, Polaka, a rada była obdarzyć i księcia, ale ten patrzył dziwnie jakoś wciąż na sufit, choć sufit nie był złocony i malowany jak w pałacu dołów.

Zanaro też tego dnia z osobliwszą pieczołowitością zajmował się cavalierem Gerardim i traktował go eccellenzą za każdą łyżką.

Signora Zanaro miała tego dnia minę poważną kobiety bardzo przyzwoitej, a zmuszonej wiedzieć o intrydze, której jéj domyślać się nie wypadało. Mówiła o rzeczach obojętnych, o osychaniu Canal Grande, o Bucentaurze, o blizkiem święcie Bóżego Ciała i jego wspaniałościach...

Principe di Ponte-Vecchio był zadumany i obojętny.

— Ledwie skończyli *brodo*, na którego pochwały wysilił się sam gospodarz, bo w istocie on sam tylko mógł je chwalić, Magdalenka pochyliła się ku Konradowi i szepnęła:

— Nie byliście na Lido?

— Ja! dotąd nie...

— Czekają was tam z rybą... zaczęła się śmiać —
ciocia Anunziata...

Konrad się zarumienił.

— Kapitan Zeno! dodało dziewczę.

— Szczerzem im obowiązany.

— I nikt więcej! zawołała Magdzia.

— A! rzekł Konrad.

— Tak! tak! ktoś trzeci to się może na was
gniewa.

— Na mnie? spytał Lippi: za co?

— Ja to tam tego nie wiem... szepnęła dziewczyna.

I zamilkli — a po chwili znowu Magdusia się
ozwała:

— Widziałam śliczny różaniec...

— O! niepiękny, przerwał Konrad pomieszany...

— Jakże wiecie, kiedyście wy go widzieć jeszcze
nie mogli? odparła żywo Magdalenka, zaczynając się
śmiać... Mylicie się, mylicie... to różaniec z konch
morskich i koralu przeznaczony dla kogoś; ale nie
wiem dla kogo...

— Filut dziewczyna! pomyślał Konrad.

W tej chwili mimowolnie oczy zwróciwszy do-
strzegł jak signora Zenobia, która bardzo żywą wiod-
ła rozmowę z cavalierem Gerardim, ręką w tył zwró-
coną od księcia di Ponte-Vecchio, patrzącego zaw-
sze na sufit, brała wciśnięty jej nader zręcznie bile-
cik. Przypomniało mu to, że był w kraju intryg
i zdrad niewieścich, i postanowił się mieć na baczno-
ści, ale to nie przeszkadzało nader ostrożnie po
ludniu popłynąć na Lido.

Sądził, że tego obowiązku grzeczności względem
kapitana Zenona dopełnić wypadało.

Magdusia, której oko manewr bilecikowy dostrzegło także, poczęła się bardzo śmiać, chwyciwszy chusteczkę do ust; ale śmiech złożyła na przypomnienie jakiejś niewczesne.

— Spodziewam się, szepnęła sąsiadowi—że pan nie wydasz tajemnicy?

— A wy? odparł Konrad.

— Jabym to może zrobiła, gdyby... gdyby mi się to na co przydać mogło, szepnęła po cichu; ale muszę czekać dwa lata. Tak mówi ojciec i matka, mam dopiero czternaście... ale skończonych... więc coś mi to szkodzi!

I puste dziewczę popatrzała na Konrada, kładąc palec na ustach.

Zanaro gadatliwszy był jeszcze niż kiedykolwiek; dziwne wyplatał historye. Nie wiedzieć jak rozmowę wprowadził na kapitana Zenona.

Snadź dla tego, aby uwagę Polaka odwrócić od téj pary, która była na pozór dla siebie obojętna, jak w istocie blizka myślami i sereami. Oczywiście przygotowywało się coś tajemniczego, do czego służyła i serdeczność signory Zenobii dla cavaliera Gerardiego, i gadatliwość gospodarza, i przybrana powaga młodego księcia di Ponte-Vecchio.

Nie wiadomo, jak się to stało, ale ku końcowi obiadu książę w bardzo żywój i serdecznój był rozmowie z cavalierem, posłannikiem cesarskiego dworu. Signora Zenobia z dosyć kwaśną minką patrzyła na to. Komedya odegrywała się z prawdziwie włoskim dō intrygi talentem.

Od *tavola rotonda* rozchodząc się goście, rozmaite potworzyli projekta. Cavaliere z księciem pojechali razem gondolą. Signorę Zenobię głowa bolała. Kon-

rad nie mówiąc nic nikomu, nie zaglądając nawet do mieszkania powierzonego straży Maćka, wysunął się na wybrzeże, skinął na gondoliera, i szepnął mu na ucho:—Lido.

Na Lido bywały zawsze najlepsze kąpiele, gondolier się nie zdziwił, a nikt więcej nie słyszał. Magdusia tylko filutka domyśliła się, i wyszpiegowawszy kierunek, w jakim posunęła się łódka, z okna plasnęła w dłonie. Konrad ani dostrzegł jój, ani uszu jego nie doszedł śmieszek w pół dziecinny.

Dzień był wiosenny, prześliczny, ciepły; lekki wiatr marszczył zaledwie wód powierzchnię, błyszczącą od pomarańczowych promieni zachodzącego słońca. Kanały pełne były czarnych gondoli zwijających się na wszystkie strony; z dala dochodziły urywane śpiewy młodszych przewoźników, powietrze pełne woni, wesela, świeżości, życia. Oddychając niém, wciągało się ochotę i siłę do życia, spokój i ufność jakąś, rozwianą po nad światem w tej chwili jego wiosennego rozkwitu.

Dziwnie też piękną, uroczą, jasną wydała się Wenecya Konradowi, w którego duszy jakby przypomnienie rodzinne praojcowskie odzywało się; czuł, że to wszystko gdzieś w przedświecie znał, widział i uochał.

Po krótkiej przejażdżce, gondola przybiła do piaszczystego, pustego prawie wybrzeża na Lido... Wyglądało ono smutniej, dzieziej niż samo miasto; domki były stare, niskie, niepokaźne, ludności prawie nie widać, z po za dachów domowstw sterczały maszty łodzi drzemiących pod wyspą... Poobalane mury, ogródki, na których zieloność się wiła bujna, gdzie niegdzie uczepiona górą winna latorośl przy drzwiach rosnąca,

obrazek Madonny wyglądający nad drzwiami, rozweselały nieco dość opuszczoną ławę piasku i morskich kamyków.

Nietrudno się było dopytać o domek kapitana Zenona, pierwszy przechodzień z wiosłem na ramieniu pokazał go Konradowi... Stał on w prawo nad samym morza brzegiem i snadź nie od dziś rozpoczął życie; kilka pokoleń lepiło tę budowę tém piękną właśnie, że niespodzianie przedstawiała linie, załomy, wyskoki, dające jój niezmiernie malowniczą powierzchowność.—Dokoła opasywały ją wschodki, poczepiane słupki, galerye, winne gałęzie i rozpięta na jednej ze ścian cytryna, której pień stary żenił się z suchą latoroślą winną, i liście się mieszały razem. Z pośrodku gęstej zieleni, do której i bluszcz pasorzyt się przymieszał, tu i owdzie wyglądało okno, wychylały się drzwi ciemne, przez które sięgnąć było można do głębi dziwacznie skleconego domowstwa. Gość przychodzący musiał się dobrze namyślać, kędy wnijsć do środka, kilkoro bowiem równouprawnionych drzwi z obrazkami Madonni i Świętych zdawały się go wyzywać zarówno, a nie głównych nie oznaczało. Byłby też może Konrad w niepewności pozostał, gdyby go u muru otaczającego ogródek nie spotkała miła niespodzianka... spostrzegł oslonioną kapeluszem słomkowym dobrze sobie znaną z Padre Antonio twarzyczkę Cazyty, która mu się uśmiechała wdzięcznie.

— A! przeciężście sobie przypomnieli obietnicę waszą! zawołało dziewczę; ale przychodzicie właśnie, gdy ojca mego nie ma w domu... Co za szkoda! jak będzie żałował! Szczęściem spodziewamy się go pewnie przed wieczorem, pojechał tylko do Scola di San-Rocco na radę, doczekacie się go pewnie... Dam

znać ciotci Anunziacie! wejdźcie proszę, tam, tam, temi drzwiami, nad którymi jest Św. Franciszek i Antoni, opiekunowie nasi domowi... Ja zaraz przebiegnę po za murem... i wprowadzę was.

Stało się jak rozkazała Cazità, i nim Konrad ze drzwi po wschodkach wszedł do sieni, już ona drugimi wbiegłszy do domu od ogrodu, witała go zarumieniona i wiodła po wschodkach dalej na górę do paradnych pokojów, którymi się jęj pilno było pochwalić. Zwabiona jęj głosem szczebiotliwym ciotcia Anunziata, z głową siwą w nieładzie, zjawiła się także na przyjęcie gościa, któremu mniej daleko rada była niż siostrzenica.

Pokoiki na górze, które kilka pokoleń marynarzy przystrajało, wyglądały trochę dziwnie może, ale ładnie. Był tam sprzęt różnych lat, zwierciadła weneckie, szkła stare z Murana, konchy z różnych wybrzeźów, kilka dawnych obrazów, stolki rzeźbione i szafy dębowe, i wschodnie kobierce niewytworne, przecięż nęcące oczy. Z okien cudny widok na morze, wpośród którego rzędami stały powbijane pale, a na najbliższym z nich rodzaj ołtarzyka drewnianego z Matką Bozką... Na opalowych falach ze złotymi odbłyśki, snuły się barki rybackie i statki z drzewem, i łódki z warzywem i zielenią. Cazità otworzyła okno, przez które do wnętrza zajrzała ciekawa gałąź winnej latorośli.

— Patrz pan, rzekła: oto tam ten statek odpoczywający na kotwicy, ze zwiniętymi żaglami, to nasz „Padre Antonio.” Jak tam teraz cicho i spokojnie! żywej duszy na pokładzie, a za dni kilka, najdalej za tygodni parę, rusz y on znowu zabierając nam ojca,

i z cicią Anunziatą zostaniemy same w tej pustce, na oczekiwaniu i modlitwie.

Ciotka tylko pomrukiwała, widocznie przerwana siesta popołudniowa jeszcze jój oczy kleiła i ustom odebrała siłę do rozmowy, kiwała głową, tłumiąc ziewanie natrętne. Za to Cazità ożywioną była jak nigdy, a w domu własnym czuła się śmielszą i panią, wiedziała, że na niej leżało przyjęcie gościinne.

Strój dziewczynki nie tak wytworny, dość prosty nawet, nie ujmował jój wdzięku, czynił ją może pojętniejszą jeszcze. Cała twarzą gorzała przechadzką i skwarem dnia spędzonego na powietrzu, w wyziewach morza i spiecu ogrzanych piasków.

— Zaprosiliśmy was wprawdzie na rybę z cicią Anunziatą, rzekła—bo nikt tak ryby nie umie przygotować jak ciocia; ale drugi raz musicie, bo od tego nie odstępimy, przybyć na nasz przysmak; dziś już za późno... ryby świeżej nie ma, przywiozą ją dopiero rano. Przyjmiemy was jak na okręcie szklanką wina i chlebem.

To mówiąc, pobiegła do szafy i poczęła się sama krzątać przy stole... Ciocia Anunziata jeszcze do życia całkiem rozbudzona nie była. Konrad onieśmieszony, wpatrzony, niewiele mógł mówić.

— Wam się tu pewnie wyda pusto, może nudno, może dziko, mówiło dziewczę; ale ja moje Lido kocham, i jest mi dobrze i wesoło. Patrzę na całą Wenecję z tego okna, dodała: z tego na morze... tu San Giorgio... tam Campanilla Ś. Marka... Salute, Dogana... wyspa Ś. Heleny; z drugiej strony... w dali domki na Giudecca... ot i część Canal Grande... Ci, co żyją w samém mieście, tak go jak my dobrze nie oglądają. Przytém cicho tu i spokojnie... i mamy drzewa,

zieloność, ogródek, a obróciwszy się widać morze... nasze lazurowe morze... Tylko w zimie, gdy burza ryczy, domek się nasz trzęsie i fale biją o mury prawie, i noc całą słycać zagniewaną wodę mrującą i rozbijającą się o wybrzeże, ale myśmy do tego przywykły... Ja usypiam wśród tego szumu spokojna, bo oko boże czuwa nad nami... Nie myślcie też — mówiła prawie nie ustawając — żebyśmy tu na Lido zawsze tak pustelnicze wiodły życie; kilka razy do roku mamy *fiere*, cała Wenecya zbiega się na Lido, przekupnie, garkuchnie, kuglarze, muzyka, tańce... o! i jest bardzo wesoło. — Ale nam dużo szkody w ogrodach narobią zawsze.

— Więc tu cały rok żyjecie? spytał Konrad.

— Ojca najczęściej nie ma w domu, odpowiedziało dziewczę: ojciec musi zarabiać na morzu ze statkiem, a gdyby i mógł spocząć, to już tak przywykł do téj włóczęgi po wodzie, żeby nie wytrzymał. Czasem gdy dłużej posiedzieć mu przyjdzie, znać już po nim, że się nudzi; a gdy odpływa, to choć mu ciężko się rozstać z nami, twarz jego zaraz promienieje inaczej... Naówczas, gdy żagle statku „Padre Antonio” znikną nam z oczu, zaczynamy się z ciotką modlić o jego powrót szczęśliwy i czekać, aż się nam znane jego żagle pokażą znowu... Czasem odwozi nas ojciec do Tryestu do krewnych, i tam czas jakiś przesiedzimy; ale zwykle ja, ciocia i stary sąsiad Pietro, którego opiece jesteśmy powierzone... pilnujemy domu... Ale nie myślcie, byśmy się nudziły: jeździmy do miasta na odpusty, na regaty, na muzykę, na plac Ś. Marka, mamy dużo znajomych.

— A! prawda, przerwał Konrad: wszak i rodzina

Zanara z Croce di Malta znajomą wam jest także, a Magdalena jest przyjaciółką waszą.

— Dobre dziecko! odparła Cazità,—ale dziecko jeszcze; ja więcéj niż o rok przecię jestem od niéj starsza! — Wymówiła to z pewną dumą. — Zanaro wielki filut, dodała Anunziata. Nie powiadam, żeby był zły lub nieuczciwy człowiek, ale bardzo przebiegły i ze słabości ludzkich nawykł korzystać.

Konrad wspomniawszy ranek, uśmiechnął się.

— Magdzia będzie kiedyś ładna, dodała Cazità; nie prawdaż?

— I pewnie nie ustąpi ojcu w przebiegłości, dodał Konrad; z oczu jéj patrzy... większa nad wiek dojrzałość.

— O! to prawda, potakiwała ciotka Anunziata; ale w gospodzie między obcymi niepodobna się jéj było długo dzieckiem uchowąć.

I pomruczała coś niezrozumiale ciotka, ruszając ramionami.

— Cóż to szkodzi, że trzpiotowata, wesola i przebiegła? przerwała Cazità. Wszyscy nam ciągle mówią, że jesteśmy przez mężczyzn oszukiwane; to lepiej, że się ma na baczności i gotuje do obrony.

— Czyż wszyscy mężczyźni—spytał Konrad—tak złą u was sławę mają?

— Ja nie wiem; przynajmniej naszego kraju panowie nie odznaczają się cnotą wierności, i ciągle sama ciocia powtarza, ażeby się ich strzedz, bo są wielcy oszuści.

— O! o! nietylko nasi, moja kochana, dodała ciotka: wszyscy cni jednacy z końca w koniec świata, i wszyscy czyhają tylko na zgubę naszą.

— Muszę się też ująć za płcią moją, odezwał się Konrad. Nie wiem jak tu w Wenecyi się dzieje, ale u nas w Polsce myśmy dobrymi mężami i stałymi wielbicielami. Nie słyhać u nas tych skarg i żalów na mężczyzn, więcej może na rodzaj niewieści.

— Oto słowo w słowo jak wszędzie, rzekła Anunziata. Kobiety na mężczyzn, mężczyźni narzekają na niewiasty, a słabsze my, zawsześmy pokrzywdzone.

Konrad się uśmiechnął. W czasie, gdy ciocia sobie gderała, oczy młodych, niepamiętne przestrogi siwizny, grały scenę z odwiecznego miłości dramatu, prolog ów czarowny poznania, cichą rozmowę pierwszą bez słów a tak wyraźną. To ona, to on, spuszczały źrenice; to ona wybiegała niemi gdzieś w dal, udając obojętność, to on patrzył w stronę, nie chcąc być natrętnym, a potem powoli wracali do siebie, i usta się uśmiechały, i wejrzenia badały, i sprzeczały znowu, i godziły drżące a bojaźliwe.

— Wyście mnie obdarzyli kosztownym i pięknym upominkiem z waszego kraju, odparło dziewczę; ja nie mogę zostać dłużną, i choć ubogim datkiem muszę się wam wypłacić. Mam i ja—rzekła—rózaniec dla was, ale skromny, z konch naszych morskich, ubogi. Wszak macie siostrę? dodała rumieniąc się.

— Tylko jedną siostrę, rzekł Konrad, jakby zrozumiał pytania znaczenie,—tylko siostrę jedną, ani matki, ani z kobiet nikogo; ale my Polacy mamy zwyczaj i mężczyźni modlić się na koronkach.

Ciocia Anunziata milezała. Cazità dobytego swój rózaniec z morskich muszelek drobnych, i zawstydzona podała go Konradowi, który pochwycił jój rączkę, i mimo, że mu się wyrywała trochę, ucałował ją usty gorącemi. Pocałunek ten pełny poszanowania, był

zarazem tak pelen ognia, iż dziewczęę sięś musiało, tak się nim poruszoném uczuło. Cała jój twarz oblała się rumieńcem, ale oczy były wesole, choć nie tak już śmiałe jak przed chwilą.

Szczęściem wśród téj chwili zakłopotania, głos powracającego z narady Bractwa Ś. Rocha kapitana Zenona dał się słyszeć na wschodkach. Rozradowane dziewczęę podbiegło naprzeciw niemu.

— Ojczel! ojczel! zawołała: mamy gości.

— Już wiem, rzekł kapitan.

— Jakim sposobem?

— Na drodze spotkałem Zanara, a Zanaro wie o wszystkim, nawet dokąd płynie gondola jego gości, choć nikomu o sobie nie mówi... Witam was, rzekł, wstępując na próg,—witam! ale ciocia Anunziata nie dopisze nam z rybą dzisiaj.

— Jużemy się ułożyli, podchwyciła dziewczyna; że Polak nasz musi na rybę przybyć raz drugi, i to rano.

— Jużcioby się ryba znalazła, odpowiedziała ciotka; ale ani ładajakiéj, ani ładajako dać nie mogę cudzoziemcowi, który może ją raz tylko w życiu jeść będzie. Chciałabym, żeby smak jój powiózł z sobą do kraju, i całe życie go pamiętał.

— Nie potrzeba ryby na to, żeby mi gościnność wasza nigdy z pamięci nie wyszła—odpowiedział Konrad cioci, ale patrząc na siostrzenicę,—nie zapomina się obcemu przyjacielsko podanej dłoni, i tak miłego jak wasze przyjęcia.

Cazità wejrzała smętnie na niego.

— A cóż z waszą dalszą podróżą? zapytał kapitan; macie-li już statek?

— O! nie, jeszcze, nawet ani pewności, że pojedę; wszyscy się uwzięli mnie straszyc.

— No, to już i ja dodam moją radę, rzekł Zeno. Wiem z najlepszego źródła o morowém powietrzu w Jaffie wybuchłém; pójdzie ono karawanami po całym Wschodzie. Nikt teraz nie popłynie z Cypru do Aleksandryi, ani do Tripolis. Potrzeba wędrówkę pobożną odłożyć na raz inny.

— Ale czyż to rzecz pewna? spytał Konrad.

— Tak pewna, że ja, com zamierzał znowu na Wschód płynąć, dalej niż do Cypru nie sięgnę, rzekł Zeno. Nie chcę ani ludzi tracić, ani sam na pewną niemal śmierć się narażać—i wy zostańcie w Wenecyi. Na Boże Ciało, karawana pielgrzymów nie wyruszy jak zwykle, bo odstraszy ich powietrze... Potém, już nie ma zwyczaju wybierać się do Ziemi Świętej, i nie ma tak dobrych zręczności; posiedzicie chyba do drugiej wiosny.

Konrad posmutniał, spuścił głowę.

— Sam jeszcze nie wiem co zrobię, rzekł; pojedę do Padwy, poszukam czy mi tu jacy choć dalecy krewni nie zostali, zobaczę choć ten dom, w którym się pradziad mój urodził i wychował, a potém...—spojrzał na Cazitę ukradkiem — zobaczymy! Trzeba też będzie i do domu powracać!

— Tak prędko? spytał Zeno: tak prędko? a po cóż było jechać? musicie przecię poznać *Venezia la Bella*, swoją dawną ojczyznę, a jeżeli zechcecie tylko obejść kościoły, podziwić się obrazom, przypatrzeć ludziom, pokłonić pięknościom, obejrzeć cuda... dużo na to czasu będzie potrzeba.

— O Wenecya! prędko przerwała Cazitą: gdybyście weszli tylko na wieżę San Giorgio, albo Ś. Marka, gdzie tak wygodnie bez wschodów można tańcząc zabiedz, dopicrobyście zobaczyli jaka rozległa, jaka

endowna, ile kościołów, placów, a wszędzie pamiątki, co krok osobliwości. Wszystko przecież obejrzeć musicie.

— Będę się starał, rzekł Konrad,—i nie zbywa mi na ciekawości, ale mi smutno, że się do Ziemi Świętej nie dostanę.

— E! życie długie! przerwał Zeno: nie teraz, to potem... Wyście młodzi, zresztą rok upływa szybko, szczególnie w Wenecyi i w waszym wieku... na przyszłą wiosnę o morze słyhać nie będzie. Tylko dałbym wam jedną dobrą radę... dodał kapitan, ale się zawahał.

— Proszę o nią, rzekł Konrad.

— Jeśli dłużej tu pobycie macie, zniżając głos dodał Zeno: czy koniecznie w gospodzie przebywać musicie? Zanaro jest zapewne wśród oberżystów dobry jeszcze człowiek, ale nikt od niego z nieopróżnioną nie wyszedł kieszenia. Poczciwy, ale filut. Nie chciałbym mu krzywdy czynić, pozbawiając tak dostojnego i pożądanego gościa, jednak wolę wam niż jemu uczynić przysługę.

— Znacież gdzie lepsze miejsce? zapytał Konrad....

— O! ja... nie, ale później, gdy się z miastem obeznacie, nad Canal Grande pełno domów pustych, a w domach rodzin zubożałych, znajdziecie łatwo do najęcia kątek i stół tanięj niż u poczciwego Zanara, który przywykł trochę ze skóry odzierać.

Konrad ścisnął za rękę kapitana, uśmiechając się...

— Dostrzegłem ja to już sam, szepnął, ale obce-mu w miejscu nieznaném, trudno sobie dać rady...

— To się obeznacie, odparł kapitan, jakby się nag-

le pomiarkował; zresztą niepilno to jeszcze... a Zannaro was nie puści łatwo...

Gdy ojciec to mówił, twarzyczka Cazity to rumieniła się, to bladła: spodziewała się podobno innego końca rozmowy... ale ojciec surowo spoglądał na nią, i nagle przerwał...

Ciotka Anunziata wyprowadziła Cazitę na jakąś naradę, zapewne względem ryby i zaproszenia Polaka na śniadanie, aby już raz się go pozbyć, a Zeno dodał, obejrzawszy się, gdy zostali sami:

— Nie chciałem tego mówić przy córce, ale Zannaro nie darmo zowią gondolero wie *il gran ladrone*; lis to szczywany, a wyście młodzi; pełno u niego pięknych twarzy, gdy takiego jak wy mającego gościa potrzeba przytrzymać... miejcie się na baczności... Nawet córki się popsuć nie obawia... stary wyga... ale... dość...

Weszła Cazitą z ciotką.

— Otożemy uradziły, zawołała, na przyszły piątek będzie doskonała ryba. Pietro wcześniej ją zamówi u starego poczciwego rybaka... więc prosimy cavaliera na piątek przed południem.

— Tylko się proszę nie spóźnić, bo ryba zła będzie, zawołała ciotka Anunziata; a już ją sama muszę przyprowadzić, bo mi chodzi, aby była taka, jaką aniołowie tylko jedzą w niebie.

— Jeśli w niebie jedzą! rzekł uśmiechając się Zeno.

— A jużcić! ofuknęła na to niedowiarstwo ciotka: spodziewam się, że muszą, jeśli gdzie, to tam być z postem i rybą!!

Pewna będąc, że obroniła religijny dogmat, cio-

cia przybrała minę surową... Cazità uśmiechała się dziwnie, Zeno spuścił oczy.

Nasz gość spojrział przez okno; widział, że wieczór szybko nadchodził; jemu oddalić się wypadało, a tęskno, przykro było ten cichy kątek i tych pocziwych ludzi, i te oczka co mu tyle mówiły—opuścić.—Wziął za kołpaczek...

Cazità spojrzała, i dużo tam coś przez wejrzenie jój skromne weszło do jego serca. Nie było to dziś owo trzpiotowate, wesołe dziecko, które pierwszy raz z takim *brio* wyskoczyło na pokład okrętowy; jakąś mgłą zamyślenia zachodziły czarne jój źrenice, czoło powlokła zaduma, a choć usta się uśmiechały, to jakby tylko ze starego nałogu. Ledwie dosłyszane westchnienie z pod warg koralowych się wyrwało.

Konrad żegnał do piątku. Zeno wzięwszy swą domową czapkę czerwoną wenecką, odprowadzał do gondoli, a z okienka z pomiędzy zielonych liści cytryny i winnej latorośli twarzyczka na niego patrzyła Cazity, to się chowając, gdy się ojcowskiego wejrzenia spodziewała, to błyskając oczkami, gdy mogła go uniknąć, a spojrzeć jeszcze na piórko u kołpaczka...

— O! niegodziwy, rzekła sobie w duchu: niegodziwy! nie klęka, nie zaklina się, nie płacze, nie mówi, prawie nie patrzy, a czaruje mnie oczami! I tak po nim tęskno, jakby już w niebie Madonna nasze pierścionki pomieniała.

Konrad rzucił się w głąb gondoli na czarne poduszki i doświadczył po raz pierwszy jak w téj łódce marzyć dobrze kołysanemu falą, niesionemu wiosłymi szybkiemi.

Ani się spodział, gdy go wysadzili na Rivie, na-

przeciw tój Croce di Malta, która razem ze swém otoczeniem po małym domku na Lido, wydała mu się niemal brudną, a nadto gwarliwą i nieznosną gospodą.

W progu stała śmiejąca się Magdalenka szpiegując powrotu, a Maciek zamysłony, z kluczami, oparty o uszak, oczekiwał także na pana, medytując nad swoją przygodą. Dziewczę z tego niemego Polaczka młokosa śmiało się i rade było z nim pofiglować, ale Maciek tym razem był poważny, jakby wrócił z cmentarza. Myślał o szewcu... a co gorsza o dyabelskich czarnych oczach tój królowny neapolitańskiej, którą widział na progu sklepiku u szewca.

— Co pan dasz, spytała Magdzia wracającego: jeśli zgadnę gdzie byłeś?

— Niewielka sztuka, odparł Konrad; gondolę widać z daleka, a panienka jesteś tyle grzeczną, że rozumiesz, iż będąc winien wizyte, oddać ją musiałem.

— *Poverino!* litując się rzekła Magdusia — biedaczek! musiał! prawda! Jak spełnienie tój powinności drogo kosztowało! nie prawdaż?

I poczęła się śmiać.

— Za co mi dokuczasz? spytał Konrad w dobrym humorze—ojcu się poskarżę.

— Znać, żeś nie Wenecyanin, dodało dziewczę figlarnie, bobyś nie skarżąc się nikomu, czternastoletniój dziewczynie dał naukę, ale teraz to już z tego nic nie będzie, bo ucieknę...

Uśmiechnęła się, wyciągając szyjkę ku niemu, i już jój nie było.

— Nie winszuję temu, kto na jój białe ząbki wpadnie! rzekł do siebie Konrad.

Ale wtém zobaczył stojącego na pokucie Maćka,

posmutniałego widocznie, i spytał go po polsku, lekko zakręciwszy za ucho:

— Cóż ci chłopcze? czyś chory?

— A! gdybyć chory! proszę pana, toby to jeszcze nic, rzekł Maciek: człekby się wódki z pieprzem napił albo co, toby i przeszło; ale tu w tém mieścisku, to człek z rozumu zejdzie.

— No! co ci tam nowego?

— A cóż proszę jaśnie pana, tać to i ją miałem już awanturę!

— Ty? awanturę?

— Jużci się przed jaśnie panem taić nie będę; jeszcze mi się we łbie kręci.

— Całyś wyszedł? spytał troskliwie Konrad.

— E! no, jeszczeć mi nic, tylko po głowie świdruje.

— Gadajże co to było?

Maciek wziął klucze, i prowadząc pana do mieszkania, tak począł:

— Jak jegomość poszli na obiad, przyznaję się, że mnie skorciało troszkę sobie wyjść na powietrze, zwłaszcza że pod oknami drab baba w bęben biła, a jak żyw nie widziałem takiej okrutnej kobiety i jeszcze z bębeniskiem; tak ja myślę sobie: wyjdę ino na próg. Ale nimem się z tych przeklętych wschodów stoczył, już nie było kobiety ani bębna. Nudno mi się zrobiło, myślę sobie: pójdę przed Ś. Marka, Zdrowską zmówię, co mi ma być? Ta i poszło się... Popatrzałem na kościelisko, straszecznie bestya piękna, ino nie rozumiem dla czego na nim świnię namalowali, otoczywszy złotem?...

Konrad się począł śmiać.

— Ano, to tam fracha ta świna, z przeproszeniem pańskim, ale proszę-no posłuchać co dalej... Stanąwszy ja przed kościołem, myślę sobie: gdyby człek trochę się po ziemi przeszedł, bo aż nogi pozakłękały, tylko się ustawicznie pływa a pływa... A co mi się ma stać, jak pójdę w uliczkę króciusko i nazad powrócę? Zegarzysto biło, a figurki na niém tańcowały, gdyby w szopce; nacudowawszy się idę, ta idę, patrzę drab okrutny jakiś za mną. A co mi tam do niego? myślę: on idzie, ja idę, idziewa we dwóch, ta i po wszystkiém... A no czegoś idąc bestya prycha, a ociera się blisko, widocznie szuka racyi. Trzeba jęgomości wiedzieć, że ja mu temu chłopu daj Boże brodą do pasa dostać, tak wyrosło niepoczeiwe jakieś zielsko... Ale, myślę ja sobie: żebyś ty był jak ta wieża, to ja cię się nie zleknę... Idę w uliczkę, a dziwuję się lachmanom i ciasnocie, bo co brudno to brudno. Kiedy ja sobie najspokojniej się gapię, ten mnie pod bok, i jak zacznie krzyczeć a łajać, a wydziwiał! Jezu Maryo! prawda, żem rozumiał tylko jedno *Cunajlia*, ale jam tego do siebie nie brał tylko do kanałów, ale też go nie poszczędziłem, i jak pocznę sypać mu od kpów albo jeszcze lepszego, tak tylko co do bójki nie przyszło... Ale drab noża dobył, a przy mnie i kozika nie było; myślę sobie: aby co złapać, to mu cisnę w chrapy... A tu jak się pocznie obdartusów ciżba, dzieci, bab, różnego luda cisnąć, tłok, tak ani się ruszyć. Widzę, że będzie źle, bo gromada na jednego, toć pewnie swój za swoim pociągnie, i już tylko patrzę, gdzieby się przyprzeć, aby z tyłu mnie nie wzięli, aż wylatuje mały szewczyna, stary, w okularach ze sklepiku pod bokiem. Ino po-

patrzył, a kiedy nie schwył mnie i cisnął do kramu, a drzwi zatrzasnął. Pomiarkowałem, że tu już był bezpieczny... Dopiero też odetchnąłem... Widać Pan Bóg się ulitował, że mi tego starowinę zesłał!... Stary, słyszę tylko, ode drzwi jak pocznie sam łajać, lud mu się zaraz ustąpił. Kiedy powrócił do izby, proszę jegomości, o mało na wznak nie padłem: wszak po polsku do mnie zagadał!...

— Co pleciesz? krzyknął Konrad: szewc Włoch po polsku?

— A toż to jest, proszę jegomości, że Włoch a nie Włoch, nie przymierzając jakby to sam pan co Polak, a nie Polak, tak i to, bo z Krakowa rodem.

— Czy ci się śni?

— Ale ba! kiedy mnie aż tu przyprowadził i dobrze nałajał, za com się sam z domu ważył... A com jeszcze u niego widział!... dodał ciszej.

— Cożeś ty tam zobaczył jeszcze? spytał Konrad.

— Ano, taką dziewczynę, z pozwoleniem pańskim, że jak żyw jeszcze podobnej nie śniłem nawet... ino że to nie dziewczyna, a on powiada, że królowa neapolitańska.

— Zwaryował, rzekł poważnie, z politowaniem Konrad, przystępując do niego; zwaryował, albo się upił.

— Nie, proszę jegomości, odparł smutnie Maciek; jeśli to waryacya, to nie wiem, ino mi się nie zdaje... ale co wina tom nie tykał!

— Gdzież? co? jak?

Maciek począł na nowo.

— Co ja tu z tobą będę bałakał! zawołał Konrad, biorąc kołpak: trafisz do szewca?

— A jakby nie! porwał się chłopak, choć po nocy.

— Prowadź! rzekł krótko Lipiński.

Nie tracąc chwili, wyszli z gospody. Węgrzynek biegł przodem, oglądając się na pana. Minęli wieżę i bramę, weszli do Merceryj, ale tu już trochę zmierzchało. Gdzie niegdzie błyszczały lampki pozapalane pod obrazami Madonn. Maciek z daleka poznał na wschodkach siedzącego swego szweca, a po za nim o stopień wyżej precudowną czarnobrewą Maryettę.

— Otoż i on, i królowna neapolitańska! krzyknął do pana.

Ale zaledwie ją mógł dojrzeć Konrad, szwec, który chłopaka poznał, skinął na córkę, aby uszła, i dziewczę musiało się skryć w głąb domowstwa, przez szparę tylko posyłając ku przybyszom wzrok ciekawy.

— Panie majstrze! krzyknął Maciek: oto i mój pan. Szwec wstał, zdejmując czapkę.

— Przyszedłem wam sam podziękować za to, żeście mi chłopca nie dali stłuc na miazgę — alem z razu całej historii mało wiary dawał.

Jakób skinął, aby weszli. Niespodzianie przystąpiwszy do drzwi, zetknął się z ciekawą Maryettą, która do drugich uciekła. Tymczasem goście weszli do sklepiku, gdzie już lampka tłała przed N. Panną i Ś. Antonim. Tu dopiero gdy za sobą zamknął od ulicy, do kolan się schylił pan Jakób przybyłemu, a czule i z serea. Od wielu lat stroju i twarzy swojej nie widział, nie słyszał mowy, na raz odzywało się w jego duszy co dawno miał za umarłe, i żył mu powoli ciekły z powiek, ale ich za okularami nie było szczęś-

ciem widać. Startł fartuchem stołek i posadził na nim pana Konrada... Głosu mu brakło z razu na powitanie.

— Bóg wam zapłać, rzekł wreszcie, że ubogą dziurę moją chcieliście nawiedzić. Chłopiec nie skłamał, Polak jestem, ino dawno ze swojej się ziemi wyszło, a długo po obcych włóczyło, dużo biedy najadło i biedzie jeść dało, aż tu wiatr przypędził na tę smrodliwą uliczkę, na stare lata; ale to mój dobrodzieju swoja już chata, po nieboszczce żonie, po której mi ino ten muru kawałek i córka została...

Szewc mówił i płakał, język mu się płał z radości, że swoją mową się mógł odezwać, a co chwila za kolano ścisnął Konrada.

Tymczasem Maciek stojąc w kącie, dopatrzył szpary we drzwiach, a w szparze czarnego oka, i taki był do niego pobożny, jakby się obawiał utracić jednego wejrzenia. Odbywało się to w sekrecie: szewc był zajęty gościem.

Z szewcą nietrudno było dobyć jęgo przygody; po długim odpoczynku język mu świerzbiał, jał więc opowiadać, i jak z Krakowa uciekał, i jak na Szlaku się bawił, i jak potem podniemczawszy, do Wiednia się dostał, a koniec końców zawieruszył się aż do Wenecyi. W historyi téj w istocie wiele było biedy, trafunków, ale co najosobliwsza, że niepozorny szewczyzna znalazłszy służbę u wdowy pani majstrowej Nani, naostatek ją poślubił, a ta mu kamieniczkę, prawda tylko o dwóch oknach od ciasnej uliczki, zostawiła razem z córką. Od ożenienia swego, Nanim się nazywał, i tak go tam już ludzie ochrzecili, a zwłozwał i przywykł do swojej budy, tak, że tu już czekał, rychło mu wybije ostatnia godzina...

Jedyną troską była córka Maryetta, i nadto piękna, i niezmiernie, jak ją nazywał, *ciekawa*.

— Toć to pewnie ta, rzekł ciszej Konrad, co mi ją Maciek nazwał królową neapolitańską.

— A cożem mu miał powiedzieć? odparł szewc: tak mi ją oczyma jadł, zem musiał go czémś odpędzić.

Nuż tedy rozpytywać, nuż w gawędę; a szlachcic jak się stęskni do swoich, czemu by i z szewcem pogawędzić nie miał? Dostyć, że tak poszło do nocy. Tylko że w Wenecyi zwłaszcza wiosną, nocy nie znają, rychlej we dnie zasną. Maciek przez szparę ode drzwi patrzył ciągle, mało nie oślepl.

Powiedział też i szlachcic majstrowi, jak i po co przybył? co go tu sprowadziło? i jakie miał nadal zamiary?

Nani głową pokręcił.

— Do Ziemi Świętej ani myśleć, kiedy wam tu już prawią, że mór panuje, rzekł powoli; ale i tu wam trzeba ostrożnie, bo miasta nie znacie, a choć ja sam w niem jak swój już, ale straszniejszej jamy dla cudzoziemca nie ma, dodał, niż Wenecya. Świeci się to świeci, a wesoło wygląda; mało kto jednak bez płaczu ztąd odjechał. Kobiety — wyjąwszy moją żonę nieboszczkę, a daj Boże, córkę — istne dyabły... młodemu człowiekowi chyba z zawiązanemi chodzić oczyma.

Konrad się uśmiechnął i westchnął razem.

— Gospodarza też z pod Krzyża Maltańskiego — mówił szewc — znam dobrze... a no! i o témby dużo gadać jeszcze. Zabić nie zabije, jak to się tu w tych Włoszech trafia często; okraść nie okradnie; ale z kieszoni wyludzić i za poły różnemi sposoby w domu przytrzymać potrafi. Więc się jegomość strzeż, chcesz-li na czas i cały do domu powrócić, dodał szewc.

— No! a wy? toć pewnie też myślicie kiedyś na swoją ziemię wrócić także?

W milczeniu podniósł głowę Nani... łyzy mu płynęły ciche po fałdach wyżółkłej twarzy.

— Marzyło się to — rzekł — dawniej, niegdyś, marzyło, z dnia na dzień odkładało... ale mój dobrodzieju, postaw, postaw ino człowieka na jakiej chcesz ziemi, to jak drzewo do niej przyrośnie, już go potem chyba wicher wyrwie z niej. Jeśli się zatęskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się... nie ma sposobu... Mnie tu i dziecko, i ten kawałek muru przykuł; co jabym robił z tą dziewczyną, jakbym ją na suchy ład wyprowadził?... Onaby zmarniała, a ja z nią. I po co tam iść? ino groby... A ktoby tam człowieka poznał? Gdyby w zaduszny dzień ludzie wstawali, to jeszcze...

Spuścił głowę stary, okulary mu spadły, podniósł je i otarł milczący. Panu Konradowi zrobiło się też czegoś smutno; a że mu się różne rzeczy po głowie snuły, znalazł się na języku i kapitan Zeno.

— To wy zapewne znacie już tu całe miasto, od tylu lat mieszkając?

— Tak, prawie jak całe, bo człek — rzekł szewc — należy do bractwa, do cechu, do gminy, to się tam różni ludzie spotykają.

— A z innych wysp? spytał Konrad.

— Gdzie niegdzie jaki znajomy, odparł Nani; ale o kogoż pytać chcecie?

— Tak, dla ciekawości, o kapitana Zenona.

— O tego, co ma ładną córkę! dom na Lido! nie znałbym go, odpowiedział szewc, ale koło jego domu zawsze się jarmark sadowi co rok, a ja mojej Maryetty byle jarmark i odpust nie utrzymam i na łań-

cuchu... Samój nie puszcę, muszę się z nią stary wlec, boby to przypadło między ludźmi, gdyby człek nie pilnował. Otoż jak znam i kapitana i Cazitę! Ej! ej! dodał — już tam wasze oko padło, ot i bieda!

— Nie posądzajcie, bo nie ma ani co, ani dla czego! zawołał Konrad; prosta to ciekawość, przybyłem tu na jego statku.

— I z córką, jakbym się patrzył, szepnął szewc: nie chybi...

Konrad się uśmiechnął; Nani patrzył z politowaniem jakimś.

— O! miły Boże! zawołał, toście wy przypadli...

— Nie bójcie się, nie bójcie, począł się bronić Konrad... nic się złego, uchowaj Boże, i nie stało i nie stanie... Cóż mówią o kapitanie Zenonie?

— To poczciwy człowiek, rzekł jakby mimowoli Nani; nic nie mówią, bo złego nie mogą ludzie, a dobrego mówić nie lubią... Tylko to wiem jedno, dodał po chwili: że stara ciotka Anunziata ma krewniaka, wielkiego zawadykę, który gdzieś mieszka na lądzie niedaleczko... i tego chce z Cazitą ożenić...

Konrad nic nie odpowiedział, ale mu się zrobiło jakoś przykro.

— A co mi tam do tego! zawołał: niech ich sobie żeni kiedy chce.

To mówiąc wstał.

— Bóg wam zapłać, rzekł, żeście mi chłopaka ratowali. Gdybyście co odemnie przyjąć chcieli...

Szewc skoczył jak oparzony.

— Stój! paneczku! stój, nie rzecz słowa, którémbyś mi popsuł radość widzenia Polaka. Choć chudo-pacholsko wyglądam, ale...

Uderzył się po boku...

— Jest tam cekinów para... Chcecie mi dowieść dobrej woli?

— A no i owszem, — o to chodzi, rzekł Konrad.

— Więc mi się dajcie odziać ino i nie powstyďte się przyjąć moich zaprosin; wypijemy razem *fiascone* dobrego wina, które ja tu znam pod Prokuratoriami u starego Castigliona? no, co?

— Zgoda! zawołał Lipiński, który choć staropolski szlachcic, na cudzej ziemi już się czuł bratem, choćby szewcowi Polakowi!

Inaczéjby było może w Polsce, ale w Wenecyi...

Szewe pobiegł, a tak chyżo, że dopadłszy drzwi nim Maryetta od nich pierzchnęła, odkrył wielką jéj zbrodnię: oczkowanie nieprzyzwoite z Maćkiem; był gniewny, ale popędziwszy dziewczynę, odłożył gderę na jutro, a sam się co rychléj przystroił...

Wyglądał tak na Wenecyanina, żeby go nikt w świecie nie poznał, iż się nad Rudawą gdzieś rodził, a włożył suknie od niedzieli, aksamitne, z guzami, i czapkę nową zwieszistą, i bóty nowe, aby ziomkowi wstydu nie zrobić...

Maćka zaraz z rozkazem pilnowania domu odprawił Konrad, a sam z majstrem pełnym poufałego uszanowania poszedł pod Prokuratorie. Znaleźli wiechę starego Castigliona, który im przy stoliczku na placyku Ś. Marka naprzeciw swojego domu wystawił owo *fiascone* wina...

Noc, bo już się było późno zrobiło, przesliczna, gwiazdzista, księżycowa, pół-przeźroczyta, orzeźwiająca, wywabiała z domów co było na placyk Ś. Marka. Roił się ludem jak nigdy we dnie; strojne kobiety, kawalcrowie, podżyłe damy, duchowni wszelakiej barwy, mnóstwo cudzoziemców w strojach malowniczych

snulo się po marmurowych posadzkach placu, który na tę ciżbę wydawał się za mały.

Wszystko się rozbudzać zdawało dopiero do życia: kuglarze pokazywali sztuki, muzycy próbowali głosów, niewiasty o złocistych warkoczach wabiły oczyma, śmiechy, gwar, rozmowy, śpiewy rozlegały się dokoła, a Ś. Marek osrebrzony księżycowem światłem patrzył na swe dzieci staruszek z za kandelabrow, w których zwinięte dawnych posiadłości drzemały sztandary. Tu dopiero życie ludu weneckiego poznać było można, charakter jego, wesołość, przebiegłość, i cnotę, i zepsucie. Bo też jednej i drugiej było zarówno.

Patrycyusze ocierali się o gmin, urzędnicy o nędzarzy... wieczór, chłód i wesele na chwilę równały wszystkich. Nani był doskonałym tłumaczem dla cudzoziemca. Wiedział on historję niemal wszystkich zrujnowanych patrycyuszów, którzy po nocy jeszcze wyglądali na magnatów, a za którymi nie widać już było dawniej ciżby klientów; nazywał po imieniu tych, co niedawno wkupili się do złotej księgi za sowitą opłatą; pokazywał kobiety sławne z wdzięków i zalotów; opowiadał dziwne przygody młodych i starych; usta mu się nie zamykały, zwłaszcza gdy trochę je wino w żywszy ruch wprowadziło.

Konrad słuchał... Było to dla niego nowe i po trosze zastraszające, nic podobnego w kraju o uszy się jego nie obilo; dumal nad tym ludem tak jakoś inne, szumne i niebezpieczne życie wiodącym.. Szewc paplał, ale mówiąc z po za okularów, rzucał oczyma na wsze strony tam i sam, i snadź coś dostrzegł, co uwagę jego zwrócić musiało, bo się parę razy wzrok jego pod ciemnymi galeryami Prokuratorji zatrzymał i poszedł, a śledził kogoś, i wracał niespokojny.

Konrad zajęty widokiem placyku i zabawy, nie uważał na to i nie zobaczył też signora Zanara, który z za kolumny ostrożnie palcem wyraźnie parę razy nań wskazał młodemu, słusznemu, przystojnemu mężczyźnie... Nieznajomy ten, płaszczem okryty, z kapeluszem na oczy nasuniętym, zdawał się uważnie wpatrywać w Polaka, i począł po chwili dokoła stoliczka, przy którym siedzieli, krążyć. Ale zobaczywszy widać, że Konrad nie był sam, usunął się w tłum i zniknął.

Nani widział wszystkie jego ruchy, choć za właściwe uznał udawać, że wcale nań nie patrzy; ale gdy po chwili nieznajomy przepadł... zapomniał o nim prawie...

Choć noc już była, nie chciało się odchodzić, tak wesoło tu było na placu Ś. Marka. Zmniejszył się wprawdzie tłum, powoli część jego na Piazzettę do gondoli na Mercerye i w małe uszła uliczki; zostało jednak pod Prokuratorem przy latareńkach gwarzących par i gromadek dosyć i snujących się jeszcze postaci samotnych lub po kilka pozbieranych. Ale *fiaccone* skończono, Konrad postanowił odejść, pożegnał uprzejmego szewca, i skierował się ku Krzyżowi Maltańskiemu...

Nani powoli ciągnął ku swojej uliczce; niespokojny był prawdę rzekłszy, zawsze o Maryette, a tym razem ciężył mu jeszcze gniew niewygdery na sercu.

Ledwie kilka kroków postąpił ku kościołowi Ś. Marka Konrad, gdy w blasku księżycowych promieni niespodziane zatrzymało go zjawisko...

Ciocia Anunzaita szła pod rękę z Cazità; Cazità go poznała z daleka i prosto ciągnęła ku niemu... uśmiechnięta, wesoła... Ciotka zdawała się oburzoną tém zuchwalstwem, ale oprzeć mu się nie mogła. Mimo wysił-

ków widocznych i targania na bok, Cazità już rzuciła: *Buona sera!* w powietrze, Konrad je pochwycił, i rozmowa się rozpoczęła. Na twarzy Anunziaty malował się gniew płomienisty, ale milczący...

Poczęli przechadzać się razem...

— Nie prawdaż, że na całym świecie nie ma tak szczęśliwego i wesołego ludu? poczęła Cazità.

— A! śliczności! odparł Konrad zachwycony, nie umiając się już powstrzymać (włoskie na niego znowu działało powietrze). Ale mi się to wszystko dopiero teraz tak cudowném wydaje, gdy was tu zobaczył.

— O! kłamać niepięknie!

— Skłamałbym, mówiąc inaczej; grzeszyłbym, gdybym milczał.

— O! o! przerwała Anunziata: w waszym to kraju, jak widzę, umięją kobietom pochlebiać.

— Myślałaś pani, że nam serca pozamarzały?

— Nie, zawołała ciotka ale; myślałam, że się powolnie otwierają, i że więcej szanujecie i uczucia, i kobiety.

— Sroga nauka! rzekł Konrad trochę urażony—więc milczę.

Cazità spojrzała na niego, płacąc mu wejrzeniem cioteczyne połajanie.

— Nie gniewajcie się, szanowna pani, dodał gość grzecznie: czasem się słowo wyrwie jak ptak z klatki.

— Nie trzeba drzwiczek mu odmykać, to nie poleci, rzekła ciotka poważnie; a co szkody narobić może!!

Potrząsa głową.

— Ej! ej! pusta z was młodzież, nie tak to za naszych czasów bywało. Mój nieboszczyk, świeć Panie nad duszą jego, pięć lat patrzył na mnie, słowa się nie ważył powiedzieć.

— Szanowna pani, odparł Konrad: niewszyscy mają tak dobrze zamknięte usta. Ale raczcie mi powiedzieć, przez te pięć lat czyście nie domyślali się nic? czyście go nie rozumieli tak dobrze, jak gdyby codzień wam jedno powtarzał?

Ciocia uderzyła go z lekka wachlarzem po rękę.

— Cichoż! psotniku jakiś! cicho! bałamucie, gorsysz mi dziecko.

Ale czy ją wspomnienie nieboszczyka rozczerło, czy łagodność Konrada znalazła w jej sercu fórtkę do wyrozumiałości, dosyć, że nie zważała prawie, iż Cazità po cichu śmiejąc się szeptała coś do Polaka, a Polak jej żywo, gorąco odpowiadał.

Ciotka zamyślona patrzyła na niebo gwiazdziste, szukając w niem może swojego nieboszczyka.

Rozmowy tego rodzaju gdy spisywać przyjdzie, należałoby notować jakimiś osobnymi znakami, tak je trudno ująć w słowa, określić znaczenie, które im uśmiech, głos, ruch nadają. Zostają one nawet w pamięci dwojga ludzi, jak jakaś muzyka, której się pomni melodyę na zawsze, nie wiedząc z czego się składała.

Ciocia nareszcie przypomniała oczekującą u brzegu na Piaziecie gondolę, a Konrad odprowadził je aż do łódki. I gdy wiosła odniosły na kanał gondolę, zapatrzył się na posrebrzone wody, na świecąca ognikami jak gwiazdkami Giudeccę.

Stał tak a patrzył, gdy go ktoś uderzył po ramieniu z lekka.

Odwrócił się—przed nim był płaszczem okryty, w kapeluszu na oczy nasuniętym, słusznego wzrostu mężczyzna, z postawy sądząc, młody... nieznajomy...

— Przepraszam, rzekł: pan mię nie znasz, ja załed-

wie wiem, żeś cudzoziemiec i kto jesteś; ale jeśli to panu zbytniej przykrości nie zrobi, prosiłbym go o chwilę rozmowy.

Konrad nie był ani podejrzliwym, ani tchórzem, jakkolwiek noc była późna, a plac się opróżniał, miał swą szablę u boku. Nie uląkł się więc bynajmniej dosyć podejrzanego zaproszenia.

— Służę panu, rzekł; ale mam ten zwyczaj, że lubię wiedzieć z kim mówię, i chcę być znanym temu, kto mnie zaczepi. Jestem szlachcic wenecki i szlachcic polski Konrad Lippi de Buccellis... do usług.

Sklonił się.

Nieznajomy zdjął kapelusz z głowy, i odkrył twarz piękną, młodą, męzką, ogorzałą, rysów szlachetnych...

— Ja także — odparł — imienia się swojego nie wstydzę, ani ukrywać lubię. Jestem Gabryel Antonio Sabrone; nie szlachcic, ale obywatel wenecki i posiadacz kawałka ziemi należącego do Rzpłtj.

— Czémże służyć mogę szanownemu panu? zapytał Konrad.

— Rozmową tylko; przejdziemy się jeno chwilkę po tym placyku, który świeżo przebiegałeś pan w tak miłym towarzystwie. Rozmowa nie potrwa długo; jam wieśniak i człek otwarty.

— Słucham, rzekł Konrad.

— Ciocia Anunziata—odezwała się Sabrone—jest moją krewną po dziadzie; signora Cazità daleką moją powinowatą. Los i dobre imię ostatniój, jak się łatwo domyślicie, wiele mnie obchodzi. Wyraziłłem się dosyć jasno?

— Dla mnie zupełnie dostatecznie, odparł Konrad. Nie znam dobrze obyczajów waszego kraju, choć do

niego należą; ale w czémże mogłem losowi signoriny lub jój dobrój sławie zagrozić?

— Gdyby już groźnego co było, zawołał Sabrone— mówilibyśmy inaczej. We Włoszech, wy wiecie, lub domyślacie się, nietylko usta, w ostateczności i noże mówić umieją... Nie jeszcze nie grozi; ale... signore Corrandino—szczerze... nie bałamucicie wy mi kuzynki?

— Nie miałem i nie mam téj myśli, odparł Polak. W naszym kraju, w mojej przybranój, drugiej ojezynie, w Polsce, mężczyzna stara się poznać kobietę; jeśli mu się podoba, zbliża się do niej przyjęty poszanowaniem; jeśli ją pokocba, oświadcza się; jeśli kochanym jest, żeni się. My innych bałamuctw nie znamy.

Wyrzekł to z pewną dumą i zapalem. Sabrone poprawił kapelusz.

— To co innego, rzekł; jesteście więc na jakim punkcie téj ciekawój historii polskiego kochania?

— W przedmowie, odpowiedział Konrad.

— A gdy się dzieło nie podoba, myślicie je porzucić? he?

— Signore Sabrone, zawołał Konrad: jak się u was żenią? z zawiązanemi oczyma?

— Słuchaj polski szlachcicu, kładąc mu rękę na ramieniu, odpowiedział Antonio: jam wieśniak i nie dowcipuję; powiem ci wszystko od razu... ja kocham Cazite, i chcę się z nią żenić.

— Dopowiedzże mi, rzekł Konrad: czy ona...?

— Ona! ona! szepnął ponuro Antonio: otoż nie wiem; ale ja sam będąc, mogę mieć nadzieję... Jestem młody, trochę piękniejszy od dyabła... i na Madonnę! dodał gwałtownie, ja ją kocham, ona mnie nie dziś, to jutro pokochać musi.

— Signore Sabrone, tój racyi nie rozumiem, z przękąsem trochę rzekł Polak.

— A ja ją rozumiem tak dobrze, szybko dorzucił Wenecyanin,— że jeśli mi się koło niej płaćtać będziecie...

— To co? spytał Konrad.

— Domyślcie się.

— Nie chcę się domyślać niczego, coby waszjej czci uwłaczało. Sądzę, że mnie wyzwiecie na rękę... no! to się bić będziemy.

— Jak? na szable? na rapiry? na szpady? na pistolety? zapytał, szydząc Włoch.

— Jak zechcenie.

— Al! nauczcież się wcześniej bić na noże, bo ja inaczej nie umiem, i walczyć nie będę. Signore Corradino! tak! my się nie bijemy inaczej! Ręka obwija się płaszczem, w drugą bierze się nóż, i...

To mówiąc, z za pasa dobył żelazo, i przed oczyma Konrada błysnęła klinga krótkiego, ostrego sztyletu. Nie myśląc i nie zastanawiając się, Polak już miał w mgnienu oka dłoń na szabli; sama mu ona wyskoczyła z pochwy i świsnęła ku górze.

— Stój! gorączko! rzekł, nóż chowając Sabrone: to była tylko lekcyca *coltellaty*. Schowaj szablę do pochwy, aby cię zbiry nie ujęły. Bić się dziś jeszcze nie będziemy, ale pamiętaj!... do zobaczenia!

To mówiąc, oddalił się tak szybko nikiąc w galerii pałacu Dozów, od którego stali niedalekò, że gdy schowawszy żelazo do pochew Konrad się obejrzał, był już sam jeden, a wiatr od morza chłodnawy rozplómienną twarz mu głaskał, jakby go chciał za niegrzeczność tego napastnika przeprosić.

• Drząc jeszcze podwójném wrażeniem, rozmowy

z Cazitą i z signorem Sabronem, Konrad powoli skierował się ku Rivie i swój gospodarze..

Wrota jój niezbyt oddalone, pełne jakos były ludzi... pochodni, zgiełku... Widocznie niezwyčajnego coś się tam trafić musiało. Konrad sądził, że signor Zanaro przyjmował pewnie najmniej jakiegoś udzielonego księcia.

Ludzie biegali żwawo, głosy się rozlegały, pośpiech jakiś i niepokój był widoczny. Trochę przytomniejszy, byłby Konrad poznał, że tu nie chodziło o przyjęcie niczyje, ale widocznie o przygodę nieszczęśliwą, bo z pośród zgiełku słyhać było wyrzekania i przekłętwa, jęki i szlochy, krzyk gospodarza, płacz gospodyni, głośne łajania i swary...

— Cóż to się tam stać takiego mogło? śpiesząc, pytał sam siebie Konrad.

Gdy się o kilka kroków do gospody zbliżył, mógł już rozeznać w pośrodku tłumu złożonego z całej niemal ludności domu, zwiększonej parkanem przechodniów od ulicy, kawalera Gerardego z najokropniejszym gniewem wybuchającego przeciwko panu Zanarowi, który z założonemi na piersiach rękami, cierpliwy, wspinałomyślny, wielki majestatem spokoju, znosił krwawe miotane na niego obelgi... Po za nim stojąca żona, podparta w boki, gniewna, szarpała na sobie suknie, a Magdusia rada, że na coś przydać się może, czynnie walczyła z napastnikiem. Doktor Niemiec i Maciek należeli do spektatorów razem ze służbą i mieszkańcami gospody. Na uboczu stał błądy stronę kawalera trzymający widocznie principe Alessandro di Ponte-Vecchio, ale mało się mieszał do waśni.

Nie widać też było Signory Zenobii Boccatorra, przy-
szłej śpiewaczki, *prima donna assoluta* cesarskich teatrów...

— Nie myśl stary szalbierzu, wołał kawaler Gerardi,—aby ei tym razem bezkarnie ująć mogło... Wiedziałeś niezawodnie, mam dowody, żeś pomagał do ucieczki Zenobii z Polakiem... Złapiemy ich oboje... pomścimy się zniewagi cesarskiego posła, upomnimy się u Rzeczypospolitój... Natychmiast wysyłam skargę do doży, do rady dziesięciu, kuryera do Wiednia, szpiegów na wszystkie strony, dopędzimy, dostaniemy ją z pod ziemi...

I kawaler Gerardi tupał nogami, skakał w miejscu, łamiąc ręce.

— Wpan wiesz, że za signorę Zenobię zapłaciłem długów trzy tysiące talarów bitych, że dałem jej na ręce dwa tysiące cekinów na garderobę... a podróż... a moja powaga... Gdyby nie współnictwo wasze, nigdyby zdrajczyni nie mogła nawet pomyśleć o ucieczce! Ale to nie ujdzie bezkarnie! to nie przejdzie ci lekko, mospanie Zanaro! ani dumnemu temu Polakowi, który tak dobrze grał rolę niewinnego i obojętnego!!

W chwili, gdy Gerardi mówił o Polaku, Konrad przebił się przez tłum i ukazał oczom wszystkich... Kawaler Gerardi poskoczył ku niemu zajadle z razu, ale widząc go spokojnym i zdziwionym tylko, obejrzał się w koło i wstrzymał.

— Gdzie jest signora Zenobia? zawołał nieco zmieszany do Konrada; pan musisz o tém wiedzieć.

— Ja sędzę, że panbyś to raczej wiedzieć o tém powinien, odparł Polak bardzo spokojnie.

Zanaro wziąwszy się za boki, począł serdecznie

się śmiać... Gerardi wybuchł nowym gniewem i przyskoczył do niego.

— Ty! ty mi odpowiesz za wszystkich!

Niektórzy z otaczających poczynali się śmiać także, co nadzwyczaj jąrzyło małego garbusa, niewiedzącego już co począć. Zwrócił się znowu do Polaka.

— Gdzie jest signora Zenobia?

— Bardzo mi przykro, że panu na to odpowiedzieć nie umiem; ale z jakiego powodu sądzisz pan, że ja o tém wiedzieć mogę lub powinienem?

— Wszystkie pozory są na pana! oddalenie się jegc... tajemnicze poróżumienia!

— Moje? kiedy? z kim? spytał Konrad.

— Oszałał! wołała tymczasem gospodyni—oszałał! A czemuś kobiety nie umiał pilnować! ha! stary sopranisto, którego za stróża dają pannom dojrzałym! Czemu swego obowiązku nie pełnisz jak należy, chodząc pod patynkiem swój belli?

— Ta kobieta mnie znieważa! krzyknął porywając się do szpady, której nie miał u boku Gerardi.

Magdusia powtórzyła jego ruch, szukając niby także szpady u swego boku, i stając w gotowości do pojedynku... Śmiech homeryczny rozległ się do koła.

Principe del Ponte-Vecchio, który milcząco przypatrywał się téj scenie, widząc, że przyjaciel jego Gerardi o mało nie dostaje konwulsyj, ujął go za rękę powoli i odprowadził na bok, starając się uspokoić, szepejąc mu coś do ucha.

W istocie Gerardi usłuchał jego rady, i z wolna z nim razem wysunął się z téj kupy ludzi, widocznie bardzo dla niego nieprzyjaźnie usposobionój.

Zanaro stał jeszcze w komicznój swój postawie

obrażonego na honorze człowieka, z dumą znoszącego obelgę, która go dotknąć nie mogła... Magdusia szydziła, jejmość za ich dwoje się gniewała, słudzy żartowali i śmieli się.

— Na Boga, cóż się stało? czego chciał odemnie ten człowiek? zapytał Konrad; co to jest? co to znaczy?..

— Eccelenza! zawołał patetycznie oberżysta, to znaczy, że signor cavaliere Gerardi jest szalona pałka, i że ludzie zawsze są niewdzięczni, a sami będąc winni, grzech swój na cudze radzi zwałają barki... Signora Zenobia Boccatorra znikła; posądzano pana, żeś ją uprowadził, bo pana jednego brakło. Znikła nie tylko osobą swą, ale z garderobą, cekinami i całym mieniem, należącym po części pono do wysłańca i szkatuły jego cesarskiej mości. Interes brzydki! ohydny, a do tego niebezpieczny. Leczą, że się to trafiło na terytorjum najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie idzie za tym, by cesarz wydał nam wojnę... Kawaler Gerardi sopranista, jak moja żona powiada dowcipnie, dodany za stróża, źle spełniał swe obowiązki; dał się, Cerberem będąc, uwieść słodkim słówkom panienki, pozwalał jej samą jeździć, kędy się podobalo... Zaszły zapewne znajomości, i ktoś, co sopranem nie śpiewał nigdy, porwał jejmościankę i uwiózł... kędy? to wiedzą tylko gwiazdy przyświecające ich podróży.

To mówiąc, Zanaro chytrze się uśmiechał; znać było, że w tej ucieczce, która z tłumokami tak cicho się spełniła, i on udział mieć musiał potajemny, ale zapłacony, milczał.

Najmniej Gerardi posądzal księcia di Ponte-Vecchio, a przecież... co znaczył bilecik przy stole?

Z drugiej strony, jakim sposobem, gdy Zenobia znikła, ów książę spokojny pozostał i towarzyszył jako pocieszyciel obżałowanemu kawalerowi?

Były to tajemnice weneckie, intrygom onych czasów i tego miejsca właściwe, których Konrad w prostocie ducha ani się nawet silił odgadywać.

Posłano po farmaceutę i cyrulika, aby przerażonego kawalera uspokoił lekarstwami, a według metody włoskiej i krwi mu przedewszystkiēm upuścił. Nikt tak starannie nie chodził około nieszczęśliwego, jak ów zacyjny książę di Ponte-Vecchio, który sam go wyręczył w porozysłaniu depesz, kuryerów, doniesień i nie położył się spać, aż ujrzał nieco uspokojonego posta cesarskich teatrów, błogim snem po małej dozie opium odpoczywającego.

Naówczas rzucono tłomoczek jego do gondoli. Zano odprowadził do brzegu; widziano, jak coś chował do kieszeni—a zręczni wiosłarze popędzili przez Canal Grande i mniejsze uliczki wodne w jakiś ciemny z nim zakątek.

Mówiono, że nazajutrz przez Padwę przejechało bardzo szczęśliwych młodych ludzi dwoje, których śmiechy wesole słyhać było na staje od wiozącego ich weteryna.

Ale przebudzenie kawalera Gerardego było nader smutne. Spał wprawdzie blisko do południa ciężkim snem zmorzony; lecz gdy oczy otworzył, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, były depesze i listy powyprawiane, jak sądził, spokojnie na stole leżące. Służący, którego zawołał, domagając się swego przyjaciela księcia di Ponte-Vecchio, oznajmił mu, że ów książę jeszcze wczoraj wieczorem niewiadomo dokąd odpłynął, list tylko zostawiwszy. Rzucił się na to jed-

no chciwie Gerardi, ale jakże okrutnie zdziwić się musiał, czytając w liście:

„Najszanowniejszy Panie!

„Signora Zenobia Boccatorra i ja, składamy ci najpowniejsze dzięki za wszelkie ułatwienia, jakie niezręcznością swą i łatwawiernością nastęczyłeś nam do podróży. Zaopatrzeni szczerze w pieniądze, garderobę, potrzebne papiery, udajemy się razem spędzić wesoło kilka miesięcy czasu tam, gdzie nas najdłuższa ręka wasza doścignąć nie potrafi.

„Uchybiłbym sobie i Waszój Ekscellencyi, gdybym zawdzięczając Jego zaufanie dla mnie, nie przyznał mu się, iż tytuł księcia nosiłem tylko na scenie; w życiu zaś powszedniem byłem i jestem *primo innamorato*, chudym pacholkiem i szczerym signory Zenobii wielbicielem, w chwilach, gdy innych wielbicielei nie miewa.

„Racz wasza Ekscellencya przyjąć od nas obojga zapewnienie szczerój wdzięczności i wysokiego szacunku, z jakim i t. d.

Paolo Gaetani,

pospolicie zwany

Povera Canaglia,
artysta dramatyczny.“

Po przeczytaniu tego listu, musiano raz jeszcze wezwać cyrulika, aby kawalerowi miskę krwi popsuć upuścił. Panowało bowiem naówczas we Włoszech i trwa poniekąd do dziś dnia przekonanie, iż wszystko złe z człowieka z krwią odchodzi.

Zanaro, którego zupełna niewinność ku wieczorowi była dowiedziona, przebaczywszy winy porywcz-

mu kawalerewi, pilnie strzegł jego łoża. Oderwał się jednak od niego na chwilę piątego dnia, aby odwiedzić nieco smutnego Konrada, który zamyślony chodził po swym pokoju, poglądając kiedy niekiedy na stojącego w kącie z nosem spuszczonego biednego Maćka.

Wszedł, mimo olbrzymiego ciężaru, jaki na sobie dźwigał, na paluszkach, drzwi zamknął po cichu, jakby były watowane, odchrząknął miękko i łagodnie, aby nie nastraszyć, a gdy wzrok Konrada padł nań, znalazł na twarzy wyraz ujmującej słodyczy i łagodności.

— Mógłbyś zapytać o zdrowie? rzekł z melodyjną intonacją gospodarz. Wasza ekscellencya wydajesz mi się zadumanym, smętnym! nie mógłbym spytać o pobudki téj posepności, na którą, spodziewam się, wesola nie zasłużyła Wenecya?

Konrad popatrzał nań długo, a przez ciąg tego wpatrywania się, Zanaro starał się wydawać akşamitnym, aby wzrok gościa spłynął po nim, jak najmiłsze zostawując wrażenie.

— Nie spodziewam się, rzekł Zanaro, rękę kładąc na sercu, śpiewnym głosem, szukającym drogi do duszy, że zdołam na wasze zaufanie zasłużyć, najszlachetniejszy panie; ale gdybyś mi chciał otworzyć głębię serca twojego, jeżeli się nie mylę zranionego, możeby biedny Zanaro znalazł jakie na utrapienie lekarstwo?

— Zkądże wnosicie, że mam utrapienie? spytał Konrad.

— Oblicze waszój ekscellencyi, nieprzywykłe do tajenia uczuć, które wewnątrz się zakradły, zdradza niepokój. Gdybym śmiał odgadywać jako człowiek

doświadczony, a wziął na wagę wiek wasz, gotów-
bym się domyślić nawet, iż niepokoju przyczyną jest
ładna twarzyczka kobieca. — A co, *non é vero?*

Konrad się uśmiechnął poważnie.

— Kochany panie Zanaro, rzekł: wy w swoim
kraju przywykliście do łatwych i płochych miłostek;
my tylko do poważnego kochania raz w życiu!

— Tém-ci gorzej, odparł Zanaro: co u nas jest
chorobą lekką, u was grozi śmiercią. Tém-ci gorzej;
potrzeba prędkiego i skutecznego ratunku.

— Ale ja nie jestem wcale zakochany, mówił
dalej Konrad.

— Suchotnicy także, wedle opinii powszechnéj, nie
czują się nigdy dogorywającymi, na godzinę nawet
przed zgonem.

— Ponieważ chcecie mi radzić, a ludzi znacie dob-
rze, radźcie signor Zanaro.

Gospodarz w tył założywszy ręce, dyskretnie na
palcach się zbliżył, nastawiając ucha.

— Płynąc do Wenecyi na statku „Padre Antonio,”
rzekł Konrad, poznałem w istocie piękną i zajmującą
córkę kapitana Zenona.

— *Cazitę!* anielską *Cazitę!* kręcąc głową, rzekł
zasmucony widocznie gospodarz.

— Zaproszony byłem zaraz do nich na Lido; a że
ryba, którą mnie uczęstować chciano, nie nadeszła,
mam drugie na dziś zaprosiny. Widzieliśmy się raz
jeszcze i mówiliśmy z sobą na placu Św. Marka.
Oto wszystkie grzechy moje. Signora *Cazità* podo-
bała mi się bardzo; ale my Polacy nie zwykli-
śmy, nawet gdy kobieta serce nam porwie, zdawać
się jéj na łaskę. Jesteśmy żołnierze, walczymy do
końca.

— Z kobietą nawet? spytał zdumiony gospodarz.

— Nie, z sercem własnym, rzekł Konrad. Signora Cazità podobała mi się, powtarzam, ale to młodzięcze uczucie, to kwiat, z którego może nie będzie owocu.

Na te słowa signor Zanaro ręką sobie usta zatulił i począł nie wiedzieć czego prychać. Konrad poważny nie zważał na ten śmiech niewczesny.

— Wyznaję, mówił dalej: że bliżej i lepiej chciałbym poznać córkę kapitana... Tymczasem dowiaduję się, że ciotka jej chce ją wydać za jakiegoś krewniaka, który mi już grozi żelazem, jeśli się do niej zbliżyć będę starał. Krewny ten...

— Zowie się Sabrone! dorzucił Zanaro.

— Z jednej strony—rzekł Konrad—jestem z tego narodu, który niebezpieczeństwy przynęca się, nie odstrasza; z drugiej, nie chciałbym nikomu czynić przykrości i wstrętu, sam nie będąc pewien, czy to, co mi się wydaje miłością, nie jest płochym głowy zawrotem... Cóż mi radzicie signor Zanaro?

— Żelazo jest ostre, rzekł gospodarz, oczy niewieście przeszywające, ale miłość jest potrzebą i darem bożym. Z tym Sabronem mogłyby zająć układy pewne, w najgorszym razie; Sabrone nie jest nieśmiertelny...

Gospodarz chrząknął, dając do zrozumienia to, czego Polak przypuścić nawet nie umiał.

— Mam więc pojechać na rybę, czy pięknym listem się wymówić?

— Piękny list jest czasem wybornym posłem i doskonałym w sprawach serca pośrednikiem, ale... oczy

mówią lepiej jeszcze... Sabrone może o tój wyprawie nie wiedzieć.

— Zdaje mi się, że o niój wie.

— Delikatna materya? spytał Zanaro; co mówi serce?

— Iść, bądź co bądź!.. zawołał Konrad. Toż samo mówi mi szabla u boku, a tём szlachetném żelazem, kochany panie Zanaro, mogę ściąć najmocniój na karku siedzącą głowę... Dało ono tego dowody, i dłoń, co je trzyma, także.

Zanaro kwaśno na szablicę brzęczącą w pochwach szerokich popatrzał.

— A znacie wy prawa nasze? zapytał.

— Nie dobędę szabli nieprzymuszony do tego, ale jój nie schowam suchój. Pijaczka jest, i lubi krew ludzką.

— Smutne przypuszczenia, niedorzeczne, rzekłbym... odezwał się Zanaro,—gdybyś nie wasza excellencya występował z niemi. Do tego nie przyjdzie. Na rybę pojedziesz wasza wielmożność i ości nie połkniesz, spodziewam się. Znam Sabronego, wiem gdzie staje, gdy do miasta przyplywa, uprzedzę go, lub zatrzymam.

— Nie, powiedz mu wpan tylko, dodał Konrad. że krzywdy jego krewnój ani myślą, ani wejrzeniem nie uczynię, a sobie też wyrządzić jój nie dam. Odstręczać jój od niego nie chcę, niech lepiej płynie ze mną. Poszléjcie po niego.

Zanaro spojrział na szlachetnego młodzieńca, skłonił się i wyszedł powoli.

W pół godziny wszedł wiodąc z sobą owego przystojnego nieznanomego, co się jako Sabrone na placu Ś. Marka Konradowi przedstawił.

Lippi podał mu rękę, którą tamten przyjął i ścisnął z razu się wzdragając.

— Signor Sabrone, rzekł: jestem zaproszony na Lido; nie chcąc być niegrzecznym, popłynę, ale proszę was na świadka rozmowy i współzawodnika. Jedźmy razem.

Włoch był pochmurny.

— Po co? zawołał; nowi ludzie w oczach kobiet zawsze są lepsi od starych... Nie chcąc nawet, bałamucić ją będziecie.

— Za jakże płochą ją macie!!

— Masz słuszość, winienem, jedźmy! odparł żywo Sabrone; służę wam...

Nie mówiąc do siebie słowa, siedli razem do gondoli. Dzień był wietrzny, woda nawet w zacisznym kanale dąsała się i rzucała, łódka z nią skakała, srebrnemi obrzucana bryzgi; ale słońce świeciło jasne, wesołe... Konrad muskał węża, Sabrone patrzył nań i chwycił się za pas co chwila, źle mu jakoś było.

Dobili nareszcie do brzegu, przyciągniono łódź, wyskoczyli oba.

Z okna domku dawno już widać było główkę złocistemi włosy okrytą i parę czarnych ocząt na anielskiej błyszczącej twarzyczce, która zdawała się to kryć, to znów ciekawie wyglądać. Dwie białe małeńkie dłonie podniosły się do góry... i uderzyły jedna o drugą... znikła...

W progu domku powitał ich kapitan w wykwintnym stroju marynarza włoskiego owych czasów, z dosyć wesołym obliczem; ale gdy poznał zbliżającego się Sabronego, zasepił się nieco... Podali sobie ręce w mileczeniu... Ciocia Anunziata z patelnią w dłoni wyjrzała oknem, zobaczyła niespodzianego gościa

i głośno śpiewać poczęła. Cazyty długo nie było widać.

W najparadniejszym pokoju nakryto już było do stołu, stały oplatane flaszki, śliczne murańskie kielichy z kręconego dwukolorowego szkła, talerze fajansowe malowane, dzban z wodą, cytryny i *frutti di mare*.

Kapitan zawołał Cazytę, która wyszła poważna, ale widocznie nadąsana, spojrzała na kuzynka pogardliwie, na Polaka gniewnie, na ojca podejrzliwie, główką im skinęła i przy oknie usiadła, nie znalazłszy nic lepszego do czynienia, patrząc sobie na dalekie morze.

Sabrone najodważniejszy, pierwszy się do niej przybliżył.

— Cóż to pięknej kuzynce? spytał: czy nie moja przytomność taką chmurą pokrywa jęj twarzyczkę?

— Moglibyście być prorokiem, tak doskonale zgadujecie, szepnęła mu po cichu.

— Ale ja mam wymówkę... Signor Polacco, którego przypadkiem poznałem na placu Ś. Marka właśnie tego samego wieczoru, gdyście go tak miłą upoiłi rozmową, sam mnie zaprosił na rybę cioci Anunziaty...

— A! a! ozwało się dziewczę. Moglibyście wyśmienicie pójść na rybę do kuchni... Ciocię Anunziatę tam zastaniecie nad patelnią, będzie wam lepiej rada może niż ja...

Posłuszny, choć z gniewem na twarzy, Sabrone skłonił się i poszedł do kuchni, wprost do cioci Anunziaty.

Z kuchni daleko rozchodził się i zapach smaże-

ny i głos stariej poczciwej kobiety, która chciała nócić, tak była w dobrym humorze.

W progu spotkała swojego ulubieńca śmiechem i dygiem.

— Antonio! jakież ty rozumny! czy cię patron twój natchnął, żeś dziś właśnie tu przybył?

— Nie, ten Polak przywiózł mnie z sobą.

— Polak? spytała: znasz go?

— Zanaro mi go pokazał, trochęśmy już pogadali z sobą... dodał, uśmiechając się znacząco — znalazł on bezpieczniejszém mieć mnie za świadka...

Ciotka zamyśliła się, pokręciła głową.

— No, to się wiem czego obawiać! rzekła,—a byłam w strachu! przyznaję ci się. Jakże cię przyjęła? spytała po chwili.

— Jak zawsze... jak psa... ciociu Anunziato.

— Najlepszy znak! rzekła stara.

— I odprawiła mnie precz do kuchni.

— Nic lepszego! zawołała Anunziata: tyś młokos. Z tych małżeństw łatwych a gorących zawsze prawie biedy i nieszczęścia; trwałe przywiązanie rodzi się tylko z kłótni. Ja mojemu nieboszczykowi takem nieraz podrapała twarz... do krwi... a wierzaj mi, pokochałam go potem szczerze...

Sabrone się uśmiechał... Ciocia Anunziata krzątała się około ryby.

— Chciałem Polaka nastraszyć nożem, rzekł cicho; ale to mi się nie udało. Zanaro powiada, że mu się zwierzył, iż jedném cięciem swój szabli łby ścina.

— Polacy są bitnym narodem, to pewna, rzekła ciotka; alem nigdy nie słyszała, żeby głowy tak łatwo chrześcianon z karków strącali... zawsze potrze-

ba z nim być ostrożnie... i nie tak się znowu obawiać jego miłości. To błyskawica, co przeleci po niebie, nie zapali i zagaśnie... Dziecku się podobała nowa twarz... niech się przypatrzy, a dostrzeże, że mój Sabrone i najładniejszy, i lepiej na męża stworzony...

To mówiąc, nieco zatłuszczoną dłonią uderzyła go po twarzy.

— Przypominasz mi czasem nieboszczyka! westchnęła. Ale idźże precz, bo rybę przysmałę. Święta Panno di Salute! umarłabym ze wstydu, gdyby mi się nie udało. Idźże precz Sabrone!

Antonio zniknął za drzwiami.

Na górze po odejściu jego zaświeciła pogoda, uśmiechnęły się czarne oczęta. Kapitan nie przeszkadzał rozmowie; poszedł był po pewne stare wino, od którego sam miał klucze, bo je przed laty sześciu przywiózł był sam z Grecyi i strzegł jak oka w głowie...

— Po coście mi przywieźli Antonia? spytało dziewczę.

— Ażeby nie myślał, że się boję z tém, co tu czynię i mówię.

— Ależ powinniście wiedzieć lub domyślić się, że ja go nie lubię.

— Za co, signoro Cazito?

— Za co? ale za to, że mi go ciocia Anunziata stręczy na męża, a ja męża chcę sobie wybierać sama... Mówiłam to ojcu dawno, a ojciec dobrze wie o tém. Przytém Sabrone mnie kochać nie może; ja wiem tylko czemu...

Zamilkła, patrząc na morze...

— Powiedz mi pan, spytała po chwili, zmieniając rozmowę: to morze, które wyrzuca śliczne owe kamy-

ki, złociste, z jakich się składa mój różaniec, jestże tak piękne jak nasze?

— Jam je raz widział tylko, odparł Konrad: nie mamy go jak wy wiele; w jednym miejscu brzegu wykrawek. Mówią, że dawniej mieliśmy drugiego brzeżek... Nasze morza nie mają lazurowych barw ani błysków Adryatyku, bo u nas inaczéj świeci słońce i inne niebiosa zasklepiene są nad ziemią.

— A powiedzisz mi, bom bardzo ciekawa, jak wygląda ta ziemia wasza? Prawdaż to, jak mówi ciocia Anunziata, że straszne okrywają ją puszcze, że pełno w nich potworów dzikich, że lasy szumią straszliwie, a w lecie, gdy niemi wiatr kołysze, trąc gałęzie, zapalają się, i naówczas pożarem płoną przestrzenie niezmierne, a ludzie i zwierzęta giną w płomieniach?

Konrad się uśmiechnął smutnie.

— Nigdy o nicém podobném nie słyszał, rzekł. Palą się puszcze, ale w nich człowiek, ani zwierzę żaden jeszcze życia nie stracił. Te lasy nasze są piękne, zielone, wonne, a wyglądają jak szerokie ogrody szmaragdowemi poprzerynane łąkami. Płyną srodkiem srebrne rzeki i mruczą cicho, lata ptactwo wesole z piosnką na dziobku. Cicho na tamtéj ziemi... a z lasów wyszedłszy, to złoty łan pszenicy lub żyta jak fala się kołysze. Niejeden raz żyła nim i Weneeya głodna.

— A macie piękne kwiaty? spytało dziewczę.

— Cudowne! wonne, śliczne, mówił Konrad. Prawda, że na kilka miesięcy w roku natura u nas zasypia, śnieg okrywa wszystko jakby białym rąbkiem jednym. Naówczas zamiast liści, drzewa się stroją w brylantowe perły zamarzłej wody, rzeki

okrywa lód zielonawy, ptactwo odlatuje, zwierz zasypia w norach; człowiek tylko czuwa, czekając wiosny. Ale jakże cudna ta wiosna, gdy jój godzina wybije! Jednego poranka wiatr ściąga z niebios szarą chmurę zimową, odsłaniają się błękity, słońce z za nich wygląda obmyte, dyamentowe, śniegi w potokach zbiegają z gór i uciekają oplókując rdze zimy, myjąc łąki, rzeźwiąc ziemię uśpioną; tryska z niej w oczach zieloność, kwiaty otwierają się nie czekając na liście, tak im śpieszno wiosnę powitać; drzewa pękają, powietrze wonią życia się przejmuje i ptactwo stadami powraca. Nie zna wiosny, kto jój u nas na północy nie widział; u was ona przychodzi leniwo, i już jest zeschła i gorąca, gdy ledwie świtać poczyna. Nasza płaci nam miesiące ciemności i ciszy.

— Ale możecież wy żyć, nie słysząc szumu fal, nie patrząc na morze? spytało dziewczę. Nie tęsknicież wy do tego głosu bożego, który mówi do nas przez rozhukane wody i ciszę morską?

— U nas odzywa się On szumem lasów i pół szelstem, niebem i chmurami, a drobne rzeczutki nasze gwarzą też małym głosem o tym samym wielkim Begu!

Cazità spojrzała na lśniące fale Adryatyku.

— Zdaje się, rzekła po cichu, że jabym nigdzie indziej niż tu żyć i oddychać nie mogła. Czyż upaja i rzeźwi tyle powietrze wasze, jak te słonych wód wyziewy?

— Mnie, odpowiedział Konrad, patrząc na nią— nawet tu tęskno do naszych borów i zapachu świeżej roli, podobnego do woni jakby świeżo upieczonego chleba... Ja tu nawet śnię o zieleni, o kwiatach i o szerokich polach...

— Tak! to musi tak być! odparła smutnie dziewczyna: każdemu to najmilsze, co tuliło jego dzieciństwo, co rozkołysało młodość. Nie! nie! jabym umarła, gdyby mi Adryatyk pacierz swój wiekuisty do serca podawać przestał.

I spuściła głowę mileżąca.

— A wy? zapytała po chwili.

— Ja nie wiem, rzekł Konrad.

— Wyście przecię dziecko Wenecyi i brzegów tego morza.

— Tak, ale wykołysane w lasach i u cichych brzegów jeziora... a wiercie mi, szumu i plusku jego wód słodkich nigdy uszy nie zapomną.

— Nawet tu nad Adryatykiem? pytało dziewczę.

— Nawet tu, przy oczach twoich, odparł żywo, zrywając się z siedzenia Konrad, bo mu stanął w pamięci nagle jego dwór stary, wizerunek ojca i matki, gdakanie zegaru, co im policzył godziny życia, i szum drzew ogrodowych, i dźwięk kaplicznego dzwonka, i chrapliwy a serdeczny głos starego Dalifura, i szczerkanie nawet podwórzowego przyjaciela domu, który poważnie swej straży powierzone państwo całą noc obchodził, warcząc a niekiedy nawołując.

Gdy błyskiem przeleciało mu to wspomnienie po głowie, a potem obejrzał się dokoła i zobaczył twarz dziewczęcia promienną, sine morze, gałąź winną w oknie, a kapitana z butelką i kluczami w rękach, ciotkę Anunziate z półmiskiem ryby wchodzącą tryumfalnie, i Antoniego Sabronego, który jęj towarzyszył— zdało mu się, że marzy we śnie.

Dwa te światy tak były różne, tak od siebie dalekie, tak mu się zdały nieprzejednanemi i niepogodzo-

nemi, że nawet wejrzenie czarnych oczu Cazity nie spoiło ich z sobą.

Łza stoczyła się z pod mężczyj jego powieki... Wszyscy ją dojrzel, bo nie krył się z tą świętą rosą serca.

— Co ci tę łzę wycisnęło? spytał Zeno.

— Wspomnienie mojej ziemi, rzekł Konrad.

Długie nastąpiło milczenie. Cazitą patrzała w niego jak w tęczę; jeszcze jak żywa, nie widziała nigdy płaczącego mężczyzny, sama nie wiedziała, czemu serce jej biło, i nie umiała sobie wytłómaczyć, dla czego z tą łzą wydał się jej silniejszym, większym, prawie świętym. Wszystka płocha zalotność uleciała na tę łzie gdzieś daleko; stała się nagle poważną i zamyśloną. Sabrone, ciocia, wszyscy prócz kapitana Zenona wydali się jej karłami przy tym człowieku, co się zapłakać nie wstydził, co kochać umiał... martwą ziemię aż do żywej łzy.

— Ciotko Anunziato, szepnął jej na ucho Sabrone: albo ja mu *collatellatę* sprawię, albo mi on łeb utnie, bo Cazitę mi pochwycił... spojrzcie na nią...

W istocie, oczy dziewczęcia wpatrzone w niego jak w obraz cudowny, ogniem niezwykłym pałały... Sabrone uczył dreszcz przechodzący mu po ciele...

— Cicho! zawołała Anunziata: nie bądź głupi! Wszystkie młodych dziewcząt oczy tak są mówiące jak i te. Giulia nie ma domku na Lido, ale ma dobry kawał ziemi około Belluna i winnice, i zakopanego coś grosza, a ja cię z nią tak pewne ożenię, jak że żyję... i będziesz szczęśliwy... Cazitą krwi chrześcijańskiej niewarta, jeśli się na tobie poznać nie umiała.

Gdy tak szepczą, kapitan nalał wina i wypił zdro-

wie gościa. Sabrone kieliszek pełny postawił przed sobą gniewny i tknąć go nie chciał; okiem wyzywającym zmierzył Konrada. On mu się uśmiechnął tylko, pokój dziwny miał w duszy...

— Antonio! szepnęła ciotka trącając go łokciem: wypij głupcze, lub się pogniewamy; pogorszasz sprawę.

Posłuszny Sabrone chwycił szkło, połknął napój, ale zarazem w białych zębach zgniótł cienki wyrób murański...

To zgrzytnięcie obudziło uwagę kapitana.

— O! o! psujesz mnie kieliszki a sobie zęby, rzekł śmiejąc się. Nie tak ogniście, kuzynku Sabrone...

Cazità na niego spojrziała i zarumieniła się.

— A czémże teraz moje wypijesz zdrowie? za-pytała...

— Niewiele dbacie pewnie, czy ja je wypiję, odparł chmurno Antonio...

— Owszem, bardzo.

Anunziata trąciła go łokciem...

— Pij, czém chcesz.

Antonio poszedł po rozum do głowy, oczyma szukał dokoła, nie wiedział czém się wyratować.

— Signore Antonio, śmiejąc się zawołał Polak: u nas często piją kobiet zdrowie, ale my go też kielichami nie pijamy, jest zwyczaj inny...

— Czémże? spytała Cazità.

— Nie będziecie się gniewali? i pozwolicie mi je tak spełnić jak u nas, jeśli odkryję tajemnicę? spytał Konrad.

— Cóż to być może takiego?

Kapitan poglądał niespokojny...

— Pani, rzekł Konrad, nie obrażaj się obcym zwyczajem... u nas, zdejmują kobiecie trzewik z nóżki i ten za kielich nam służy.

Kobiety krzyknęły zawstydzone... Antonio mruzczał, kapitan się śmiał dobrodusznie.

— Po starszeństwie, rzekł: ciociu Anunziato dawaj trzewik, wychylimy. Cazità śmiać się także zaczęła niezmiernie.

— Pierwszy co wychyli trzewik cioci, będzie naturalnie winowajca Antonio.

Antonio cały pokraśniał. Myśl wychylenia dosyć sporego i dobrze zachodzonego trzewika cioci Anunziaty, mimo przywiązania do niej, wcale mu się nie uśmiechała... Cazità plaskała w rączki.

— Ciociu! wołała: dawaj nam swój trzewik.

Stara prawie się już gniewać poczynała, ale kapitan pogodził wszystkich, skoczywszy do szafy i niosąc z niej kubek srebrny stary, który za zdrowie kobiet napełnił i podał kuzynowi.

— Spróbuj-no na nim zębów, rzekł; a zobaczymy, czy ci przyśnie w nich jak pierwszy...

Rozweseliły się jakoś twarze, zgodniej uderzyły serca, i weselsza dalej szła skromna uczta po większej części z ryb i jarzyn złożona. Rozmowa zwróciła się ku Wenecyi, jej wspomnieniom, potem z Antonim przeleciała na łąd stały... Konrad i Cazità najmniej się do niej przyczyniali: ona była zadumana, jakby już z siebie zrobiła ofiarę; on spokojny, jakby z tą łzą wielki ciężar z serca mu spłynął.

Antonio posepny siedział podpartszy się łokciami, a niekiedy z pod czarnej brwi błysnął białkiem oka zapalczywie to na Cazitę poglądając, to na Konrada.

Ciotka Anunziata właśnie wychodziła po drugi do kuchni półmisek, nie chcąc nikomu powierzyć urządzenia ostatecznego swój smaženiny, gdy Sabrone porwał się pod pozorem, że jój chce dopomódz i za nią zbiegł do kuchenki.

— Nie! zawołał: ja tego nie wytrzymam; ten człowiek i ta kobieta w oczy bezwstydnie szydzą ze mnie; ja się muszę na nich pomścić, ciociu Anunziato!

— Głupis, kochany Sabrone! zemsta twoja poprowadzić cię może, co najdalej pod pałac Dożów, do czerwonego słupa. Pluń na głupią dziewczynę; dam ci Giulję... Giulia nie jest tak delikatna, ale jój z oczu patrzy, że gdy pokocha, da życie za swego kochanka i męża.

— Ale i ta może mnie nie zechce? rzekł smutnie Antonio.

Ciocia uderzyła go po ramieniu.

— Nie masz chyba oczu; tailam przed tobą, chcąc ci dać Cazitę, ale Giulia szaleje dla ciebie.

Antonio zaplonał cały, porwał rękę ciotki.

— Doprawdy! A! więc się pomszczę na téj wzgardliwej dziewczynie, jutro się oświadczę, zapłacę co zechcę, a ślub będzie w niedzielę, i was poproszę!... Cazitą pozna co straciła...

Ciotka kręciła głową.

— Nidosyć na tém, zawołał Antonio: ja na tym nieuleknionym Polaku także zemsty jakiejś szukać muszę, ja mu nie przebaczę... On balamuci dziewczę, ale się z niém pewnie ożenić nie myśli, potrzeba go wpędzić...

Anunziata spojrziała.

— Czy to będzie zemsta? spytała.

— Godna Wenecyanina... tamten się bierze na szlachetność wielką, o toż i my potrafimy się odegrać.

Pokręcił węża, ale ryba się przypalać zaczęła, i ciotka nie chcąc go słuchać, pobiegła do swój patelni z krzykiem łając kuzynka, że jój przeszkadza. Sabrone nie czekając reszty, bo wiedział z doświadczenia jak niebezpiecznie jest kobietom przeszkadzać w wielkich zajęciach uroczystych dni życia, powoli zadumany powrócił na górę.

Srebrny kubek na pół opróżniony stał przed nim, kapitan zachęcał do wypicia.

— Wypiłbym, rzekł Antonio, — gdyby tak jakie dobre trafiło się zdrowie.

— Naprzykład?...

— Szukam właśnie, mówił z wolna Sabrone: zdrowie kuzynki Cazity piję codzień, nawet wodę do ust przytknąwszy, bo mi jój piękne oczy z myśli nie wychodzą; wasze panie kapitanie także dla mnie nie nowość; waszego gościa zdrowia ani choroby pić nie mam powodu, za nadto znam go mało; a cioci Anunziaty już wychyliłem...

— Wypij pan zdrowie przyszlój narzeczonej swojej, uśmiechając się rzekła Cazitą; a ja i my wszyscy wychylimy je z chęcią.

— A! zawołał Antonio do wchodzącej właśnie ciotki z półmiskiem w ręku: słyszycie co tu się święci? Cazitą chce pić zdrowie méj narzeczonej! Nie dość, że tą narzeczoną sama być nie życzy, — przebacz kapitanie Zeno, dodał, wiecie, żem się ze staraniem nie tał, — ale żartuje sobie jeszcze z odepchniętego biedaka!

Antonio uśmiechał się szydersko, mrugał ku ciotce.

— Czy ręczycie?

Zrozumiawszy o co idzie, stara dała głową znak potakujący.

— No, więc dobrze,odechwycił Sabrone: wypijemy zdrowie narzeczonej mojej pięknej Julii... ale... zarazem twego narzeczonego, kuzynko Cazito, aby krzywdy nie było? he?

— Wiecie, że ja go nie mam.

— A! i ja przed chwilą narzeczonej nie miałem, a znalazłem przecię i nie cofnę słowa; poszukajcie i wy też narzeczonego, aby się nie wstydzicie.

Cazita zapłonęła jak granat na to zuchwałe wyzwanie; obrażona była, ale spuściła oczy czarne, w których kręciła się łza, i milczała.

Wtém Konrad wstał, wziął za rękę kapitana Zenona i rzekł głośno:

— Kapitanie, signorino Cazita, przyjmujecie mnie za narzeczonego?

Cichość jakby anioł przeleciał, panowała chwilę. Cazita oczy podniosła łzawe na Konrada. Zeno był smutny, ale ścisnął dłoń jego i nie przeciwił się... Konradowi głos zadrżał; czuł, że stawiał w téj chwili los całego życia na głowę dziewczęcia, ale zarazem, że to było nieuchronném.

Cazita milczała jeszcze, Konrad przykleknął.

— Przyjmujecie mnie?

Podala mu rękę patrząc na ojca... Zeno milcząco także głowę pochylił.

— Kuzynie Sabrone, pijże zdrowie narzeczonego Cazity! zawołał Konrad.

— I niech Bóg błogosławi! niech Bóg błogosławi! dezwał się głos od progu, w którym niespodzianie pokazał się stary Kapucyn. Ale dajcież i mnie kieli-cha, dodał wesoło.

To niespodziewane oświadczenie, przyjęcie, błogosławieństwo nawet przebywające tak w porę, wszystkich jakoś przestraszyło. Stało się to nie wiedzieć jakim sposobem, i przed chwilą nikt o tém nie myślał, niktby tego nie przypuszczał. Konrad dziwił się swęj odwadze, Cazità swojej śmiałości, ojciec wewnętrznemu głosowi, który mu podyktował zgodę, Antonio sam nie pojmował, jak tego dokazał, i chmurny był z tój zemsty, którą szczęście dwojga ludzi zapewnił. Ciotka stała osłupiała, a ryba stygła.

Kapucyn jeden wychyliwszy kielich, pobłogosławiwszy narzeczonych, nie tracił czasu i wziął się do ryby.

Nikomu się też jeść już nie chciało.

Konrad drząc, zdjął kosztowny pierścień matki z palca, i zbliżył się do zapłonionego dziewczęcia.

— Pani moja, rzekł poważnie: ten pierścień zaręczał dziada mojego i ojca, matka nosiła go do śmierci, przekazała mi go umierając. Niechaj on nas zaręczy w imię tych cnot domowych, których był świadkiem. Ojczy Serafinie! pobłogosławcie raz jeszcze.

Cazità zdjęła też obrączkę z palca.

— Jest to skromny pierścionek matki mój także, rzekła,—tój, po której dotąd ojciec mój płacze. Na progu nowego życia mieniamy wspomnienia rodziców.

To mówiąc, oddała mu obrączkę i poszła rzucić się w ramiona ojcu, który płakać począł. Serafin mruzczał modlitwę. Antonio poglądał z kąta, ręce złożwszy na piersiach.

— Al gdybym była wiedziała, na co tę rybę smażyć, szepnęła ciotka Anunziata,—i co ten głupi Antonio zrobi... wolałabym ją była przypalić.

Późno w noc Konrad sam jeden w gondoli rozmyślając, wracał do Maltańskiego Krzyża. Był szczęśliwy, a jednak niepokój jakiś serce mu przygniatał. Wspomnienia kraju, domu, lzy Cazyty wylane na samo przypuszczenie opuszczenia Wenecyi, troskami go połyły o przyszłość. Spędził błogosławionych kilka godzin życia, mówił z nią poufale, chodzili długo razem z sobą nad brzegiem morza, i nikt im teraz nie broził długiej sam na sam rozmowy. Cazyta przyznała mu się, że go kochała z każdą godziną więcej; on jej, że od pierwszego wejrzenia poczuł się niewolnikiem... ale ilekroć chcieli mówić o dalszej przyszłości, zamierały im słowa na ustach. On nie pojmował życia, tylko na swojej ziemi; ona nie rozumiała szczęścia, tylko u brzegów Adryatyku. Kapitan Zeno słuchać nawet nie chciał o tém, by mu jedyną, ukochaną jego córkę pochwyć miano, i uwieźć gdzieś za góry, w północne chmury i śniegi.

Konrad nie wiedział co uczyni; nakoniec pomyślał: „Co Bóg sam począł, niech kończy.”

I zatopił się w marzeniach o śliczném dziewczęciu, które zapowiedziało, że na niego oczekiwać będzie, i że razem dzień spędzą cały.

Nieznajomi sobie prawie a narzeczeni, tyle do mówienia mieli.

Naostatek łódka przybiła do brzegu. Kruczkiem przytrzymał ją stojący na kamieniach żebrak, i rękę suchą po datek wyciągnął. Konrad rzucił mu srebrną monetę całą, i polecił do gospody.

W progu stał Zanaro ciekawy i niespokojny; ale ujrzawszy go z dobrą miną, poweselał.

— Eccellenza! bawiliście długo; wieczór być musiał wesoły?

- Pówinszujcie mi, gospodarzu.
— A cóż się stało?
— Jestem zaręczony z piękną córką kapitana.
— O! a Antonio?
— Zaręczył się z ideałem jakimś, którego imię tylko dosłyszałem.
— Niepodobna!
— Tak jest.
— *Cosa stupenda! Eccellenza! Zaręczony! Byćże to może?*

I Zanaro udając szczęśliwość wielką, widocznie niezupełnie rad był wiadomości; powieść dla niego jakoś się za prędko i za nagle skończyła. Pojąć nie mógł, jak się obeszło bez intryg, przeszkód, bitew, wykradania, do którego miał dopomagać, i za które spodziewał się, że mu zapłaca, bo plan był już osnuł stosowny.

— *Cosa stupenda!* powtarzał kwaśno, przemyślając już na prędcę, jakby na nowo szyki pomieszać, wodę zamącić i wędkę na ryby zapuścić.

Ale tymczasem wymowném powinszowaniem, w którym gwiazdy, słońce, księżyc, Św. Antoni Padewski i Jupiter zarazem, bogowie i anioły mieszały się w najpoufalszym stosunku, odprowadził go aż do drzwi mieszkania, śpiesząc wnet z nowiną niepomyślną do żony i córki.

Konrad wszedł, i pobożne chłopię upadło na kolana, aby się przed podróżnym obrazem Częstochowskiej Matki pomodlić.

Był to stary, na blasze złożonej malowany obrazek, z jednej strony Chrystusa na krzyżu, z drugiej Matkę Bożką wystawiający, który nie opuszczał nigdy jego ojca: był z nim w boju na piersiach, zgiął

się od kuli, od której go ocalił, a teraz słuchał modlitwy pierwszój narzeczonego, strwożonego szczęściem swoim.

Nie wiedział sam, jak długo trwało to nabożeństwo, gdy kilkakrotne westchnienie, w którym poznał głos Maćka, obudziło go nareszcie.

Wstał raźniej na nogi i obrócił się do chłopaka, który za progiem pokoju przechadzał się z założonemi na piersiach rękoma, widocznie smutny i jakby na kogoś oczekując. Zaledwie ujrzał swego pana wolnym, począł odchrząkiwać, dając znać, że ma coś do powiedzenia.

— No, a co ci tam Maćku? zawsze tak źle w tej Wenecyi?

— I czegożby miało być źle? odparł Węgrzynek; ono to dobrze, ale człek sobie różnie myśli.

— O czémże, Maćku?

— A o czémżeby jaśnie panie, gdyby nie o swój biedzie?

— No! o jakiejże?

— Człek zwyczajnie sierota; ta przemyśla różnie, co z sobą dalej będzie robił?

— I ty więc myślisz już o przyszłości?

— A czemużby nie, proszę pana?

I stęknął, widocznie nierad, że rozmowa jakiś obrot brała nie po myśli jego.

— Gdybyś ty mi, mój kochany, powiedział od razu czego chcesz, a nie wybierał się jak czajka za morze?

— Proszę jaśnie pana, schwycił się Maciek: ja bym se chciał do rzemiosła jakiego.

— Ty? do rzemiosła? gdzie? co? dla czego?

— Anoby człek chleb miał zawždy w swoich ręku.

Popatrzał na niego długo Konrad, pokręcił węża, coś mu się to wydało podejrzanem.

— Bałamucisz, rzekł; co do ciebie przystąpiło?

— Ale proszę jaśnie pana, coby miało przystąpić? ino człekby się rad ratował.

— Alboż ci źle?

— A nie! uchowaj Boże!

— Czegoż stan chcesz zmieniać?

Maciek zamilkł, tylko obyczajem prostych ludzi po głowie się raz i drugi podrapał, jakby sam na siebie się gniewając, i znów srodze wzdychać począł.

— Gdybyś gadał po ludzku, tobym cię może w końcu zrozumiał, rzekł Konrad.

Maciek schylił mu się do kolan.

— To ja jegomości kochanemu wszystko powiem. Dalipan oszalałem za tą niegodziwą czarnobrewą szewcówną, bo to nie jest, jako żywo, żadna królowa ani królewna neapolitańska.

Konrad się rozśmiał; chłopiec nabrał ducha i odwagi.

— Dalipan oszalałem, mówił po cichu i jakby zawstydzony: bo proszę pana, gadać z nią nawet nie umiem; ale kiedy człowieka oczyma tak przewierci na wylot, do kości, że potem oszaleć trzeba! Niech tylko stanie, uśmiechnie się i weźmie temi oczyma cisnąć w duszę, tak i rozum się traci; choćby święty był, toby do dna piekieł zaprowadziła.

— A po cóż chodzisz pod te oczy? hę?

— Otoż to, proszę jaśnie pana, w tém sztuka, że od pierwszego razu, gdyby wędka, jak chwyciła, tak już i pokoju nie mam. Człowiek się boryka, opiera, a musi iść i tego utrapienia szukać. Już ja wiem, że z tego cało nie wyjdę... Myślę sobie: przystanę do

szewca; niech się dzieje wola boża... to ją przecię wysłużę. Tak wczoraj rozmyśliwszy się, poszedłem do niego. E! z razu mię przyjął mało nie pociągaczem, ale jakim go zaczął reflektować: żem terminować gotów u niego, że będę mu służył jake za Rachelę, byleby mi córkę choć obiecał przyrzec, tak się starowina rozdobruchał i powiedział, że byle pozwolenie pańskie, weźmie mnie na próbę do roboty, a potem... e! potem! ino żebym się do domu dostał, to już ja pewien swojego... nie wykurzy mnie on niczém.

— Bylesz tylko ty sam nie uciek! dodał Konrad.

I chciał robić uwagi chłopakowi, że zbyt pośpiesznie się rwał, nie znając dziewczyny, do żeniaczki; ale mu na myśl przyszło, że i sam lepszy nie był.

— Młody bardzo jesteś, rzekł powoli,—ale masz, lub powinienesz mieć swój rozum. Ja ci w drodze nie stanę... uważaj jak lepij. Jeśli stary zechce cię wziąć na naukę, próbuj szczęścia... nie uda się, znajdziesz u mnie zawsze przytułek i chleba kawałek. Niech Bóg błogosławi... Ja cię w niewoli trzymać nie myślę... Ale patrz,—dodał po chwili—żebyś téj swój prędkości nie żałował potem. Czy też nie zatęsknisz po kraju, po naszój wiosce, po jeziorze, do ludu swego, do krewnych?

Maciek się zamyślił.

— Kiedy to proszę jaśnie panie i w Biblii słyszę stoi napisano, że człek rzuci wszystko, a pójdzie za dziewczyną... bo takie na wiek wieków boże przykazanie.

Konrad zaczął się śmiać bardzo z tego osobliwszego wykładu Pisma Świętego, ale nic nie odpowiedział. Wtém z za drzwi ukazała się twarz szewca w świa-

teczném ubraniu, który ujrzawszy Maćka, trochę się zafrasował.

— A, signor Nani... jakże mi się miewacie?

Maciek podbiegł pocałować rękę starego, który dosyć go przyjął kwaśno.

— Przychodzę się tylko dowiedzieć co u was słyhać, wielmożny panie? spytał stary; jak to tam idzie?

— O tém potém! zawołał Konrad; ale ja tu coś nowego się dowiaduję: wszak to waszmościna córka zbałamucila mojego chłopca?

— A! uchowaj Boże, ofuknął się szewc: cale przeciwnie, chłopiec jegomościna obalamucił mi córkę... przychodzę się skarżyć.

— Sprawy tój podobno obaj nie rozsądzimy, rzekł Konrad; bo zdaje mi się, że tam równe winy z obu stron, a skutek jeden, że Maciek oszalał, i do terminu się bierze. Nie chcę mu przeszkadzać wcale; lecz zważ kochany majstrze, że to siarka nie chłopiec, a wasze rzemiosło siedzące; cóż to z niego będzie za robotnik?

— Już to proszę wielmożnego pana—odpowiedział szewc poprawiając okularów,— ja mogę za to ręczyć, że jak się dostanie w moje ręce i na naukę do mnie, to mu tę siarczystość precz wyżenę, i będzie taki spokojny i miękki jak zechę.

Maciek się wszakże nie uląkł już nawet groźby, wzdychał tylko, jakby mówił w duszy: „Patrz kobieto, co ja cierpię dla ciebie!“

Klepnął go po ramieniu majster.

— Ty do mnie na służbę; a żeby dystrakeyi w domu nie było, Maryetta natychmiast do Werony do ciotki pojedzie, która jest fórtynką u panien Franciszkanek. Zamkną ją na ten czas pod klauzurę...

Maciek znacznie z humoru spadł.

— E! proszę jegomości, rzekł: a długoż to tego ma być?

— Dopóki z terminu nie wyjdiesz.

— Naprzykład?

— Różnie! rok, dwa, trzy...

Chłopiec zaczął głową kręcić.

— Widzisz Maćku, odparł Konrad: ciekaw jesteś Pisma Świętego, przypomnijże sobie ile lat za Rachelę...

— A! niech go tam i z Rachelą...

— To inaczéj nie ma być, zawołał majster—i nie będzie! jak twoja wola! Myślałeś, że cię od razu jak kota... z pozwoleniem, do sadła puszczyć... O! o! nie głupim! Nie zrobiłbym ja cię szewcem i za lat dzie sięć, gdybyś przy Maryecie terminował...

Maciek zamilkł.

— A cóż będzie? spytał Konrad.

— Co ma być, proszę jaśnie pana... czy to dwa lata długa rzecz? to furknie jak skowronek, to ich i nie ma, kiedy wisieć to wisieć... słowo się rzekło...

Skłonił się do nóg Konrowi, a zawahawszy się, padł całując je.

— Tyś mi był ojcem, rzekł płacząc — pobłogosław, już inaczéj być nie może...

Patrząc na tę scenę, szewczysko otarł okulary i rzekł w duchu: „Musi to być dobre chłopię, więc wola boża...”

— Panie majstrze, oddaję go wam i proszę, bądźcie mu rodzicem łaskawym.

— Nie bójcie się, zawołał Nani, dając poufnie znak głową: nie stanie mu się krzywda, ale nowicyat szewcki odbyć musi, to darmo...

Po krótkiej rozmowie urywanej i niezbyt wesołej, Nani wyszedł, zapowiadając chłopcu, żeby pana nie opuszczał, dopóki on będzie w Wenecyi, a do Maryetty się zbyt często nie wykradał, bo za wezasu pociągacza spróbować może.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Maciek w smutnej postawie, kiwając głową, stanął przed panem.

— E! panie! zawołał: po co to my do Wenecyi jechali? ano i mnie, i pana... ponoś... schwyciło półdyabłą weneckie !!!

W Robninie stary Pukało jedną wydeptaną ścieżką chodził dwór przewietrzać, gdański zegar nakręcać o swój godzinie, i po pokojach przesuwając się milczący Zdrowaśki za nieboszczyków odmawiał, ale mu się tęskniło po paniczu!

— Gdzie się to on tam teraz obraca? mawiał z razu do Murzynowskięj. Żeby go tam aniołowie stróże prowadzili i nim się opiekowali!... Co to młode, gorące, trochę dziwaczne, a ten szalawiła Maciek, to mu tam tylko kłopotu przysporzy, nie ulgę sprawić może... Aby go tylko Bóg cało nazad przyprowadził!

Przyszły listy jedne i drugie, i pocieszył się stary choć tém, że z powodu moru już o podróży do Ziemi Świętej i mowy nie było.

Pukało rad był się o Wenecyi dowiedzieć, ale krom tego co w staręj książce *Świat przejrany* znalazł, niewiele się o nię nauczył. Prawił mu ksiądz proboszcz różne dziwy, nad któremi serce i fantazyja starca pracowały. Wzdychał i modlił się.

— Co Bóg da, będzie.

Aż tu jednym razem z Poznania przywożą mu pismo długie. Okularów pod ręką nie było, stary je na polu odebrał, a do dworu kawał i posłać nie miał kogo, bo szkła były pod kluczem, klucz przy kłódce z innemi, i powierzyć ich nie sposób.

Gorejąc od niecierpliwości Dalifur, posztykował do domu, a że proboszcza spotkał w drodze (który też bez okularów nie czytał, chyba na mszale, który na pamięć umiał), potem Murzynowską około chmielnika, wszyscy troje z tym listem zawlekli się do pokoju Pukały.

Nim się szuflada otworzyła, okulary dobyły, futerał sznurkiem umocowany otworzył, szkła wytarły... co to było domysłów nad długością pisma i jego treścią!!

Naostatek zasiadł tyłem do okna stary i rzucił oczyma po wszech stronicach, a napadłszy kilka wyrazów, aż krzyknął:

— Jezus Marya!

Ksiądz się zerwał, Murzynowska jęknęła.

— Na Boga! co się stało paniczowi?

— Żeni się, jak mi Bóg miły, żeni się! zawołał Dalifur; ot co!

— Gdzie? za granicą? z kimże?

— A no... Panie odpuść, z Włoszką!

Nuż od początku czytać jakoś, i we troje każdy wyraz z listu dobywać. Pismo było dość długie; w niem Konrad uwiadamał o wszystkich podróznym przygodach, a mianowicie, iż znalazł towarzyszkę życia, młodą, piękną, do której serce jego przemówiło, i z którą już pierścionki zamienił. Prosił o mszę na intencję swoją księdza proboszcza, o wyporządzenie stosowne domu, o zakupienie potrzebnych zapasów; upewniał, że dobrą przywiezie im panią.

W przypisku dodał, że Maciek zostaje u szewca Polaka na terminie w Wenecyi.

— O już jak ja tego bestyę znam! zawołał Pukało: tobym przysiągł, że albo tam jest majstrowa, —czego Boże broń dla zgorszenia,—albo majstrówna... nie chybi...

Ale o Maćka było mniejsza; posmutnieli wszyscy na tę wesołą wiadomość, bo co do domu polskiego żona cudzoziemka !!

— Skończyły się dobre czasy, szepnął Pukało, powoli składając list, — chociażby ona była najlepsza, już to ani ład, ani skład nie będzie. Przewróci tu młoda jejmość do góry nogami wszystko na cudzoziemski sposób.

Murzynowska łamała dłonie.

— Ani się z nią będzie rozmówić zawołała — kto zresztą wie co oni tam jedzą?... zkad ja jój wezmę tych pulpetów i soporów, do których tam jejmościanka przywykła?

— Gdyby tylko choć dobra katoliczka! zawołał z kolei proboszcz, ale mnie to pociesza, że we Włoszech wszyscy są w obedyencyi kościelnej.

— Nie musi to znów być nic wielkiego, córka kapitana okrętu, dodał Pukało — ani familiantka ani bogata.

— Ale! gadaj waćpan zdrów! podchwycił proboszcz: w Wenecyi, gdzie naród cały po morzu żegluje, najwięksi patrycyusze na statkach życie spędzają... i skarby wielkie zyskują, opływając świat...

— Jak tylko jeszcze wielka pani to stokroć gorzej—rzekł Pukało, — bo z państwa rodzą się muchy w nosie, nie z czego.

— Ja jestem prosta kobieta, przerwała z westchnieniem Murzynowska; rodzę się z Grabinkowskiej, a ojciec był podstarościm; aleśmy przez złych ludzi utracili substancję... No! no! dosyć; nie chcę być długą... ale wiedzą ludzie, że nie byłabym do tego doszła, ażeby się po cudzych tulać kątach... gdyby... Ja jestem prosta kobieta, ale wiele widziałam małżeństw takich, czy pańskich, czy chudopacholskich, gdzie żona była cudzoziemka. Zawsze, nie prorokując, szło to koślawo.

— Ale waćpani zapomnialiś, że on sam z weneckiej familii pochodzi, zawołał Dalifur.

— O! o! dziesiąta woda po kisielu!... gdzie to kiedy co było!... A no milczę; niech Bóg da jak najlepiej.

Ksiądz powtarzał:

— Tylko żeby była dobra katoliczka, bo to w kobiecie grunt; ale ot sęk! jakże ją będę spowiadał, kiedy po włosku nie umiem? chyba po łacinie?

Machnął ręką.

— A jak ja ją spytam, co z młodemi indyczetami robić? zawołała Murzynowska.

— Słowem, że lepiejby było, gdyby się był tu ożenił, rzekł ksiądz.

— No! a jakby miał znowu marnieć jak marniał po tej tam wojnie długi czas, rzekł Pukało, — lepiej niech się żeni... Będzie miał co robić z żoną cudzoziemką; choćby ją po polsku uczył, to się nie znudzi i nie zateśkni.

Dopieroż rozpoczęła się narada wielka: kiedy przyjechać mogą? jak dwór przysposobić? co do spiżarni kupić? czém Robnin, trochę staroświecko wyglądający,

odświeżyć? i t. d. Murzynowska chciała nowych firanek i obić. Pukało obawiał się o nieco powychylane pösadzki. Książd radził, aby tylko śpiżarnia i apteczka była pełna.

— No, i piwnica rzekł Dalifur: boć to i Bolesławowie przyjadą, i pani Anna z mężem i dziećmi, i gości naspraszają, a u nas bez kielichów to się nie obejdzie.

— Byle nie nadto, byle nie nadto! wołał proboszcz: *ne quid nimis, pocula necessitatis, sanitatis, hilaritatis, ale nie dementiae.*

— A zawsze piwnicę zaopatrzyć potrzeba, mówił Dalifur. Stare wino, co jest, to ja tu go nie dam, chyba *na stempel*, a na początek młodego trzeba, byle czystego, okseft jeden albo i drugi.

— A tu te indyczeta! a te indyczeta! wzdychała Murzynowska; one mnie zdrowia pozbawiają, jak już snu i apetytu pozbawiły. To okropność, *epidendemia* (sic) jak zdychają. Już jak indyk wyrośnie, to tam mówią, że bardzo smaczny.

— Z podlewą, dodał cicho proboszcz.

— Ale niechajby go ten hodował co go chwali, jękliwie dodała Murzynowska; taż to z pańskimi dziećmi tyle biedy nie ma! A siekaj im zieleninę, a zaprawiaj, a nie dawaj na twardém, bo głupie dzioby sobie pokaleczą. At! już to nie Pan Bóg indyki wymyślił, rzekła cicho.

Pukało zaczął się śmiać. Proboszcz uważał to za bluźnierstwo, i ostro spojrział na klucznicę, która umilkła.

— A co masła zjedzą! dodała: bo pewnie kuchacza jakiego Mondkucha ściagną, co je łyżką na ogień rzuca, choćby śmietankowc.

— W gospodarstwie przerwa wielka... zaczął sobie Pukało. Do ogrodu i koło domu ludzi oderwać muszę, aby zaraz robili. Niby z listu widać, że lada dzień spaść nam mogą... Piasek trzeba zwozić, grodzić, bielić... oficyna całkiem obleciała, kominy czarne jak Cygany...

Wszyscy brali się za głowy, zakłopotani.

— At! at! pocieszał proboszcz, nie trzeba znów nieszczęścia z tego robić, co Bóg dał na pociechę biednego rodzaju ludzkiego... grzech i to... Jakoś to będzie; Pan Bóg pomoże, aby człowiek dobrze chciał. Niech będzie pochwalony.

I to rzekłszy, wymknął się, brewiarz cisnąc pod pachą, rad starowina, że ich porzucił, bo nie mógł poratować, a stękaniny słuchać niemiło.

Pukało i Murzynowska do północy niemal radzili i kłopotali się.

Nazajutrz wrócił przy pracy i humor lepszy, i weselsze na przyszłość spojrzenie. Krząkali się już jak gdyby państwo młodzi co chwila przybyć mieli.

Ile pobitego drobiu sprzedano, wytrzymawszy do ostatecznego terminu, ile kadzidła wyszafowano we dworze, smołki, skórek od jabłek, trociczek i proszków, zliczyć trudno. Jesień się zbliżała krokami wielkimi, żniwa skończyły, lasy pożółkły, poczerwieśniały, poopadały z liści,— nie przyjeżdżali i nie przyjeżdżali.

Listy wprowadzie przychodziły, obiecujące wkrótce przybycie, nieoznaczające terminu. Po każdym z nich z nową gorliwością brali się Pukało i Murzynowska do przygotowań; ale tygodnie i miesiące upływały, a ich nie było i nie było.

Zaczęto już i w piecach przepalać, i olchowemi suchemi drewnkami po kominkach, bo przymrozki brały, gdy jednego poranku, kiedy Pukało był nieubrany, a Murzynowska chodziła około chorego ciełcia, ni ztąd ni z owąd wsunęła się w dziedziniec landara obłocona, zaprzężona koźmi posprzęganemi ze wsi. Chłopiec przybiegł dać znać na folwark, że państwo przyjechali.

— A! dalifur! a kontusz w kufrze! krzyknął Pukało.

— Matko Bozka! to nieszczęśliwe cieśle! wołała, biegnąc co tchu po kitajkową zieloną suknię Murzynowska.

W domu nawet od trzech dni, jak na złość, nie przepalano... Był chłód przejmujący po pokojach.

Na progu w ganku nie przyszedł ich nikt z chlebem i z solą powitać... ale Konrad pocałował w czoło młodą swą, piękną, choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domowstwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jój domem.

Po tamtym kraju jakże się tu wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko, ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie!... a jak na złość nawet w téj porze ani zieleni, ni kwiatu!...

Na jój twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane Lido, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczona od stop do głowy.

Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej, rozmawiał z każdym kamieniem i drzewem, śmiał się

do ludzi i ścian; ona coraz wyglądała smutniejszą, nie mogąc téj radości podzielać.

Napróżno ścisnął ją, całował, chciał utulić i rozruszać, i ująwszy pod rękę powiódł po domu, ukazując ję bogactwa swoje. Niestety! choć dom za- możny był, dostatki te ubogo się wydały dziewczę- ciu, które widziało pałace Contarinich, Morosinich, Cornarów i innych patrycyuszów Wenecyi. Wszystko tu było skromne, szare, niebłyszczące, ciche jak dawne życie wiejskie, aż sam Konrad się zdziwił. To co dawniej wydawało mu się pyszném, znajdował biedném i małym. Nawet rozmiary dworu zdawały mu się czegoś ciaśniejsze... Wszystko postarzało i jak- by w ziemię zapadło.

Cazicie jedno z daleka widne jezioro podobało się.. Woda przypominała ję ojczyznę, uśmiechnęła się do nięj jak do staręj młodych lat przyjaciółki.

Ale nareszcie i Pukało nadszedł zdyszany, w no- wym kontuszu ze źle związanym pasem, za którego przecię nieforemny węzeł chłopak po uszach obe- rwał. Niósł w rękach półmisek z chlebem i solą, która się przewróciła i wysypała. *Omen* był straszny.

Ale Konrad pochwycił starego w objęcia, i całuj-ąc go płakał, a Pukało też sobie się rozszlochał. Cazità patrzyła z dala niespokojna. Nie wiedział stary, jak ją przywitać, pana prosił za tłumacza, a ukradkiem spojrział jej w czarne oczy, i wydała mu się w téj chwili dobrą i miłą... a dziecięcą... Więc ścisnął raz i drugi za kolana, schyliwszy się, i tak przemówił wymownie, a od serca, że Cazità zrozumiała, jeśli nie słowa, to intencję i uczucie.

Tu w kitajkowej sukni zielonęj, myśląc zawsze o konającém cieleciu, wbiegła i Murzynowska, mniej

śmiało. Przypomniła ona pani Konradowej trochę ciotkę Anunziatę na mniejszą skalę, i temu winna była uśmiech, który ją spotkał.

Przyszła jakoś do siebie cudzoziemka, uśmiechnęła się i do męża, poszli razem gospodarstwo oglądać do szeleszczącego liśćmi ogrodu, na podwórzec... słowem po całym dworze.

Tu biednej Cazicie wszystko trzeba było tłumażyć, i wszystko się jój wydawało niezrozumiałem, mimo pracy, z jaką mąż usiłował ją w nowe wtajemniczać życie. Rزتargniona, szukała oczyma — jeziora...

Mimo chłodnego powietrza, uprosiła, że doszli aż do brzegu, i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

— Słuchaj, *mio caro*, rzekła, to coś okropnego! Ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jój zimny, macoszyn, nie mojej matki Adryi... nie... Ja nie rozumiem nic... to język wasz... obcy... to woda jakaś inna, smutna... bez smaku...

Zaczerpnęła jój dłonią i rzuciła na ziemię.

— Jak to! zawołała: taka przestrzeń wody bez odrobiny solil... Mojej fali znam smak ostry i szczypiący... tu... zepsuty, — czy ją mróz wasz wygotował... czy...?

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić! szepnęła — to twoja ojczyzna... Chciałeś, bym jój spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... a ja... — dodała tuląc ręką bijące serce — ja bez mojej... dla ciebie, spróbuję!

Poszli, już nic nie mówiąc do siebie. Czasem zbu-

dziła go jakimś pytaniem lub przykrym dla niego uśmiechem.

— U was wszystko z drzewa, u nas wszystko z kamienia... jak to dziwnie! mówiła. I nie boicie się ognia, wiatru, wody?

— Ale u was ja się więcej jeszcze boję morza, wśród tych stosów kamieni na drżących palach, które jedno wstrząśnienie poobalać może.

— O! zawołała Cazitätà... wieki to stoi...

— I to stoi wieki, dodał Konrad—a człowiek żyje tak krótko...

— To prawda, szeptało dziewczę,— tu na każdym kroku czuć, że się nie na wieczność budowało.

Ludzie, domy, zwierzęta wszystko ją dziwiło. Przestraszyła się rwących koni, które Konrad ze stajni wyprowadzać kazał; załamała ręce, gdy wsiadł na jednego z nich, aby i jój swą zręczność pokazać, i po długim spoczynku, znowu się uczuć na siodle...

Cazitätà padła prawie na wschodkach ganku, gdy młodzieniec uniesiony wspomnieniem wojaczki, wypuścił drogą wierzchowca i jak strzała pędząc znikł jój z oczu. Już płakać zaczynała, gdy zawróciwszy w czwał powrócił, osadził konia i skoczył z niego do stop jój.

— A! Corradino! już ja ci chyba nigdy nie pozwolę dosiąść konia. Ty szalejesz! to jest dzikie stworzenie!

— Znać, żeś nigdy innych prócz brązowych wazych na kościele Św. Marka nie widziała, zawołał Konrad, czule ją ściskając. Dla nas koń jest tém, czém u was gondola. Czy słyszałaś, by Wenecyanin wywrócił się i utopił z gondolą? Otoż Polak tak z koniem; bądź spokojna.

Na wieczór przybył proboszcz w nowej sutannie z powinszowaniem i błogosławieństwem domu; i ten się wydał trochę dziwnie Cazicie, ale dobry starowina wkrótce ją swą łagodną fizyognomią pozyskał.

Tak przeszedł na wpół niezrozumiałej rozmowie długo w noc przeciągniętej, pierwszy wieczór w Robbinie pięknej Wenecyance. Noc była wietrzna, chmurna, wiatr bił okiennicami do rana, wył w kominach i dziwnymi głosy jęczał dokoła domu... Choć przywykła do szumu fali, Cazitą usnąć nie mogła, siadła w łóżku i płakała.

Z wymówką prawie spojrzała na uśpionego Konrada, na którego ustach igrał uśmiech uspokojenia błogiego. Wstała po cichu, na palcach i poszła pisać do Anunziaty.

A list był smutny, długi i w niejednym miejscu łzami zmazany.

Nad ranem chmury rozpędziła burza, pokazały się gwiazdy, ale nagły mróz, taki, jaki często chwyta niespodzianie późną jesienią, wyiskrzył się, ścinając lodem wszystko, okrywając drzewa wilgotne szronem, bieląc ziemię, i lasy, i wody...

Cazitą usnęła znużona. Gdy się zbudziła z czerwonymi jeszcze od płaczu oczyma, Konrad stał nad nią, rumiany od chłodu, z którego wracał, wesoły, szczęśliwy.

— Chodź, zawołał, wyrzycz-no tylko na ogród okienkiem... Póki wyżej nie podejdzie słońce i nie roztopi brylantów, jakimi noc obwiesiła drzewa, chodź i przypatrz się cudom tej dzikiej ziemi.

Cazitą owinięta zarzuconą suknią dała się pociągnąć do okna.

W istocie świat wyglądał jak zaczarowany... przestraszyła się prawie. Gościnną ziemią wystroiła się

dla obcego dziewczęcia, — gałęzie drzew wyglądały jak szklane, najdrobniejszy pączek był obłany brylantem, białe puchy, jakby nowymi liśćmi ubierały krzewy i najcieńsze gałązki. Cazità krzyknęła z podziwu, ale oko jej nieprzywykłe do tego widoku, uciekało strwożone prawie od niego. Wiało chłodem od tych cudów. Ptaszyny z podwórza świergocząc tuliły się pod okno i strzechę, szukając trochę ciepła i drobiny życia.

Cazità o mało im nie otworzyła szyby, aby przyjąć tych jak ona zziębłych wędrowców.

Młodość ma w sobie zapasy siły, któremi wiele przemódz może, gdy zechce, czasem potęgę instynktu, który bezwolnie w człowieku działa, aby go z otaczającym poślubić światem...

Wenecyanka po kilku dniach pobytu w Robninie, trochę się już z nim i krajem oswoić musiała; ale zawsze jeszcze było to obce i nieswoje; czuła, że tu potrafi tylko tęsknić. Wieczorami przywiezione z sobą widoki Wenecyi rozrzucala po stoliku, i jak dziecko bawiła się temi obrazkami, przypominając Konradowi, gdzie z nim byli razem, opowiadając co tam niegdyś widziała i słyszała. Wesolo zaczynała się powieść, ale głos się powoli zniżał, i w końcu łza ukrywana padła na kochaną kartę przypominającą *Venezia la Bella*. Teraz też ona jeszcze świetniejszą, cudowniejszą wydawała się wygnance zbolalęj. Leciwała do niej myślą, sercem, szukała ojca po morzach dalekich, ciotki na Lido osamotnionej, nawet tych, których nie kochała dawniej: Antonia i Giulii.

Konrad zaledwie przybywszy do domu, napisał zaraz do siostry i brata, zapraszając ich do Robnina;

dalsza też rodzina i powinowaci ciekawi byli poznać cudzoziemkę, do której za wczasu mieli urazę, że im niespodzianie serce brata schwyła.

Nie znając jój, wszyscy byli po trosze uprzedzeni przeciwko téj obcój, co im się pod strzechę wkradła, a trochę podszeptowała szlachecka dumka przeciwko może nieszlachciance, a pewnie ubogiej dziewczyninie. Anna, siostra Konrada, nieumiejąca po włosku, Bolesław umiejący niedobrze i niewiele, kłopotali się za wczasu rozmową. Zapominali, że sami pochodzili także od przybysza, wrosli już byli w nowy kraj i do jego obyczajów przywykli. Wszystko to na dzieńznaczony zbiegło się sanna do ośnieżonego dworu, którego kominy pałały i ściany świeciły się od zapalanych świec. Cazità chodziła wystrojona, ale drżąca, czekając na przybycie rodziny; lży się jój kręciły w oczach. Niktby w niej teraz nie poznał owego wesolego dziewczęcia rozpieszczonego, które się z takim *brio* zjawilo na pokładzie statku *Padre Antonio*. Nie zbrzydła Cazità, była szczęśliwa, kochała Konrada całym sercem południowym, namiętnie... a jednak pożerała ją tęsknota, szarpał sercem widok tego świata, do którego nie była stworzona, który ją przestraszał i męczył, nawet gdy chciał ukolysać i przytulić.

Widziała męża szczęśliwym i milczała, ale w sercu i na ustach miała nieustannie jedno: wrócić tam na brzeg Adryatyku, sięść w domku na Lido, patrzeć na lazuruwe fale i oddychać słonem powietrzem morskiem. Ale cóż? Tam Konrad znowu tęsknił po borach swych, tam on smutny wałęsał się, oczyma szukając jakichś przypomnień swego kraju. Cazità widziała go ze lżą w oku, podsłuchującego róż-

mów Dalmatów, tych *portatore* i *portatrice d'aqua*, których język miał dźwięki do jego mowy podobne; posyłającego westchnienia ku wschodowi i północy; szukającego na horyzoncie strony, z której wiatr mógł mu przynieść dym kominów jego ziemi. Cazi-tà widziała jak szczęśliwy sechł i chudł z niecierpli-wości powrotu, jak każdy list z domu oblewał łzami i witał serdecznemi śmiechy, jak pragnął choć na chwilę być tam i zaczerpnąć powietrza, coby mu na czas jakiś życie dało.

Ale tu znowu ona dostała téj saméj choroby, tęsk-nicy. Konrad radził na nią, ale lekarstwa nie było.

Serdeczne były powitania siostry i brata. Cazi-tà poczuła się na chwilę obcą, trochę zazdrosną, ale te pocziwe serca objęły ją zaraz ciepłem swoim i nie dopuściły pozostać samotną. Anna miła, gadatliwa, rumiana, dosyć otyła *gospoia*, przywykła do krzą-tania się w domu, poczęła pomagać niedoświadczonéj Włoszce do zajęcia się gospodarstwem; dodała jéj ochoty, śmiałości, wesela... Wszystkiemu poklaskiwa-ła i znajdowała swą uczennicę na podziw pojętną i zręczną; rozmawiały z sobą nie wiedzieć jakim ję-zykiem, ale się pokochały.

Bolesław był szlachcic z kośmi, hreczkosiej, do-mator, wygodniś, przywykły do swych godzin, swojej kuchni, twarzy, ścian i ludzi. Zrobił wielką dla bra-ta ofiarę, że do niego przyjechał, a choć ten dwór stary jego także młodości był piastunem, już mu tu po jego domu własnym nie było bardzo wygodnie.

Splakał się wprawdzie, ściskając starego Pukałę, ale wprędce zatęsknił do swéj kanapki kolbuszow-skiej, poduszki tureckiej i komina, na którego ogień

nawyki był patrzeć milczący godzinami całemi, marząc o niebieskich migdałach.

Kochał Konrada, a męczył go Konrad opowiadaniem i pytaniami bez końca... Podobała mu się bratowa, a wolałby żeby jej nie było, boby się wygodniej mógł przebrać i zrzucić paradny żupan i kontusz, a od pasa się uwolnić.

Przy wieczerzy jednak i kieliszku wina, chmurki i obłoczki z czoła pozlatywały, wesołość przypłynęła z tokajem starym, rozmowa się ożywiła. Cazità nawet objęta jej wyziewami, poczuła się śmielszą i weselszą. Ale na nieszczęście Konrad przyniósł do wina kielich z pięknego szkła robiony w Murano; Włoszka przypomniała Wenecję, gondole i tę piękną wyspę szklarzy, i swoje Lido, i żeglującego daleko kapitana Zenona. Rozpłakała się; musiała uciec od stołu. Konrad pobiegł za nią, Anna za niemi także. Bolesław, Pukało i ksiądz proboszcz zostali sami przy stole prawie.

— Co to jest? spytał Bolesław Pukały: czy ją kto obraził?

— Ale gdzie zaś panie... to włoskie jakieś fantazje... Ona, proszę pana, tęskni tak po tej swojej Wenecyi, do szaleństwa prawie.

A proboszcz dodał potakująco:

— Extra dobra osoba, ale znać to, że się w naszym kraju nie urodziła; całe inny obyczaj. Dobra katoliczka, pobożna... Co za szkoda, że cudzoziemka!..

— No, to się to powoli przerobić może! rzekł Bolesław.

— Chyba nie, rzekł Pukało z cicha; ja na to patrzę, dalifur, z przeproszeniem pańskim od samego początku, ale choroba zamiast coby się zmniejszać

miała, powiększa się jeszcze z dniem każdym, dali-fur. To jest *ni fallor* zły znak.

— Pan Bóg odwróci! szepnął proboszcz, przypa-trując się winu przeciwko światłu, i znajdując bur-sztynowy jego kolorek bardzo pięknym.

— E! mospanie, odparł Bolesław, aby Bóg dał potomka Konradowi, wszystko to minie... U kolebki dziecięcia matki ojczyzna... przywiąże się... A zatém konsolacyi przyszlęj!

I potracili kieliszkami, ale Pukało westchnął.

— Pan wie, rzekł na ucho Bolesławowi: jegomość nasz nie żartem myśli na wiosnę z nią do Wenecyi jechać... To nas zrujnują te wojaże. Prawda, że tam na miejscu mało co życie kosztuje, bo dom swój ma-ją, ale póki się tam dobić...

— A jakże tam z substancją, nie wiesz? zapytał Bolesław: nie mówił Konrad?

— Niewielem się dowiedział, odparł Pukało; nie widzi mi się, żeby to tam wielkie rzeczy być mogły. Cały majątek kapitana statek, a to dali-fur, proszę jegomości, byle dobry wiatr może się rozprysnąć, i pójść w deski i trzaski... No, a domek, murówka, co tam może być wart? Jejmość z sobą przywiozła coś tych cekinów, ale tego ani chce tknąć nasz pan.

— No? przywiozła? spytał Bolesław — sporo? sporo? wszak ci to Konrad, jak orzech zgryść, mógł wziąć w domu spokojniuteńko jakie parę kroć, coby sobie był wioskę kupił jaką sam chciał... Jak miar-kujecie, co to tam być może?

— A! tego nie wiem, cicho szepnął Pukało, ale szkatuła ciężka...

— No, to taki coś jest... chwała Bogu... rzekł Bolesław; a nie wiecie, czy szlachcianka?

— Pan mówi, że to dom zubożały, ale z wielkich patrycyuszów gałęzi.

— Nie widziałeś aśc herbu?

— Nie, ale mi pan mówił, że mają łódź złotą w niebieskiem polu.

— No! to niczego! rzekł Bolesław... Wszystko dobrze, gdyby nie te fonfry w nosie.

Proboszcz jedném uchem słuchając, dodał z cicha...

— Ale to przejdzie...

W téjże chwili wróciła Cazità uspokojona z siostrą Anną i mężem; mąż był zmieszany, skłopotany, a gosposia udawała wesołość tylko, ale i na jój czole znów widać było troskę... Włoszka starała się uśmiechać, zagadywała, była grzeczna, a mąż czytał z jój twarzy, że rada była, aby się przyjęcie co rychléj skończyło.

Tak przeszedł dzień pierwszy, mało różnie następujące. Biedne dziecko pracowało nad sobą usilnie, aby się zbliżyć do nowéj rodziny, ale między nią a niemí nie było łącznika prócz Konrada, który sam cierpiał, był roztargniony i dopomódz jój nie umiał.

Im więcéj, głębiéj wglądała w ten świat obcy, tém się jój straszniej robiło. Tam też całe ich gospodarstwo składało się z ciotki Anunziaty, prostéj kobieciny, starego Pietra, co w ogrodzie pomagał, ojca, a czasem kuzyna Antonia.

Cazità była swobodna, wybiegała kiedy chciała boso na brzeg morza, w kapeluszu słomianym do ogródka, w prostéj sukience płynęli się pomodlić do S. Giorgio Maggiore lub S. Biaggio na Rivie... Tu tyśiące miała różnych ~~pr~~awideł do zachowania, ostrożności, przyzwoitości... Była trochę większą panią, ale

to państwo zamykało ją jak w więzieniu w ciemnym dworze Robnina... Musiała pilnować i swojego uśmiechu, i ruchu, i słowa, straciła wesołość, tracąc swobodę.

Trzpiotowate dziecię stało się przed czasem zamysłoną i posępną niewiastą.

Czy smutek działał? czy klimat? niewiadomo, ale pod koniec zimy, gdy już skowronki zjawiać się poczęły nad szarą rolę budzącą się do wiosny, Cazità zaszła, pobladła, poczęła kaszlać; straciła ochotę do życia, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwieź mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka... będę zdrowa... będę zdrowa.

Konrad nie śmiał jój powiedzieć, że on tam może chory będzie, żal mu się zrobiło biednej, ukochanej istoty...

— Poczekaj, rzekł, niech się zazieleni ziemia, niech ja zobaczą moje lasy w ich świątecznych strojach, nasze kwiatki w młodych sukienkach, nasze jezioro rozkołysane... pojedziemy...

Jak Julia w Shakespearowskim dramacie, w tój cudnej scenie nadchodzącego poranka, Cazità upatrywała wiosnę nadchodzącą w dniu każdym; przyniosła uszczęśliwiona pierwszy listek dzikiego agrestu, pierwszą rozwiniętą w śniegu przylaszczkę; cieszyła się, gdy lody pękły na jeziorze... i wylatywała na słońce spróbować czy dobrze już grzeje? I wołała:

— Konradzie mój! już wiosna! już wiosna! Na Lido puściła pewnie winna latorośl... Jedźmy, jedźmy! Konrad czekał; jemu tak żal było swojej wiosny

i rozwoniałych brzoź, i pękających bżów... Odkładał do jutra. Próżno przymilała się Cazità, prosił tak pięknie o dzionek jeszcze, o dwa dni—czekała, patrząc okienkiem...

Nawet czarodziejskie to u nas odmłodzenie ziemi, nie zdziwiło jój i nie ucieszyło, patrzyła na drzewa z wyrzutem prawie, że do włoskich nie były podobne, kwiaty znalazła drobnymi i słabemi, wody jeziora wydały się jój brudniejsze nawet, niż woda lagun weneckich...

Konrad czuł, że potrzeba było jechać, bo Cazità nikła mu w oczach, bo policzki jój kwitnące traciły barwę, wzrok blaski wyplakane, czoło pogodę.

Ale jak się tu było przyznać przed rodziną, przed swoimi, nawet przed starym poczciwym Pukałą, że zamiast wziąć się do gospodarki, Konrad miał znowu puścić się na nie wiedzieć jak długą pielgrzymkę? Domyślał się tego Dalifur, ale przypuszczenia odpędzał, wmawiał w siebie, że się młoda pani przyswoi.

Nareszcie jednego wieczoru, gdy zostali sami, Konrad zbliżył się do starego przyjaciela domu i kładąc mu rękę na ramionach, rzekł cicho:

— Kochany mój Pukało, nie mam co taić przed tobą... Cazità chora... tęskni codzieli gorzej, niczem jój rozerwać nie mogę, niepokoi się też o ojca, od którego nie ma wiadomości... Musimy jechać, musimy!

Stary nie odezwał się słowa, głowa mu opadła na piersi.

— Nie to nie pomoże, rzekł po chwili, ona tęskni tu, ty będziesz tam tęsknił... Rób jegomość, panieczu, co ci serce dyktuje. Moje oczy może was już

nie zobaczą, a ojcowizna pójdzie marnie. Ale się stało!

Konrad westchnął także.

— Stary przyjacielu, cóż mam począć? Widzisz jak ta biedna wygnanka zbladła, zmieniona, chora? mogę ją dla siebie poświęcić? godziź się to?

Pukało nic nie odpowiedział, milczał; gładząc wąsa.

— Ano, róbcie jak wola wasza, nie ma co tu rądzić stary...

Skłonił się i odszedł ze łzą na oku, z czapką na uszy głęboko nasuniętą, sumując.

Na progu już Stefanek i Murzynowska poznali po minie, po sposobie otwierania drzwi, że stary z czémś złém powrócił ze dworu.

Stefanek tylko głową kiwnął ku klucznicy, a ona skinęła potakująco, nie śmieli się, szanując smutek jego, odezwać; domyślali się zresztą po trosze o co chodzić mogło.

Wtém stary, nim mu świecę przynieśli, skinął na klucznicę zapraszając ją do siebie, a Stefanek zaraz do drzwi ucho przyłożył, bo był niezmiernie ciekawy.

— A co, moja jejmość, rzekł głosem wzruszonym: czegoś się bał, tegom się nie ubał.

— No cóż? co? zawołała przestraszona Murzynowska.

— No, jadą do téj Wenecyi!... bodaj ją tam siarczyste...—splunął nie dokończywszy,—taki jadą. Co to kobieta gdy się mospanie uprze, a też jeszcze, z pozwoleniem, półdyablę weneckie; jak zaczęła stękać, kwękać, chorować, grymasić, chudnąć na złość,—otoż jadą...

Murzynowska dzielając to strapienie, zalamala ręce.

— Już ich tu żadna siła ludzka nie powstrzyma, rzekł stary, to darmo... Jegomość — panicz z żalu mało nie płacze, tak mu się jechać nie chce, ale musi!

— Ale bo — ujmując się za plecią swą, dodała Murzynowska — ona bo nieboraczka z téj aury choruje; widzisz asindziej jaka blada.

Pukało ręką machnął.

— Dalifur! zawołał, dalifur! polityka ta choroba, ino się uparła... strzyżono, strzyżono... Juścić jój tam nielepiej w kamieniczce! ale co to gadać... nie posądzam, coś ciągnie jejmość.

Murzynowska się oburzyła.

— Dałbyś-bo jegomość pokój!

— Ano prawda, odparł Pukało, alem zły... Folwark, dwór, wszystkiego dostatek; ptasiego mleka chyba brak, a jeszcze źle i źle.

— Już że dogadzaliśmy, to niech nie grzeszy, z pozwoleniem, jak wrzodowi... a mąka żeby była biała, a bułki tylko pszenne i pszenne... a sałaty w zimie... a potrawy cudackie, co ich nikt prócz niej w gębę nie wziął, chyba on przez grzecność... I powiadam jejmości, — zawołał patetycznie Dalifur, — zobaczycie, że oni tu już nie powrócą... Ona go nie puści, opustoszeje nasz dwór, pójdzie kawał dobrej polskiej ziemi w cudze ręce. Ale, — westchnął, — moje tego oczy nie zobaczą. Dawno trumna wyschła, żytem nasypiana, czeka na strychu... toć w nią wleżę, żebym na ostatnią zgubę nie patrzył.

— I!.. wstydzilbyś się jegomość znowu tak brać do serca.

Stary aż płakał; siadł w krześle na poduszce i oczy ocierał.

Nagle myśl mu jakaś przysła, porwał za kij, za czapkę, świecę z porywczosci palcami zagasił i szybko z folwarku wyszedł. Murzynowska wyjrzała i ruszyła ramionami; nie poszła spać spokojnie, dopóki wysłany Stefanek nie przyszedł z raportem, że stary się powlókł na plebanię.

Swieciło się jeszcze w sypialni proboszcza, gdy do drzwi zdążył Pukało, ale psy już wartowały w dziedzińcu. Dobrze, że go poznały, a chłopak zaspany ledwie mu nierychło otworzył. Ksiądz odmawiał pacierze... Myślał, że do chorego wzywać go przychodzą; sutannę starą narzucił. Zdumiał się, zobaczywszy Pukałę o téj porze.

— A co tam? spytał: czy nie co złego, *quod Deus avertat!*

— Złego, złego, mój ojcze! zawołał Pukało: pocięchy u was szukać przychodzę. Już taki postanowiono, nakazano... wyjeżdżają.

— Kto? co?

— Ano państwo.

— Dokąd?

— Do téj Wenecyi przeklętéj.

— Któż ci to mówił?

— Z jegom ust miał dyspozycyę!... Niewesoło i jemu, rzekł stary, ale kobiecie się oprzeć nie umie... jada... To ruina! to zguba! Ojcze! jeżeli wy nie uczynicie refleksyi...

— Ja? zapytał ksiądz: a co to do mnie należy?

— Jak nie wy, to któż? macie ich sumienia w ręku, przemówcie.

Proboszcz głową kręcił.

— Złe to być może, rzekł, ale wedle świata grzechu nie ma; ja się w to wdać nie mogę. Szkoda mi ich, a posłuchać mnie nie zechcą.

— Więc wy mi odmawiacie? płaczkliwie zapytał Pukało.

— Spróbuję słowo rzucić, ale to będzie groch o ścianę... Nie moja rzecz.

Pukało wstał z krzesła.

— No tak, zawołał, sądzono, sądzono, aby oczy moje patrzyły na ruinę tego domu, na zgubę... Niechże będzie wola Pańska! Ale nie przeżyję ja tego ojczyzny! Ten dom, jakby mój rodzicielski własny; ten, chłopiec, to jakby dziecko moje; ten majątek, jakby ojcowizna. Wzrósł się tu, wrosło, pracowało, aby pomnożyć, aby utrzymać, a tu fantazya jednej kobieciny wszystko w proch obraca... Fantazya, mówię jegomości! krzyknął głośnie: bo ja temu nie wierzę, żeby chora była i tęskniła, jeżeli męża kocha. Mąż dla niewiasty światem, wszystkiem, ale to, z pozwoleniem, półdyablę weneckie!

Chwycił za czapkę w passyi chcąc wyjść, gdy go proboszcz za ramię ujął.

— Kacbanie, Pukało! z żalu ci się w głowie wywraca! A toż po chrześcijańsku, a toż po ojcowsku tak sierznić się na to biedne dziecko? Ha? myślisz, że jemu też serce nie boli opuszczać dom, kraj, rodzinę? a uchowaj Boże, by się jój co stało... dobrzeby mu było nosić trupa na sumieniu? Wstydź się stary, zmów pacierz i uspokój się, a za grzech porywczności powtórz po pacierzu siedm razy: Bądź wola Twoja...

Pukało zmiękł, proboszcza w ramię pocałował, łzę otarł, i mrużąc wyszedł z plebanii.

Piękna była noc wiosenna, a w krzewach ogro-

dowych na zabój śpiewały słowiki... W dali słyhać było szum fali jeziora, jakby ruch kołyski co dziecięcą usypia... Wiało zewsząd wonią młodości, kwiatami, liśćmi, trawami... a świat ten wyglądał tak cudnie, że Pukale aż się na płacz zebrało.

— I taki to mając ką własny, trzeba im się tłuc po obcym świecie!!..

Z cicha włókł się po pod ogrodowym parkanem. Księżyc pasami z pomiędzy drzew starych smugami światło po darniach rozrzucał, a wysokie topoli wierzchy w ciemnych kędys tonęły niebios błękitach... W krzakach ledwie się liść ruszył niekiedy, taki był spokój i cisza. Dalifur poglądał w ten ogród; wyobrażał sobie jak w nim obcy gospodarzyć będą, i żółć mu się burzyła. Wtém stanął. Na ławce pod kasztanami zobaczył siedzącego Konrada, który głowę ująwszy w dłonie, żegnał się ze swoją siedzibą. Wśród ciszy wieczoru, Pukało dosłyszał ledwie pochwyczonego jęku, i żal mu się zrobiło znowu tego człowieka jak własnego dziecka. Przeszedł na palcach szanując tę chwilę boleści; a gdy minął kasztany, rzekł w sobie:

— *Mea culpa!*... cóż mnie staremu narzekać, kiedy on cierpi! Mnie ulżyć mu ciężaru, a nie dodawać go jeszcze... Stań się Twa wola Panie... Pukało wiernym będzie do ostatka sługą... a płakać zawsze czas i potém, dodał w duchu.

Gdy już do wyjazdu rozkazy były wydane, odżyła biedna Cazità: teraz wszystko jój było piękne, weselem ożywiła się twarz, błysnęły oczy, uśmiechnęły się usta, rzuciła się na szyję Konradowi.

— *Corradino mio, angelo caro!* tyś dobry, tyś kochany, tyś święty!

I z wielkiego wzruszenia do nóg mu padła.

— O! tak!.. ja czuję, jam ciebie niewarta! zawołała. Ja nie miałam siły tak ci wszystkiego poświęcić, jak ty mnie; jam biedne słabe dziecko! grzesznica! jam rozpieszczona jedynaczka... Ty mi przebac! jabym tu była umarła, i to powietrze mnie dusiło, zabijało... I ojciec! ojciec! ja jednego w świecie mam ojca, a on tyle mnie kochał, i on tam ginie z tęsknicy po niewdzięcznej... Tylko mnie dowieź do niego, niech ja go zobaczę, niech on mnie uściśnie. Jam mu potrzebna: niech się pocieszy, żem szczęśliwa! *Corradino mio!* powrócimy tu, i ja już... nie zatęsknię ci więcej; będę posłuszna, będę wesoła, będę tylko twoja...

Jakże się było oprzeć temu gwałtownemu uczuciu? Konrad także ją kochał, nie mógł tego uczynić. Rozkazał przyspieszyć przygotowania do odjazdu. Obawiał się Pukały, ale i stary nazajutrz po tym wieczorze był bardzo zmieniony, do niepoznania. Chcąc gderać Murzynowskię zamknął usta, a sam z troskliwością ojcowską wziął się do wyboru w podróż pancerza.

Tylko gdy w ganku przyszło mu się z nim pożegnać, gdy sobie padli w ramiona, piastun stary, sługa wierny i wychowanek serdeczny, rozplakali się obaj płaczem wielkim, nieutulonym, długim, i słowa już do siebie rzec nie mogli.

Proboszcz przeżegnał landarę.

— *Dens vos... ducat, reducat!* szeptał, a lzy mu ciekły po policzkach.

Płakali wszyscy... a gdy dwór z oczu zniknął, Cazità rzuciła się znów na szyję mężowi.

— Tyś anioł, rzekła, jam niewdzięcznica.
I lza jój pociekła, lecz wiatr wiosenny prędko ją osuszył.

Inaczej teraz dopływali do miasta, które dziecię jego tak chciwie ujrzeć pragnęło. Wiosna to była znowu, ale powietrze chłodne, burzliwe, pora wietrzna; niebo okryte porozrywanemi na szmaty obłokami z po za których ukazał się czasem rożek lazurowy wiekui-stej obsłony sklepienia, ale natychmiast pokrywały go gęste lecące od lądu tumany.

Wicher i rozkolysane fale nie potrafiły powstrzymać Cażity spragnionej domu, tém niecierpliwszej im się bardziej do niego zbliżała.

W Tryeście dom ciotki zastali pustym i nic od nikogo w nim o „Padre Antonio” i jego panu dowiedzieć się nie mogli; staruszka wyjechała była do krewnych. W porcie mało było statków, a i te co stały na kotwicy, czekały pogody, nie chcąc się puszczać na morze rozzłoszczone i niebezpieczne. Ale Cażità płakała, Konrad musiał pójść szukać jakiejś łodzi, bodaj rybackiej nieco większej, aby ją nająć do Wenecyi.

Podróż obiecywała być długą, przykrą, ba! nawet niebezpieczną, ale Wenecyanka śmiała się z postrachów tych i utrzymywała, że żaden prawdziwy marynarz wiosennych się wichrów nie lęka!

Niebo się jakoś rozpogodziło choć niezupełnie; łódź się znalazła z pomostem dość niewygodnym, *radrone* statku ofiarował się jechać natychmiast, ugodzono się więc z nim do Wenecyi.

W mieście zaręczono za kapitana, że był doskonałym żeglarzem i starym doświadczonym sternikiem, że znał brzegi, mielizny, niebo i wodę, jak swoją kieszeń. Wyglądał też na człowieka, który suchary jadł nie z jednej beczki — (bo nie można było o nim powiedzieć, że chleb jadał nie z jednego pieca). Ogorzały, czarny, ze skórą wyprawną od słońca, zarosły jak niedźwiedź, w osmolonej kurcie podobniejszy był do korsarza niż do uczciwego kapitana statku, trudniącego się przewozem towarów, a w wolnych chwilach rybołówstwem. Kilku ludzi równie dziwnie dobranych składało całą załogę.

Cazità wszakże uczyła się dopiero wesolą i szczęśliwą, gdy pokład kołyszący się już w porcie pod stopami jój, tak, że się ledwie na nogach utrzymać było można — poczuła. Oko jój ku Wenecyi zwrócone błyszczało.

Gdy kotwice ściągnięto, a statek o napół rozwiniętym żaglu wyruszył, fala nim tak rzucać poczęła przy wyjściu na pełne morze, iż wszyscy prócz majtków posiadać i czepiać się musieli lin i drągów, aby ich wiatr nie zrzucił z pokładu, lub woda przez głowy przeskakująca nie zmiotła.

Było to ku wieczorowi, a po małej próbie kapitan Seboni przekonał się, że nocą płynąć dalej nie było podobna; musiano się zwrócić do portu i tam znowu kotwice zarzucać do rana. Ale ani Cazità, ani Konrad nie wysiedli już na ląd, postanowili czekać uspokojenia lub poranka.

Przebudzili się o brzasku, gdy łódź znowu z portu wypływała, rzucona falami wysoko lub pogrążająca się w głębiny.

Rozhukany Adryatyk był przepyszny obrazem, fale piętrzyły się, wyginały, rozbijały z łoskotem ogromnym, z niezmordowaną furją, jakby popychane jakąś siłą niewidzialną, bo wiatr nawet chwilami nie wydał się tak gwałtowny... Przybrały one teraz barwy inne: płowe, zielone, bursztynowe, a na wierzchołkach ich kłębiła się piana śnieżysta, jak w pysku rozjuszonego zwierzęcia.

Łódź zdawała się tonać co chwila, pochylała się na bok, kładła, maszty się uginały i trzaskały od wiatru nagłego, powrozy rwały, grube płótno żaglowe darło w kawały. Zaledwie odrobinę jego można było na ten prąd wystawić, który nagle ustawał i wracał niepohamowany. Z chmur lało to deszczem chłodnym, to drobnymi zmarzłymi perełkami, to promień słońca spadał na głowy i uciekał zaraz, ślizgając się dalej po morzu, a wlokąc za sobą goniący go cień czarny, od napędzającego obłoku.

Cazità była w zachwyceniu, Konrad milczący, kapitan Seboni latał, klął i nie żałował ani pięści, ani sznurów, ani też własnej pracy... Łódź unosiła się szybko, trzymana w oddaleniu od niebezpiecznych brzegów.

Cały dzień trwał ten bój z uporczywą burzą, ku wieczorowi znużone fale nieco opadły, niebo porało się długimi pasy chmur układających do spoczynku; płynąć już było można nocą bezpieczniej. Zapalono lampę przed obrazkiem Ś. Teodora, kto jak mógł owińawszy się położył.

Nazajutrz ranek był mglisty, powietrze parne, nie dokoła nie było widać prócz wyziewów jakichś gęstych buchających niby z kotła z rozgotowanego mo-

rza. Fale kołysały się szerokimi płatami jak niezmierne opony zielone i szafirowe.

Już nad wieczorem o pomarańczowym słońca zachodzie, w blaskach ostrych kończącego się dnia, ujrzeli Wenecję... Lido.

Cazità rozplakała się z radości, ale łódź płynęła powoli, wiatr był nierówny, targany, rwał z różnych stron, żagłów całych rozpiąć nie było podobna.

Ława piasku i strzelające nad nią wieżyce rosły powoli. Była noc, gdy naostatek dobili się do portu. Potrzeba było doczekać ranka, aby się na ład dostać.

Cazità wpatrując się w światelka nadbrzeżne, całą tę noc nie zmrużyła oka. Nareszcie ukazała się gondola, zrzucono pakunki, popłynęli milezący wprost na Lido. Już ona mówić nawet nie mogła; wsparła się na ramieniu męża, oddychała powietrzem swoim, była prawie szczęśliwą.

Z dala pokazał się domek murowany. Serce uderzyło gwałtowniej, ranek się rozjaśniał, piękny był nawet, ale koło mieszkania kapitana czegoś pusto, ani żywego ducha... Cazità dojrzała zaraz pozamykanych okiennic w pokoju ojca... zapartych drzwi od ulicy... Przeczcucie srogie targnęło jój duszą.

Wysiedli... nie śmiejąc pytać, szli oboje do drzwi Konrad w nie uderzył, echo rozległo się, jak po pustyni raz i drugi. Aż w górze otworzyło się okno nierzęcho; siwa głowa Anunziaty ukazała się z niego, i dwa okrzyki powitania razem słyszeć się dały. Kobiety wyciągnęły ku sobie ręce.

Potem jak grzmot przeleciał wschody, rozwarły się drzwi, stara ścisnęła ukochaną siostrzenicę.

— A ojciec? ojciec? pytała Cazità.

— Ojciec! ojciec dotąd nie powrócił, odpowiedziała ciotka zdyszana; mówią że popłynął do Stambułu... Nie wiemy... ale ileż to razy dłużej go nie było?

— A wieści?...

— Żadnej... to jest myślę się, jękała ciotka, — powrócił Beppo, który mówił, że z dala widział niedaleko Korfu statek *Fadre Antonio*.

— Dawno?

— O! już temu ze cztery miesiące...

Z tą smutną wieścią weszli do opustoszałej kamieniczki.

Cazità pobiegła do swjej izdebki, otworzyła okna, okiennice i klękła przed obrazkiem.

Potém zerwała się dziękować Konradowi, który jak świadek niemy, smętny, stał i patrzył na jęj oszalałe wesele, niepokój i smutek. Była bowiem znowu smutną, a twarz ciotki Anunziaty, gdy ją rozpytywała o kapitana, usprawiedliwiała tę troskę. Jęj odpowiedzi nawet były jakies jękające się, niepewne, jakby obrachowywane dla córki. Konrad podejrzewał nie bez przyczyny, iż mniej podobno mówiła, niż wiedziała.... Smutek nadawał jęj twarzy zwykle rozjaśnionej, wesołej, dziwnie przygnębiony charakter. Łzy, które się dobywały z oczu, można było wprawdzie i radością, i wzruszeniem tłómaczyć, ale nadto uparcie powracały na powieki.

Cazità wstała od modlitwy i żywo poczęła badać i rozpytywać ciotkę o ojca. Anunziata też coraz się bardziej plętała w odpowiedziach, naostatek przerwała rozmowę pod pozorem gospodarstwa.

— Będziemy sobie o tém mówiły jeszcze wolniejszym czasem, a teraz dajcież mi pomysleć o tém, byście z głodu nie pomarli. Póki bylam sama, nawet ognia na kuchni nie było; żyło się lada czém, zapasów

żadnych nie mam w domu, muszę Piotra posłać i sama pobiedz...

— A! ja ci pomogę! zawołała Cazità — czyż ja już tak mam być nikomu do niczego? Tak miło mi będzie znaleźć się z wami znówu w téj kuchence naszej i pośmiać się przy robocie.

Ciotka Anunziata wszakże nie miała wcale do śmiechu ochoty; mrugała ona nieznacznie na Konrada od dawna, dając mu do zrozumienia, że coś mu chce powiedzieć potajemnie, ale Cazità nie dawała się odpędzić niczém.

— Wiesz co? odezwała się ciotka wreszcie, tyś zmęczona, połóż się na godzinę, mężczyzna wytrzymałszy zawsze... Konrada wezmę, posłę go po Piotra, a sama tak wszystko przygotowuję, że wam z głodu umrzeć nie dam. Tylko uczyn to dla mnie, połóż się proszę, a odpoczniéj.

— Jam tak szczęśliwa! tak żyję powrotem, Wenecyą, wami! wołała Cazità.

— Wszystko to dobrze, ale jeśli nie dla siebie, to dla mojego spokoju, proszę cię, kładniéj się.

Z wielką niechęcią Cazità posłuchała. Konrad posłał jéj dawne dziewicze łóžeczko; zaklinała się, że spać nie może i nie będzie, ale w końcu dała się namówić posłuszna. Zaledwie głowa jéj spoczęła na poduszkach, oczy znużone zamykać się poczęły. Ciotka skinęła na Konrada i wynieśli się na dół po cichu.

— Słuchaj — szepnęła zszedłszy Anunziata, załamując ręce — słuchaj! — Tu płacz jéj przerwał mowę. — Ty nic nie wiesz... jest wielkie nieszczęście.. a! czekałam na was nie wiedząc co począć, a pisać nie śmiejąc, aby list nie wpadł w jéj ręce. Stary poczciwy Zeno nie żyje...

Tu zaczęła znów łkać i płakać, a Konrad osłupiał sam, bojąc się o to, żeby na górze placzu jęć gwałtownego nie usłyszała Cazità, jął ją hamować.

— Chodźmy ztąd, powiecie mi wszystko...

Wyszli razem na brzeg morza i stanęli za murem tak, aby z okna widzieć ich nie było można. Konrad obawiał się nawet, ażeby Cazità nie wyjrzała i nie poznała po załamanych rękach i placzu Anunziaty, że coś strasznego przed nią tajono.

— Jakże? kiedyż się to stało? zapytał.

— A już parę miesięcy temu jak otrzymałam wiadomość okropną, że jeden tylko z jego majątków ocalał... Okręt rozbił się w czasie burzy o skały, a biedny *Padre Antonio*! nic nie pozostało z niego! nic! Trupa kapitana widziano jak pływał na morzu... ale zginęło nawet ciało bez chrześcijańskiego pogrzebu! Co tylko miałam, oddałam na msze za jego duszę. On zawsze mówił, przepowiadał, że tak zginąć musi: „Nie leżeć mi w ziemi święconej, ale zginąć na dnie morza.“ *Padre Antonio!*.. już go nie zobaczą oczy nasze... nigdy! nigdy! a z nim cały nasz majątek! Zeno był dużo winien ludziom, którzy mieli w nim zaufanie. Ostatniemi czasy począł na swoją rękę handlować i przestał cudzy towar przewozić... Wszystko pochłonęło to nieszczęsne morze, a długi tylko pozostały na tym domku. Zabiorą go nam za długi, zabiorą...

— Nie mówmy o tém, przerwał Konrad, da się dom może ocalić, zapłacę ja; ale jak powiemy o tém Cacicie?... jak ona to przeniesie?... Jesteścież pewni, że Zeno zginął? Może go gdzie u brzegu uratowano, może chory leży?... Ileż to było takich wypadków, że po latach ju', za zmarłych miani, wracali maryna-

rze do domu, gdy ich już oplakała rodzina?... Czy zgiął pewnie?

— Ale przecież nie kłamałby stary Toro, który ocalał, wrócił i najmuje się już teraz tylko do cudzych gondoli, wożąc po kanale... Zobaczycie go sami, stoi obdarty biedaczysko przy Calle Anunziata. Toro mówi, że trupa na oczy swe własne widział, poznał go po sukniach i po włosach, ale to było w chwili, gdy sam się ratował jeszcze. Na głowie krwi dużo... na twarzy... Snadź, gdzieś nim fala rzuciła, bo pływał tak, że gdyby był żył, uratowałby się był pewnie.

Konrad stał przygnębiony, martwy... Drżał namysł tę, że po jego twarzy, smutku, Cazità nieszczęsną odgadnie nowinę.

— Cóż z nią zrobimy! zawołał.

— Nie jój mówić nie potrzeba, przerwała ciotka musimy przestrzedz Tora, żeby się gdzie skrył i nie wygadał! Ona się powoli domyślać może... przygotuje do nieszczęścia; niech na nią, jak piorun nie spadnie.

— Ale czy nie więcej znuży ją niepewność, domysły, podejrzenie? mówił Konrad.

— Zostaw to mnie... ja będę wiedziała, jak z moją dzieckiem postąpić, przerwała ciotka; ty siadaj do gondoli i płyn... wyszukaj Tora, każ mu się skryć, daj mu na życie, bo Cazità wyjedzie, spotka go, a zobaczywszy domysli się wszystkiego...

— Cóż jój powiecie, gdy wstanie? spytał Konrad.

— Żem cię posłała do miasta... Przywiesz z sobą chleba, owoców, wina, ryby... u mnie w domu nie ma nic... odrobina oliwy, sałata z ogrodu... ot czém żyłam od kilku miesięcy, bom nie sprzedawać nie śmiała ze sprzętów, a nie było grosza... coraz ciszej

poczęła ciotka Anunziata. Ale dla mnie to nic... ja tak bardzo jeść nie potrzebuję, a czasem też zapraszali mię na fryturę sąsiedzi...

Wpatrując się w twarz jój Konrad dostrzegł teraz dopiero, że głód jednak zostawił na niej ślady; była żółtsza niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedy wydawała się zgrzybiałą.

— Jedź, jedź zaraz, rzekła do niego, a powracaj prędko, nim się dziecko obudzi; nie trzeba, żeby się rychło domyślić czego mogło.

Konrad niedobrze wiedząc co czyni i co się z nim dzieje, pobiegł ku brzegowi szukając gondoli. Nastrezyła mu się prędko, przewoźnik był znajomy, stary Mazino... Popatrzał on na niego i powitał kiwnięciem głowy smutném.

— Dawności tu?

— Tylko co przybywam... rzekł Konrad...

— Ale wiecie już zapewne wszystko, dodał Mazino. Każdy co znał kapitana, żałuje go, dobryż-bo, dobry był człowiek!! Świeć Panie jego duszy!... Zginął, jak morscy ludzie giną, prawie wszyscy w końcu. Morze długo przebacza, ale nie daruje nikomu na ostatku, trzeba się słonej wody napić...

Oggi figura,
Domani in sepoltura!

Tak! tak! eccellenza! Szkoda i jego, i statku. Statek był dobry, chodził żwawo i lekki był jak piórko.

Konrad nic nie odpowiedział... Wysiedli na Rivie, a ledwie kilka kroków uszedłszy, dość żywo uczuł się potraconym przez przechodnia i obejrzał...

Chłopak, który się o niego biegnąc uderzył, obrócił się także... Niby znajoma jakaś twarz i rysy, ale których od razu przypomnieć sobie jakoś nie mógł, zastanowiły Konrada.

Odarte chłopię stanęło także i krzyknęło... Dopiero wtedy poznał pan swojego dawnego węgrzynka, ale *quantum mutatus ab illo!*

W istocie trudno było w znużeniu; bladój, schudzonej istocie domyślić się żwawego, rumianego, wesołego dawniej chłopaka.

— Maciek! zawołał Konrad nie dowierzając oczom swoim: to ty!?

— A! to ja! to ja! ze złożonymi rękoma zbliżając się do niego krzyknął chłopiec, cały drżący z radości i uczucia. Pan tutaj? dawno?

— Od wczoraj!

— O mójże ty miły Boże! a toż szczęście, że mam pana potrafić a napotkać, i że go oczy moje widzą jeszcze, a tak mi też tęskno było do was, ba! do wszystkiego... do wszystkiego.

— Cóż! jak ci tu Maćku? coś mi nieszczególnie wyglądasz? czyś chorował?

— Nie, nie, proszę pana, jakając się rzekł Maciek z jakąś dumą; niczego mi, niczego, owszem dobrze, nawet bardzo, ale tak... mówią, że to człowiek chudnie przez to, że rośnie...

Spuścił głowę pomieszany, Konrad przybliżył się chcąc mu się lepiej przypatrzeć, z Maćka cień ledwie został.

— Spodziewam się, żeś miejsca nie stracił; możesz się nawet już i wyzwolił, i ożenił?

Maciek poskrobał się starym obyczajem po głowie.

— A! gdzie zaś! proszę pana, od onego to czasu dużo się, dużo zmieniło, ta i o ożenku ani myśleć.

— Cóż się stało?

— E! panie, ta dziewczka to nie pólidyablę, ale dyabeł cały, niech ją wciórnatki porwą, bodaj świata nie widziała!

— A nie kłniéże tak Maćku!

— Co tu kłąć, proszę ja pana? jabym ją zabił, gdybym mógł, tyle się przez nią ucierpiało i cierpi... A co majster nabiedował... I co pan powie? jak nam obu za skórę zalała, ano... ot oba tę niegodziwą tak kochamy jak utrapieńcy... i na to nic nie poradzić.

— Mówiłżeś, że zabiłbyś ją?

— Zabićbym zabił, proszę pana, a kochać człek kocha do waryacyi.

— Szczęście jeszcze, żeś się nie ożenił; ale cóż się tam z wami stało? zapytał Konrad.

— E! inoście tylko państwo wyjechali, począł wdychając Maciek, jam stanął u majstra do roboty. Ona miała do klasztoru se jechać, ale to się ściągalo, ściągalo, bo jejmościance nie było do smaku. I mnie też z razu w to graj, mogłem się czasem zobaczyć, a no i pogadać, bo się już tu włoszczyznę przegryzać po trochu zaczęło. Wabiła bestya oczyma jak na wędę, lgnęło serce, lgnęło... Przysięgłbym był też, że mnie kochała. Ano, wszystko to były zdrady, bo dawno miała innego kochanka i nie takiego, coby się z nią mógł ożenić, tylko wielkiego pana, do którego się wkradała tak zręcznie, niby do kościoła... niby na odpust, a to sam, a to tam, że nawet ojciec się nie

nie domyślał. Jam tam był piąte koło do wozu na zapas ino, żebym się kim zastawić było w biedzie... Nierychłom się dowąchał, bo nnie tak trzymała na łańcuchu, a wierzyłem téj pokusie jak rodzonemu ojcu... Trwało to długo, aż jednego razu idę ja od majstra posłany przez te uliczki co za Merceryami się wiklają; patrzę, stara baba w lachmanach na czółenku u brzegu prosi jałmużny, bo ono tu taki zwyczaj, że za jałmużną pływają, jak gdzieindziej chodzą. Czółenko było stare, odrapane, dziurawe, pozatykane klakami ze smołą, aby w niego woda nie szła, a biedoty na nim, lachmanów kupka, a przy nich staruszka garbata... istna śmierć koścista, a na nich wnuczátko jój krzeczy w pieluchach z głodu. Tak mi się z téj baby przypomniała wieś nasza i stara Marcinowa chodząca po jałmużnie, ta i nie wiedzieć jeszcze jakie rzeczy, tam swoje, że mnie litość wzięła okrutna i dałem jój groszaka, mało mnie w rękę nie pocałowała. Otoż nic, poszedłem za interesem, ta i wróciłem se nazad. W tydzień znów na inném miejscu, patrzę, stoi czółenko z babą u brzegu... dziecko krzeczy znów, tknęła mię Marcinowa, dałem grosz: „Módl się za moich staruszko.“ No! i zapomniałem o niej. Po tygodniu albo i więcej, trzeci raz mi się nawinęła, kiedym chciał dać jałmużnę, aż ona mnie za rękę z czółna:—„Stój, poczekaj!“ mówi.—„No, a co?“ pytam.—„Za jałmużnę jałmużna, pocziwy chłopce, rzekła. Wszakżeś to ty ten, co terminujesz u Naniego, a starasz się pono o Maryette? Polaczek? nie prawdaż? ludzie mi tak mówili.“—„Ano, tak, prawie, co cóż?“ Pokręciła głową jakby się litując nademną... „Oj żalże mi cię, żal!“ zawołała.—„Dla czegoż znowu żal?“ — „Ino mi ci się serca krwawić nie chce, a powie-

działabym ci coś“...—„To mówcie, rzekłem, jeśli z dobrej woli.“— „Z najlepszej, powiada, kocham cię jak syna, boś poczciwy, a kamień sobie do szyi wiążesz.“ Słucham ją i dziwuję się strasznie: co to jest? a ta mi szepce:—„Chcesz wiedzieć prawdę? Pójdź jutro o godzinie ranniej, weź gondolę zakrytą i zamkniętą, a pływaj podług pałacu Vittorinich, i patrzaj się-no dobrze, co się tam dzieć będzie.“

I to rzekłszy, baba kijem się odepchnawszy od brzegu, popłynęła sobie dalej, a jam stał, jakbym w kamień wrósł. Myślę sobie: co to jest?... Kie tam licho w tym pałacu? co to ma do mnie? Ale kiedy baba gada... wie co mówi, potrzeba tę rzecz przegrzebać. Już mi do jutrzejszego dnia czekać było jak rybce na ruszcie... ani jeść, ani spać, tylko myślał, co ja tam za biedę zobaczę? O godzinie, jak potrzeba, biorę gondolę i płynę, ledwim się u majstra wyprosił... Oczy wytrzeszczam, sercызsko bije gdyby młotem... aż tu druga gondola za mną śpieszy i tuż pod wjazd sklepiony, jakby do domu, aż ku wschodom dopływa, a z niej wysiada... Maryetta, i wprost ot tak, na ręce młodego Vittoriniego, który ją w pół ujawszy, poprowadził się razem na górę. Tchu mi zabrakło, kiedym to zobaczył... Zrozumiałem co baba mówiła, alem nie wierzył oczom; czekałem godzinę, dwie, trzy, nareszciem się wymęczywszy doczekał, że jejmościanka tąż samą gondolą, jakby nigdy nie, odprowadzona przez tamtego, siadła i odpłynęła. Wysadzili ją pod placikiem, ino skoczyła na brzeg, ja w ślad za nią. Nie chciałem w domu przy ojeu historii jój robić... i gonię... „Czekaj! gdzieś bywała?“ Ta mi się uśmiecha i prawi, że w kościele. „A piękny mi to kościół! odpowiadam, jeszcze o takim słychu nie było.“ Zaczerwie-

niał się, a spojrzawszy mi w oczy, jak mię palnie z przeproszeniem jegomości, po pysku... „Trutniu jakis! zawołała, to ty mnie psie N. Panny szpiegować będziesz!... Jeszczem za ciebie za mąż nie poszła! prawa do mnie nie masz!...“ I pobiegła, a jam został jak głupi... Co tu robić? Ojcu powiedzieć, to ją zabije, albo co... milczeć nie mogę; ścierpieć tego się nie godzi... porzucić ją... aż się serce drze. W jednej téj chwili, proszę pana, poznałem więcej bólu i frasunku, niż przez życie całe. Choć idź, i utop się!... Powlokłem się do majstra, jeszczem od niego dostał pamiętne za zbawienie tyle czasu... Siadłem do roboty, ale gdzie mi tam do niej! Szydło pałce kole, a dratew chodzi, by opętana. Wieczorem ino uchyliła drzwi i rzuciła mi przez szparę: „Muszę mówić z tobą.“ Czekałem tylko, by majster odszedł, i choć mi było pod plagami zakazane na górę do niej chodzić, smyknałem. Patrząc: siedzi i płacze, ale tak, jakby nie ze smutku, ino ze złości. Ledwiem na próg... wstała, podeszła, mówi mi tak: „Słuchaj psie jakis, słuchaj niegodziwy! jeżeli ojciec się dowie, jutro ty żyć nie będziesz... nóż w serce ci tak wbiję, że Jezus Marya nie rzekniesz, i z kamieniem u szyi powiezie cię ktoś pod murazze i zatopi... Nikt w świecie wiedzieć nie będzie, co się stało.“—Gęby nie umiałem otworzyć... „Czy się ze mną ożenisz czy nie, jak ty sobie chcesz, mnie wszystko jedno, znajdę dziesięciu na twoje miejsce, ale jeśli piśniesz, gotuj się na śmierć!... Aż mi się lzy z oczu potoczyły, bom ją kochał, Bóg widzi, szczerze a poczciwie, i miałem ją też za uczciwą; więc jak nie wezmę się z nią certować, prosić, to, owo, myślałem, że się w niej co obudzi, ale ta w śmiech tylko ze mnie. —,Cóżes to ty myślał, powiada, smyku jakis bezwąsy,

że to ja się w twojej mlekiem powalanej brodzie rozmiłuję?... albo mnie to iść za szewca? Przypatrz-no się, czym to ja nie na co lepszego stworzona? Jeśli się on ze mną ożenić nie zechce, albo nie będzie mógł, znajdę męża łatwo..." Jąłem ją pytać po co mnie było zwodzić? a ta plunawszy, powiada:—, „Kiedys głupi, pokutuj.“ Jeszcze mnie zbezczeszcila, proszę pana, do ostatniego. Wyszedłem gdyby z łaźni, głowę do reszty postradawszy. Nazajutrz stary szewczysko spostrzegł, że się coś niedobrego święci... alem go zbyt ni tém, ni owém; myślał, że to sobie zwykle termedye, jak to bywają koło kochania, a jam też milczał.. Trzeciego czy czwartego dnia jakoś się jój litość zrobiła nademną, poczęła być łaskawszą, a trzęsła mną, jak sama chciała, bobym był za uśmiech jój mało nie życie dał. Otoż jak się owo nieszczęście poczęło, myślałem, że tego dyabła swojego porzuci, ale gdzie zaś!.. a mnie trzymała istnie jak psa na uwięzi, żeby oszczeniwał podwórko. Tymczasem ojcu ktoś szepnął... nicem ja o tém nie wiedział. Ojciec wpadł na górę i zbił ją na śmierć. Na krzyk wpadłem bronić; dostało się i mnie od niego, a co gorsza, nazajutrz, kiedy idę wieczorem nie myśląc nic, aż mnie połaskotał ktoś pod żebro tak, żem padł, pożegnawszy świat boży. O włos chodziło, by mnie nie zabił, a co się krwi słyszę wytoczyło, starczyłoby konia napoić, jak ludzie mówili. Przecię Matka Miłosierdzia ratowała, ludzie nadeszli i nie dali mnie wrzucić do gondoli, bobym był pewnie na dno morskie popłynął czekać dnia sądnego. Jakoś się w szpitalu św. Rocha wyskrobałem, a Maryetta przyszła mnie przeprosić, bo się dowiedziała za późno, że ją kto inny wydał, nie ja... i żał się jój zrobiło, com dla niej tak

cierpiał... Mogę powiedzieć, że mnie ona do życia przywróciła dobrém słowem; ale już od tego czasu do siebie przyjść nie mogłem, a dyablica jeszcze mi gorzej znów w serce się wpiła.

— Cóż się z nią stało? zapytał Konrad.

— A cóż?... ojciec odesłał do klasztoru, a na drodze ją odbili, i nie wiadomo gdzie uprowadzili. Ja myślę, że tu jest, tylko się ukrywa. Stary mało nie oszalał. Bardzo się nieboraczysko przywiązało do mnie, bo kochamy ją oba równo, choć tego kochania niewarta.

Konradowi pilno odejść było, aby co prędkiej do żony powrócić, i chciał biednego Maćka pożegnać, ale chłopak z płaczem się niemal uchwycił dawnego pana.

— Mój jegomościuniu! mój drogi! nie pozbywajcież się mnie. Już kiedyś ja was zobaczył, zawołał, to biegnę dnchem do majstra o pozwolenstwo i powracam, żeby być przy was i z wami... A! panie! panie! żeby nie ta dyablica, czy jabym był pana porzucił?... Nie wiedziałem ja, co to kosztuje do swojej ziemi tęsknić! Ilem to ja nocy bezsennych przepłakał, przeklinając i ją, i tę jej Wenecyą... bodaj ją morze zatopilo! Pachniał mi czasem chleb nasz, aż się człek ubeczal jak dziecko... śniły się drzewa nasze i pola, i pastuszków pieśni, i stare chaty, i stara bieda... a gdyby nie ta woda, toby człek czasem oszalszyszy chciał być lecieć do swoich... Oj oczy te panie! oj czary, czary, bo to nie może być innego, tylko mnie ona urokiem obrzucić musiała... to pewna... A tu nie było go komu zdjąć, takie babska głupie.

Popatrzawszy na gondolę, którą mu pokazał Konrad, w skok rzucił się Maciek do swojego majstra

o pozwolenie, a Konrad poszedł szukać majtka, którego niełatwo znalazł.

Pokazano mu go nareszcie w lachmanach, odartego z posiwiאל, nieogoloną od kilku dni brodą, wspartego o mur i wygrzewającego się na słońcu. Toro był jakby zgnębiony na umyśle dołą swoją; mówić mu było ciężko, słowa z ust wychodziły powolnie i niebardzo powiązane z sobą.

Zrozumiał wreszcie o co go pytał młody człowiek, i czego od niego żądał.

— Jesteś pewien, że kapitan zginął? dodał w końcu Konrad; — że się nie uratował, lub że go nie uratowano?

Pomyślał długo Toro, i ramionami ruszył.

— Jeśli umarli wracają, to i on na świat może powrócić, rzekł. Zeno nieboszczyk pływał jak ryba, ale skroń miał rozbitą, okrwawioną... a gdym na trupa trafił, to go już woda nosiła i rzucała nim jak drzewem, a twarz miał zieloną, trupią. Nie! nie! rzekł: nie może on żyć! Z nas wszystkich jednego mnie Pan Bóg ocalił tylko, abym miał czas za grzechy odpokutować.

Konrad dał biedakowi na życie i polecił, aby się nie pokazywał nigdzie, przynajmniej przez czas jakiś.

Toro patrzył na pieniądze, głową kiwał w milczeniu... Nie mógł sobie wytłómaczyć, czego chciano od niego.

— Wszystko to dobrze, mówił: ale to tak nie może być... Ja za żadne w świecie pieniądze zamknąć się nie dam, ino wam powiadam gdzie będę, abyscie unikali tych miejsc, bo na niewolę to się ja nie zgódzę, a i do kościołów chodzić muszę.

Nakupiwszy co było potrzeba do domu, Konrad powrócił do swéj gondoli, która na niego czekała. Tu zastał już nietylko Maćka z węzelkiem pod pachą, ale i starego szewca, który przez ten rok niespełna tak postarzał, jakby mu ich dziesięć przybyło.

Nani wyciągnął do niego rękę z czapką milczący, a z za okularów łzawemi spojrział oczyma.

— A co? wyście też z powrotem! Hej! hej! paneczku! kogo to miasto raz, pochwyci tego już nie puści nigdy, podobno aż chyba na cmentarz. Patrzycie na mnie... hej! hej! widzę ja, widzę, myślicie: „Stary się posunął.” Ale i wam tak z oczu patrzy, jakbyście też niespełna byli szczęśliwi... A wasze teścisko... dobry człek... ot! po nim. Tak to z nami... mój dobry panie... aby do końca!!

Westchnął, splakawszy się starowina.

— Maćka wam pożyczam, rzekł; ale mi go oddacie, to moja jedyna pocięcha. Poczciwe chłopczysko! jeszcze z nim człek choć o swoim kraju pogada, wystęka się, to i na sercu lżej, biedy się zapomni.. A muszę też panu powiedzieć, że z niego będzie rzeźmieślnik jakich mało.

I poklepał go po ramieniu.

Maciek pocałował w rękę starego, ale już skoczył do gondoli, i byliby zaraz odbili od brzegu, gdyby ich z dala poznawszy, nie nadbiegł *il gran ladrone*, stary znajomy Zanaro, szlafmycą potrząsając w powietrzu.

— Eccelenza! eccelenza! wolał: a niechże mam to szczęście choć was powitać na ziemi ojców waszych znowu. Jakże zdrowie? jak humor i dola?

— Ano, jak widzicie... signor Zanaro... wzdychając rzekł Konrad.

— Pojmuję... zmartwienie z powodu zgonu tego nieoszacowanego kapitana Zenona—pokój jego zacnej duszy! tak! tak! szkoda wielka. Długów słyszę zostawił mnóstwo, więcej niż ich stara domina dźwignie.

— No? a u was, signor Zanaro... dobrze wszystko?

— Ja! eccellenza, mam metodę moją, żeby mi na świecie dobrze było... jest niechybna:—drwię sobie ze wszystkiego. Na świecie jak na morzu, dziś burza, jutro pogoda, wicher i cisza; o toż w burzę trzeba sobie mówić, że nie potrwa, a wśród ciszy spodziewać się wiatru.

— Wszyscy zdrowi?

— Chwała Bogu, ale jakże? byłeś eccellenza tu u nas, gdy pierwszą żonę utracił?

— Jak to? zmarła? spytał Konrad.

Zanaro skłonił głowę na piersi, ręce złożył, westchnął, i podnosząc oczy ku niebu, rzekł cicho:

— Powołał ją Bóg do swęj chwały; a nie ma co mówić, jeśli ją tak śpiewać będzie jak za młodu śpiewała... Głos miała śliczny... aniołowie dylettanci słuchać go będą z rozkoszą.

— Signor Zanaro już się miał czas powtórnie ożenić, rzekł szewc mruczając.

— Stój i nie sądz bliźniego twojego, nie chcesz-li być sądzonym, odparł Zanaro. Cożem winien, że we cztery tygodnie byłem zmuszony, mając nóż na gardle, ponowić śluby? A możeż być gospoda bez gospodyni? nie było podobna! Gdybyś zresztą wasza eccellenza chciał się pofatygować do slugi swojego i poznać nową żonę moją, oddalibyście sprawiedliwość gustowi mojemu. Jest to piękność znakomita... Między nami mówiąc, w gospodzie nieobojętną jest rzeczą piękna gospodyni... człek zawsze lubi patrzeć na arcydzieła bo-

że. Otoż moja ukochana Ludovisa... może się nazywać arcydziełem; Pan Bóg z Fidyaszem się musiał radzić, gdy ją miał stwarzać.

— Pozostaje wieszować tylko i złożyć życzenia, rzekł chcąc się go już pozbyć Konrad. Pokłońcież się i córce waszój, signor Zanaro, pięknej Madelonecie!

Na te słowa gospodarz Krzyża Maltańskiego skrzywił się i głową odwrócił.

— Nie wspominajcie mi o téj niewdzięcznicy! zawołał. Dziecko wyrodne!! ktoby się mógł był spodziewać! Nie miała lat piętnastu pełna! ale chytrość i przewrotność była nad lata! Wystawcie sobie ecce lenza, trzeciego dnia po ślubie moim z cudowną Ludovisą... pod pozorem, że macochy znieść nie może (a była to zazdrość niewieścia o piękną twarz mojego anioła), Madeloneta... szatańska, zabrawszy zręcznie wszystką gotówkę, klejnoty matki, srebro, suknie, ruchomości kosztowne, z podłym histryonem uciekła... słyszę do Bergama. Gdyby się z nią był choć ożenił, ale i to nie... Wydziedziczyłem ją na wieki.

Po ukończeniu téj historyi, mogła nareszcie gondola odpłynąć. Zanaro z szewcem poszedł powoli do Krzyża Maltańskiego.

Konrad zadumany siedział; Maciek patrzył mu w oczy, nie śmiał pytać, ale mu język paliła ciekawość.

— Już to, proszę ja pana—rzekł—teraz nie będę męczył, ale jak później, to mi pozwolicie popytać, co tam u nas się dzieje?... A! żebyście wiedzieli jak mi to pilno o wszyćciusieńkiem z panem się nagadać!

— Pogadamy... odparł Konrad z dobrodusznym uśmiechem... bądź spokojny, nie pożałuję ci słów... bo mi i samemu miło będzie choć myślał tam uciec na chwilę.

Przybywszy, znaleźli Cazitę już rozbudzoną... w słomkowym kapeluszu, w dawnych swych sukienkach wybiegła się witać z ogródkiem... z kwiatkami... ze starą cytryną i winną latoroślą u ściany... z kamikiem, na którym siadać była nawykła... z obrazkiem Madonny wmurowanym w płot zagrody. Śmiała się, śpiewała, gadała, ale czasem stawała zamyślona i łzami zachodziły jej powieki, trwoga jakaś i niepokój o ojca ogarniały ją.

Konrad zbliżył się do niej, usiłując przybrać postawę wesolą. Cazita uścisnęła go serdecznie i rozplakała się.

— Tyś nad wyraz dobry, rzekła,—a ja teraz wiem, jak tęsknić musisz do swoich. Ale wiesz... ciężki, straszny sen... przebudził mnie. Śnił mi się ojciec, straszliwie, okropnie blady, ze skronią skrwawioną, z piersią rozbita... boję się o niego. Jutro pójdziemy do *Salute*, damy na mszę, aby nam go Bóg powrócił.

Konrad nic nie odpowiedział, tylko głowy skiniem.

Ciotka już się nieco była ożywiła, wzięła Maćka w pomoc i krzątała się w zastyglój kuchni około obiadu, dobywała prowizye, wymyślała potrawy, cieszyła się, że kochaną siostrzenicę już będzie miała czém przyjąć. Czasem jednak odszedłszy do okna, ocierała łzę fartuchem...

Konrad rzucony znowu w ten świat, którego życie poślubił razem z Cazitą, dźwigać je musiał, ale po mężku. Wiedział dobrze, iż niecierpliwość i zżymanie się na losy po niewczasie, jeszczeby nieznośniejszymi uczyniły pęta, co go ścisnęły. Starał się

więc z twarzą, jeśli nie duszą wesołą, iść dalej, dobrze nie wiedząc, dokąd go miłość dla kobiety zaprowadzi.

Najprzód po eichu trzeba się było postarać o spłacenie długów ciężących na domku kapitana; napisał więc do starego Pukały, zaklinając jego, brata i siostrę, aby potrzebną summę w jak najkrótszym czasie mu dostarczyli. Nie było to tak łatwo, jak się zdawało, ale Konrad gotów był nawet zadłużyć wioskę, byle starą ową murowankę, którą jego żona tak kochała, ocalić. Strzegł też, pilnował, stróżował dokoła, aby wiadomość o śmierci ojca i rozbiciu się statku, do Cazity nie doszła. Było to dość trudnym, gdyż z każdym dniem niepokój o ojca się powiększał, domysły i smutki rosły, pytania się mnożyły, a nie wszystkich uprzedzić było można, aby milczeli.

Statek *Padre Antonio* niejedną już raz bardzo był długo w drodze, wieści nie dając o sobie. Zatrzymywany był wiatry przeciwnymi, oczekiwaniem na ładunek lub dalszą jaką wycieczką, ale zawsze o nim choć jakaś wieść przychodziła. Teraz Cazità naprózno biegła na wybrzeża, posyłała do marynarzy przybywających od Wschodu... nikt jój nie o nim powiedzieć nie umiał. Smutniała biedna w téj nieustannéj o ojca trwodze i nadziejach próżnych. Ciotka Anunziata powoli przychodziła do siebie, oplakawszy kapitana i wymodliwszy się za jego duszę. Cazità żyła jeszcze zawsze złudzeniem, które przez miłosierdzie nad nią pielęgnowano.

Tak dni płynęły w smutnéj teraz dla Konrada Wenecyi, na strzeżeniu Cazity i na długich z Maćkiem rozmowach.

Któżby się był mógł spodziewać, że ów biedny chłopak tak wielką będzie wygnańcowi dobrowolnemu pociechą? Z każdym dniem rosła, zwiększała się tęsknica jego do kraju... Nie chciał jęj pokazywać po sobie, ale gdy się z wyschłym od smutku Maćkiem zeszedł na piaszczystém wybrzeżu Lida, chodzili często całe wieczory, spędzali długie godziny, mówiąc nie wiedzieć o czém, byle kraj swój przypomnieć. Konrad tań dobrze cierpienie, udawał wesołość i swobodę, której w duszy nie miał; ale z każdym dniem ucisniony był mocniej nieprzewyciężonym bolem po utraconym domu i życiu własném dla tego zapożyczanego, obcego, cudzego. Wenecya całkiem mu teraz obrzydła; godził się z Maćkiem na wynajdowanie w niéj samych skaz, plam i niewygód... ale w domu przy Cazicie wszystko potrzeba było chwalić i ze wszystkiego się cieszyć. Cazitą, gdy ją trochę ominął niepokój o ojca, żyła swoją Wenecyą, cieszyła się nią, kwitła; a ile razy Konrad wspomniał o podróży, usta mu pocałunkami zamykała, nie dopuszczając nawet mówić o niéj.

Położenie to dla biednego wygnańca coraz się nieznośniejszém stawało... Pokój, szczęście, swoboda znikły z jego twarzy; dręczył się, marniał w téj walce mężkiej, którą wytrzymywał jak Spartanin, pożerany od zwierzęcia dzikiego, co mu piersi tajemnie szarpało.

Jedyną pociechą było — gdy Cazitą z ciotką gwarzyła wesoło — wyjść gdzieś daleko z Maćkiem i o swoim kraju pogadać.

Tęsknica karmi się wszystkiém, co spotka... tak jest zgłodniała i spragniona... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, którychby już nikt nie tknął. Maćciek był skarbem dla Konrada, choć niewiele z nie-

go dobyć można było... rozpytywał, przypominał i zawsze prawie jedno powtarzał.

Czasem tylko biedne chłopię od swojego pana, któremu służyło teraz wierniej niż kiedy, wymykało się do swojego majstra, aby tam języka dostać o Maryecie... ale słyhu nawet o niej nie było. Dawny kochanek Vittorini mieszkał w Wenecyi, prowadził życie wesołe i płoche; zdawał się wcale o nią nie troszczyć. Pilne śledzenie około pałacu do żadnego nie doprowadzało odkrycia.

I Nani też, który się był do chłopca przywiązał, przybywał czasem na Lido, gdy go przez dni kilka nie widział, aby się o nim dowiedzieć. Naówczas kupka tych ludzi razem wyszedłszy na ustron, przegawędziła często godzin kilka nie wiedząc o czém, ale zawsze o czémś swoim.

Dziwne to były rozmowy, zawsze prawie jedne, wiecznie się powtarzające, a przecież tak skuteczne, że na zbladłe twarze i zamilkłe usta wyprowadzały trochę rumieńca i żywe wyrazy. Maciek rozpytywał, Konrad odpowiadał, a Nani jeśli był przytomny, słuchał gwaru i niekiedy słówko swoje ze starszej przeszłości dorzucił. I parę godzin czasami spłynęło tak w słodkiem zapomnieniu terażniejszości.

— Mój jegomościuniu — rzekł jednego dnia Maciek do chodzącego po wybrzeżu Konrada — mój jegomościuniu, proszę ja pana, jeśli mnie spytać wolno, co my dalej robić będziemy?... Nie już tak życie całe dreptać po tym piasku i stękać?... a czego my się tu lepszego doczekamy?

Konrad spojrział na niego i ramionami ruszył.

— Czegożbyś ty chciał? spytał.

— Otoż to, proszę jegomości, że ja sam nie wiem, czego by tu chciał, żeby człowiekowi było lepiej. Pojechać precz z Wenecyi, to się człowiek znowuż po tój dyablicy zatęskni... a nuż ją kiedy sumienie ruszy, albo bieda przypędzi!...

— A gdyby? cóż? ożeniłbyś się? rzekł Konrad.

Maciek po głowie się skubnął, ramionami ściskając.

— Bogać to kto wie coby zrobił! jakby mi zapłakała, toby człek za nią w studnię skoczył!

Konrad się uśmiechnął tylko.

Pochlebca Maciek zaraz inaczéj pokierował rozmowę na tryb swój zwykły.

— E! proszę jegomości, która to teraz godzina?

— Dobrze z południa... za parę godzin to się ku zachodowi będącie miało.

— A tak, prawda, rzekł Maciek, — a dziś mamy jak obszył sobotę, to już jakbym widział co u nas w Robninie się dzieje. Ja myślę, że tam około siana musi być rozgardyas wielki, żeby je kiedy nie w stogi, to w kopice pościagać wszystkie, uchowaj Boże w niedzielę deszczu. Pukało krzyczy a lata... „Pośpieszajcie dziecil“... gumienny sobie na dereszowatym się zwija... Ano pewnie już ta łąka, co pod lasem, musi być pokoszona, bo o tój porze bywało czasem w stogach stoi... ino tę na ostatek zostawiają, co najdalsza, bo tamtęj tak nie psują szkodnicy i siano lichsze, choćby sloty przyszły, niewielka szkoda... Proszę jegomości, czy też Pukało zawsze w tym białym kitlu chodzi, co to, jak zapamiętam od dzieciństwa, służył mu na lato, a od prania się był pościagał, że ledwie go już mógł włożyć?

— A pewnie... odparł Konrad.

— Jakbym go wczoraj widział! mówił Maciek. Pewnie i klucze zawsze w tój samej kieszeni, a z drugiej czerwona chustka wisi jak bywało... A co czapczyzna wytarta, gdyby mu kto i darował nową, nie włożyłby inną... Jak sobie raz o gałąź rozdarł, a Murzynowska mu ją zacerowała... tak po dziś dzień...

— Jak ty to wszystko pamiętasz!... westchnął Konrad.

— A! proszę jegomości! ja dalipan nie wiem, dał Maciek—zkał się to mnie bierze, a jak człowiek zacznie dobywać, dobywać, wszystko znajdzie eo kiedy przypadkiem do głowy mu zaleciało, do ostatniej odrobinki... Żeby tak malować umiał jak ci, co to po kościołach i wielkim dworze (pałac Dożów) malowali, toby tak rychtyk namalował gdyby żywych i starego Pukałę z podstrzyżonym wąsem siwym, i Murzynowską w czepcu białym z chusteczką żółtą w szafranie farbowaną i szlafroku cycowym wzorzystym, i dobrodzieja w sutannie wytartej na łokciach i kolanach,—at! at! i wiele ich tam jest... wszystkich...

A czy my tam jeszcze kiedy powrócimy? gwarzył Maciek. Żeby człek choć gdakanie starego zegara posłyszał, toby był szczęśliwy, wszystkoby się zapomniało, a splunąwszy na mare, możeby i te przekłete czarne oczyska z pozwoleniem, tój małpy... poszły precz... i co się człowiek dla nich wycierpiał...

Umilkli na chwilę.

Potém Konrad przypomniał, jak Mačka nieraz brał na polowanie, jak stawali kędy słomki ciągnęły, jak się zasadzali na cietrzewie i głuszcze.

Maciek znów wpadł na zime, i sanna i kuligi, na kolędy Bożego Narodzenia, co je z rzemieślnikami odprawiał, na figle płatane staremu Pukałemu, który

wycia psów cierpieć nie mógł, a chłopcy udając je pod jego oknem, uspokoić mu się nie dawali. Co wyleci stary z bizunem na podwórze, a skropi psy niewinne, które skowycząc pouciekają, to za chwilę nowy koncert pod oknem, ale nim Dalifur z dyscypliną wyskoczy, już chłopcy po wyżkach i chlewkach... Trafło się, że i Murzynowskię napędzili strachu, bo wierzyła w duchy, to jój do okiennic pukali nieraz... że nieboraczka świecę po północy zapalać i do różańca uciekać się musiała.

— Żebym ja miał rozum, kończył poufale rozgadując się Maciek, byłbym ja ludzi posłuchał... Taż to proszę jegomości, stręczyli mnie wszyscy Kachnę, kowala córkę, tę, co potem poszła słyszę do miasteczka za stolarza, a była dziewczyna niczego, prawda takich bestyjskich oczu nie miała, ino siwe, spokojne, co jak się popatrzy, to człowiekowi jakoś jakby na sen się zbierało, ale porządna, stateczna i pobożna... I ojciec słyszę nie był od tego, i ludzie zmawiali, i ona się uśmiechała niekrzywo do mnie, ale widać woli bożej nie było. — Albo proszę pana Maryśka, ta co gumienny ją wziął, niczego i ta... miała trzysta złotych swoich własnych po ojcu, i odzież bardzo porządna, i sama gładka a rezolutna jakby z miasta. Ta mi nawet była do serca przypadła, i nosiłem jój jabłka i orzechy, i omal co do pierścionków nie przyszło... kiedy gumienny przypadł i zmówił... Słyszę nawet gadała, że byłaby mnie wołała...

Pomiarkowawszy się Maciek, że zbyt może się rozgadał, zatrzymał się nagle.

— Ale co ja tam pana będę tém nudził!

— Praw Maćku, nic nie szkodzi...

— Ano, już dość, zawołał chłopak: człowiek jak się rozgada, rozmarzy, to mu się potem całą noc mary snują po głowiznie... a tu już żywej biedy dosyć, żeby jeszcze sobie senną samemu gotować...

W takim życiu tęskliwém przerywaném chwilami cichego zapomnienia u boku Cacity, płynęły miesiące... Konrad w oczach nikł, sechł i bladnął; postrzegli to wszyscy, że na zdrowiu źle było, ale się ani czuł chorym, ani na cierpienie uskarżał. Świat tylko powoli cały mu obojętniał... ochoty do życia coraz bardziej brakowało.

Cacità coraz dla niego była czulszą, wiedziona jakby przecuciem jakiéms i obawą. On zawsze równie był w niej zakochany, ale milczący, przygnębiony, jakby zrezygnowany na los, który go spotkał.

Brak zajęcia także przyczyniał się do zwiększenia strapienia. Brał książki do ręki i rzucał, szedł oglądać miasto i wracał nic nie widząc, jeździł z rybakami, a zamyślony na pokładzie przesiedziawszy kilka godzin, budził się jakby ze snu, gdy nazad do łądu przybili.

Pieszczoty żony nic nie pomagały; słodkie jój szeptu koily chwilowo tęsknicę, powracającą coraz gwałtowniej do serca.

Maciek, który już znał usposobienie pańskie, jak skoro go zobaczył wysuwającego się na odludne wybrzeże, szedł za nim po cichu, powoli od słowa do słowa zaczynała się rozmowa o domu, co to tam oni teraz robią? Pukało, Murzynowska, ksiądz (proboszcz, stary zegar w sieniach, stary pies podwórzowy, konie stajenne, wierzchowiec jegomości...

Godzinę i dwie pan i sługa opowiadając na przemiany, usiłowali zapomnieć terażniejszości.

Konrad nie miał w sobie siły, aby się z niej wyzwolić; naostatek tak podupadł na zdrowiu i humorze, iż i ciotce Anunziacie oczy otworzyły się acz nie-rychło.

Poszła raz za nim do ogrodu, i siadłszy na kamieniu pod rozpiętą winną latoroślą, rzekła do niego:

— No, dosyćśmy już téj biednej Cazity strzegli, czas przecię z tego wyjść, nie można tak całe życie taić przed nią śmierci ojcowskiej i zostawiać jój w ciągłych nadziejach i złudzeniach...

— Niech się dowie, jak Bóg da; ale ja nie mam serca jój trapić, rzekł Konrad; wy jój też pewnie sami powiedzieć się nie podejmujecie.

— A! uchwaj Panie Boże! odparła żywo ciotka. Ale gdyby Tora spotkała...

— Róbcie sami co się wam zda, zakończył Konrad; ja się do tego mieszać nie chcę...

Rozmowa ta wieczorna skończyła się łzami ciotki Anunziaty, nie doprowadziwszy do niczego. Nazajutrz rano Cazita wstała z rozjaśnionem obliczem na podziw wesola. Przybiegła w cień, gdzie ciotka była śniadanie na podwórku przygotowała, ożywiona, z oczyma błyszczącemi, niespokojna, lecz dziwnie wesola.

— Ciociu! mężul zawołała zbliżając się: wiecie? wiecie?... doskonałe nowiny... ojciec — ojciec...

Tu Konrad i Anunziata spojrzeli na siebie z politowaniem.

— Ojciec się zbliża, powraca...

Anunziata zebrała się na odwagę uczynienia jój kilku surowych prawie przestrog, aby w sny i ma-

rzenia nie wierzyła, dodając nawet śmiej, że wszyscy w Wenecyi źle o losach kapitana wróżą.

Ale Cazità ruszyła tylko ramionami, spoglądając na ciotkę...

— Nie śmiejcie się ze mnie, rzekła,—nie dziwujcie mi się. Kochał kto z was kiedy jak ja ojca, jak ojciec mnie? O! nie! wy tego znać i pojać nie możecie, co to miłość dziecięcia dla takiego rodzica, który mu matkę zastąpił, wynosił na rękach, przy sercu!... On i ja, mieliśmy jakby jedno wspólne życie; gdyby umarł, jabym poczuła, jakby mi mojego pół ubywało. Słuchajcie! zawołała z błyszczącymi oczyma natchniona. Ja wiem wszystko od dawna, widzę, choć mi nikt nie mówił; wy sądzicie, że statek się rozbił, że ojciec utonął, wam to mówili ludzie, a wy uwierzyliście ślepi... To fałsz! On żyje... ale przebywał i przebywa ciężką dolę... Był raniony, topiony, o mało nie utracił życia... wszystko zwyciężył, ażeby do mnie powrócić. Ten, który był sprawcą nieszczęść jego, pierwszym ich powodem,—znajduje się tu w Wenecyi. Czuję to... sprawiedliwość nie minie, powłoką go na Piazzettę... i głowę mu utną.

— Kochana moja, przerwał jój Konrad prawie ze strachem: ty marzysz, tworzysz sobie sny i widzisz, ludzisz się niemi, życie spędzasz w tych urojeniach, nabijasz sobie niemi głowę...

Cazità tęsknie zbliżyła się do niego i pocałowała go w czoło.

— Nie broń mi, szepnęła,—nie gniewaj się na mnie, bądź cierpliwy... przekonasz się, czém jest serce córki i jak silnym węzłem wiąże miłość dziecięcia. Bądź dla mnie tak dobrym do końca jak byłeś.

Konrad zamilkł pokonany, ale ciotka gderać zaczęła.

— Już pewnie rodzona matka nie kocha mocniej córki, niż ja ciebie... Tałam przed tobą wszystko, chcąc cię przygotować... ale nie czas się ludzić... Ojciec twój nie żyje... statek się rozbił... Jeden z jego majtków ocalał tylko... jest tutaj.

— Który? gdzie? szybko zawołała Cazitą. Pokażcie mi go... potrzeba uwięzić, to zabójca!

I Konrad, i Anunziata zdziwili się gorącości, pewnością, z jaką to wymówiła. Cazitą niezłęknioma bynajmniej, stała drżąca tylko niepokojem, aby się jój ten człowiek nie wymknął... O ojca zdawała się być spokojną.

Napróżno teraz starali się już całą przed nią odkryć prawdę... miała przecucie, widzenie, jakąś pewność, której nie zachwiać nie mogło. Konrad za ledwie potrafił jój wytłómaczyć, że żaden sąd w świecie na snach opierając się, majtka ocalonego pociągnąć nie mógł. Cazitą zamilkła wreszcie, palcem pokazując niebo.

— Bóg sprawiedliwy, zawołała: zobaczycie, ja więcej wiem od was... ja widuję ojca we śnie, co dzień mam wiadomość o jego zbliżaniu się do nas... on jedzie i lada chwila tu stanie... jam pewna...

Nie chciała słuchać nic więcej nawet. Ciotka Anunziata trochę słaba i przesądna, uczuła się zachwianą i gotową już uwierzyć w te przecucia i widzenia... zamilkła. Konrad postanowił też zostawić wszystko czasowi.

Tak znów upłynęło kilka tygodni jednostajnym zawsze życiem. Konrad chodził na rozmowę ze swym chłopakiem, Anunziata się modliła, Cazitą wysiady-

wała u brzegu morza, przyglądając się przybywającym okrętom, upatrując statku, który miał ojca jej przywieźć.

— Ty marzysz dziecko moje, rzekła jej raz ciotka,—marzysz o ojcu, choć go nie ma na świecie, a tego nieszczęścia, które ci grozi, na które codzień patrzysz, nie widzisz... Ależ to ten biedny twój Konrad z tęsknoty po swoim kraju, z nudów czy ja tam już wiem z czego, w oczach nam ginie... Przypatrz-no ty się jemu uważnie, co się z niego zrobiło!... On wysychł, wymizerniał, pobladł, niszczał tak, że ledwie się w nim duch trzyma... a pocziwe człeczysko ani się odezwie.

Cazità uderzona została słowami ciotki; dopiero teraz jakoś postrzegła, że pocziwy Konrad od niejakiemu czasu chodził już tylko jak cień i widmo młodości... poczęła płakać, ręce łamać i wołać.

— Cóż począć? co począć z nim?

— Ja nie poradzę, szemrała Anunziata: jakeście wy tam razem, to ty umierasz z tęsknoty, jakeście tu, to on... głowa pęka, a środka na to nieszczęście znaleźć nie można...

Kobiety popłakały się obie; Cazità wszakże na chwilę przypuścić nie chciała, ażeby mogli rzucić Wenecję, teraz zwłaszcza, gdy ona tu oczekiwała powrotu ojca, zawsze będąc przekonana, że on lada chwila się ukaże. Sny, widziadła, przestrogi, powtarzały się teraz coraz częściej, wyraźniej, a było w nich to szczególnie dziwnego, że się zgadzały w osobliwszy sposób z niektórymi okolicznościami, o jakich wspominał Toro. Uderzyło to i Konrada.

Jednego poranka, Maciek, który był w mieście, pobiegł co żywiej od brzegu do pana swego, oznajmując

mu, że słyszał na Rivie między gondolierami, iż staro Tora z rozkazu sądu zbiry poprowadzili do więzienia, jako oskarżonego przez kogoś o bunt i zabójstwo kapitana Zenona. Konrad zakazał o tém mówić Cazicie, ale niespokojny, natychmiast sam popłynął się dowiedzieć.

Pierwszy, którego spotkał, Zanaro, powitał go powinszowaniami i okrzykami ze zwykłą sobie górnotną deklamacją, opowiadając, iż z Korfu przybyli marynarze widzieli tam ocalonego cudownie kapitana Zenona, a w skutek jego zeznań, zbiry pochwycili majtkę Tora, który do spisku na życie Zenona należał, a podobno nim przywoził.

Zanaro dodał, że wedle krążącej po mieście powieści, Toro namówił był załogę statku naładowanego bogatym towarem na zabicie kapitana, a uprowadzenie ładunku do jednego z portów tureckich, gdzie mieli się sprzedaną podzielić zdobyczą, i poturczywszy się, osiedlić. Zeno został przez nich nocą napadnięty, po bohaterskiej obronie zabity uderzeniem w głowę i rzucony w morze. Ale Pan Bóg pomścił krzywdy jego. Korsarze napadli żeglujących, którzy nie umieli się im wymknąć, i wszyscy w niewolę zabrani zostali. Toro jeden potrafił się później ratować ucieczką. Ciało kapitana Zenona wyniosła woda na brzeg, gdzie cudem do życia przyszedł po długiej słabości, pielęgnowany w niej przez litościwego rybaka. Dostał się potem na wyspę Korfu, i miał lada moment zjawić się w Wenecyi, ale wiedząc przez marynarzy o ocaleniu Tora, wprzód go zaskarżył, aby go ująć czas miano, nimby dowiedziawszy się o nim, uszedł.

Konrad słuchając, bladł i truchlał, przekonywając się, jak owe przeczucia i sny Cazity, z których się

naśmiewali, były wieszczami. Chwili nie tracąc popłynął nazad na Lido, ale zastał żonę rozpromienioną, i już jakby wiedzącą o wszystkiém, bo znowu miała we śnie widzenie.

Anunziata o mało nie zemdląła z trwogi, dowiedziawszy się, że jej siostrzenica w istocie wyprorokowała wszystko.

Znajomi i przyjaciele Zenonów rodziny, przybywali teraz jedni za drugimi, cudownego ocalenia winszując. Cazīta promieniała szczęściem; Konrad nawet ożywił się był na chwilę, ale wesele jego wprędce ustąpiło dawniej obojętności.

Trzeciego czy czwartego dnia potém, przybył okręt z Korfu. Od Rivy de Schiavoni cała processya gondol, tłumy ludu prowadziły kapitana Zeno na Lido. Cazīta wypłynęła naprzeciw niemu.

Radość była nie do opisania wielka i powszechna... a że poczciwy kapitan lubiony był bardzo, zrobiono z tego prawie uroczystość miejską. Cały ten dzień Lido było pełne; dom nie mieścił gości.

Radość córki dochodziła prawie do szalu... Anunziata rozповідаła o cudzie, głowę tracąc.

Zeno był zdrow, ale straszliwie zmieniony i zestarzały; choroba go wycieńczyła, posiwiiał, ogromną bliznę miał na skroni i piersiach, a wytrwałego zdrowia zahartowanego marynarza śladu nie pozostało. Chodził o kiju, z oczyma wpadłemi, cały drżący.

Dopiero późno w noc rodzina się sam na sam znalazła w cichym domku, a Zeno po raz setny powtórzył jej swoje dziwne przygody, swoją śmierć, gdyż można powiedzieć, że z tamtego świata powracał, i powolne, dzięki litościwemu rybakowi ubogiemu, zmartwychwstanie. Klęskę jednak niepowetowaną nietylko

na zdrowiu poniósł... majątek też niepowrotnie był stracony... Zeno ścisnął dłoń Konrada, który mu dach na starość zabezpieczył swém poświęceniem.

Postrzegł on także, rozpatrując się w swym zięciu, groźną na jego twarzy zmianę, ale o tém nie rzekł słowa.

Trochę wesela zawitało znowu do domku na Lidu. Cazīta zwycięzka ożyła... Na krótko wszakże... Konrad gasnął... ludzić się nie było podobna... Widzieli to wszyscy prócz niego samego. Przestrzegany śmiał się, ruszał ramionami i zapewniał wszystkich, że się ma najlepiej, że lekkie tylko czuje osłabienie.

Pieszczoty i troskliwość żony zaradzić nie mogły złemu... uśmiechał się do niej, uspakajał ją, milczący wszakże najczęściej znaczną część dnia spędzał na samotnych przechadzkach. Czasem Maciek mu jeden towarzyszył.

Po milczeniu długiém, Konrad się zwykle do niego obracał, uśmiechnięty łagodnie, zapytując:

— Maćku, co tam się u nas dzieje?

Naówczas chłopię zbierało myśli, i usiłując odgadnąć, powiadało coś o Robninie, o starym Pukale, o gospodarstwie i dworze.

Listy przybywające ztamtąd Konrad chciwie czytał i na piersi je nosił. Ale mimo widocznego stęsknienia nie użalał się nigdy, nie okazywał już nawet gwałtownej chęci powrotu.

Bacne oko starego kapitana postrzegło wreszcie, że nie było na to innego ratunku nad powrót, a przynajmniej podróż do kraju, z któregooby nowego zaczerpnął życia. Cazīcie wszakże nie chciało się opuszczać ojca.

I ona jednak w ostatku oplakawszy tę myśl samą, gotowała się do spełnienia obowiązku.

— Pojedziemy do Polski! szepnęła mu na ucho jednego wieczoru, gdy razem w ogródku siedzieli.

Konrad zdawał się zdziwiony mocno i raczej wylekły niż uradowany zapowiedzią.

— Tak! powtórzyła Cazitą: pojedziemy do Polski. Zbierz siły, pomyśl o środkach, jam gotowa... Żal mi ojca opuszczać, ale pojedę z tobą.

Konrad ścisnął jój rękę i pocałował ją w czoło, nie nie odpowiadając. Głową tylko powoli potrząsnął.

— Dziękuję ci, odezwał się po chwili obojętnie: tak! tak! kiedyż pojedziemy?...

— Zaraz, odparła Cazitą.

— Zaraz... nie... niepodobna... naciesz się ojcem, zawołał Konrad,—ja poczekam.

Trochę też od téj chwili poweselał; mówili z Maciekiem o wyborze w drogę, o podróży, o powrocie i jak tam w domu zastaną.

— To jakbym widział, proszę jegomości, rzekł Maciek. Dalifur wyleci z łysą głową bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. „Pan! pan! pan nasz!“ A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu... wszędy radość, wesele... Nazajutrz wójt ze starszymi powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił! drzewa szmerzą: pan... bociany krzyczą: pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha! Tylko stary indyk napyrzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc... a ja go po czerwonym nosie: „Masz trutniu!“

Maciek się tak zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędee odpadła go fantazyja. Pan śmiejąc się zakaszłał mocno, musiał na lawce przysiąść; pełną krwi chustę odjął od ust. Krew zaraz potém rzuciła się raz drugi. Powłókł się do łózka... Cazità siadła przy nim; zdawał się jój nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek N. Panny z konfederackim ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy-niekiedy lzy mu poszły z powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił.

Cazità nie odstępowała go na chwilę... całowała ją w ręce, przyciskał do piersi, pocieszał.

— To nic, to nic, mówił,—to z powietrza mi przyszło, ale po wypoczynku przeminie. Nie frasujcie się... bądź wesola, popłyn z ojcem na przejażdżkę, to cię rozerwie.

Tegoż wieczoru w istocie Zeno zabrawszy córkę i Anunziateę, a sądząc, że Konradowi spokój był potrzebny, wybrał się z niemi na Murano do dawnych znajomych. Ledwie odplynęła gondola, Konrad wyjrawszy oknem, zawołał na Maćka żywo.

— Słuchaj chłopcze, słuchaj! a spraw-no mi się dobrze. Płyn mi zaraz do klasztoru *Frari*,. spytaj o *Padre Serafino*, a proś odemnie, aby tu przybył, bo się z nim... dodał ciszej—potrzebuję rozmówić.

Maciek spojrział panu w oczy niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął.

Przez ten czas, gdy nikogo w domu nie było, Konrad się drżącemi rękami przeodział w bieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i postawę

weselszą. Stojące przy sobie w szkatułce przejrzał papiery, podarł niektóre, uporządkował inne i czekał.

Nierychło chód posłyszał na wschodkach. Ojciec Serafin wchodził powoli z chłopakiem, a spojrzawszy na leżącego, odgadł od razu po co go wezwano. Po przywitaniu cichém, ujął za rękę chorego.

— E! e! rzekł: młodości jeszcze w tobie wiele, dziecko moje, przyjdiesz do zdrowia, nie trać jeno otuchy.

— Ale mi dobrze, ojcze, i zdrów się czuję, tylko trochę zesłabły, rzekł Konrad. Nie sądzicie, że sobie co przypuszczam, albo się lękam... Ot tak... dawnom nie był u spowiedzi, chcę się z sumieniem porachować...

Dość długo trwały zbolalój duszy zwierzenia, a ojciec Serafin pozostał przy łóżku chorego.

— Gdy moi powrócą, szepnął Konrad — nie mówciez im, żem was sam wzywał; powiedzcie, że przybyliście sami pozdrowić starych znajomych.

Kapucyn głową tylko potrząsł.

— Nie doczekam ja ich tu, odpowiedział: zajadę jutro rano... dziś mnie tam w klasztorze potrzeba...

Konrad ucieszył się, widząc, że odjeżdża; wsunął mu w rękę jałmużnę; rad był, że powracający go nie zastaną.

Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? zapytał Konrad.

— O! już słońko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak. Bydelko powróciło z paszy, Pukało obszedłszy obory, idzie, „Zdrowaś“ mrużąc, na folwark do wieczery... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamy-

kać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek. Żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... Cicho! cicho! tylko ode młyna turkot słyhać, jak tam koła szumią i tarkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... „Na Anioł Pański” dawno przedzwonili.

— A we dworze? spytał Konrad.

— Pustka panie.

— Zegar idzie?

— O! ten to się nie zająknie pewnie!

— Która godzina? począł Konrad...

— Ciemno dobrze... ino nie wiem—dodał chłopak czegoś przelekły—czemu oni nie powracają?

— Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

— Może świecę zapalić?

— Tak dobrze... słabym głosem zawołał Konrad—przed N. Panną; zmówimy konfederacką litanię... Ale spojrz-no: czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę. Dziwnie mu się bladą wydała twarz pana; dziwne, straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha; myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gondoli,—ale do kata cicho było jak w grobie.

Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego.

Podniosły się powieki ciężko.

— Maćku—rzekł—co tam w domu?

— Śpią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka. Konrad chuda, koścista

rękę dobył z pod okrycia poszukał w około i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, rzekł—abyś miał o czém powrócić do domu.

— A! mój panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł! i daj mi rękę... taki dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł, pokląkł przy nim.

— Co ty się tam trwożysz! począł Konrad: nie ma czego. Jam zdrow! mnie już dobrze... tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj ęo naszego... po cichu... ja się zdrzemię.

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się. Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrział na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem:

— Słuchaj: co tam się stanie ze mną, w woli bożej. Jeślibyś został sam, nie mieszka tu dłużej, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepiej, nawet z samotnością i nędzą... Porzuć swego starego, albo go weźmiej z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu lzy pomagają! wyszeptał chory. Nie masz czego jeszcze płakać... to babska rzecz... wstydz się...

A po chwili znowu spytał:

— Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? Wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc, jak u nas...

— Tak! u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... Chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdał usypiać powoli; ale oddech ten coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słyhać już nie było...

Bo nie było już i duszy Konrada na tym świecie.

EPILOG.

Przed gospodą *Croce di Malta*, stał z rękami na pulchnym brzuszku założonemi *il gran ladrcne*, z twarzą wypogodzoną, czystém sumieniem i dobrze nabitą kaletą, z obliczem krągłym i lśniącym człowieka, który tyle chodził około kuchni w życiu, że nie mógł się w niej smaczno jeść nie nauczyć.

Ożenienie nowe widocznie go odmłodziło; usta się uśmiechały, rumieniły policzki, tylko po zbyt krzaczasto rozrosłych brwiach i kępkach włosów siwiejących na uszach, poznać było można, że Zanaro nie piętnastą, a nawet nie trzydziestą już przeżył wiosnę. Zresztą ruchawy, żywy, biegający często, aby dowieść, że lekki jest jeszcze i zwinny, i że mu otyłość nie wadzi, Zanaro tém troskliwiej odegrywał rolę młodzieńca dojrzałego, iż czuł się do tego obowiązany, mając tak piękną, młodziuchną żonę.

Wiadomo bowiem było wszystkim na wybrzeżu słowiańskim, ba! i dalej zamieszkującym, i w ogóle

tym, co się do signora Zanara, choćby na kilka minut tylko zbliżyć i mówić z nim mieli zrećność, iż signora Ludovisa wyglądała jak Flora Tycyana, mąż bowiem chlubił się nią nieustannie i wchodził nawet w zbyteczne szczegóły, opisując jej nieporównane wdzięki, których był zapalonym wielbicielem.

Tym razem jednak snadź nie o żonie była mowa, bo jej pochwały śpiewać był zwykł tonem żartobliwym i wesołym, a na twarzy signora Zanara malowała się niezwykła powaga i zamyślenie; usta miał nieco odęte, czoło posępną powleczone zasłoną. Obok niego stał chudy, kościsty, stary Kapucyn, ksiądz Serafin, dawny znajomy Zanarów, i bodaj nie całego miasta. Dalej jeszcze gruppowało się kilkanaście głów ciekawych, przyjezdnych gości, dla których właśnie opowiadanie gospodarza musiało być przeznaczone, i kilku domowników z pod Krzyża, i kilku głośną rozmową przywabionych przechodniów.

Zanaro opowiadał, przerywając sobie niekiedy głosnemi westchnieniami z szerokiej piersi wyrrywającemi się, naksztalt sapania kowalskiego miecha, i wykrzykami: *Ecco! spettate.*

— Tak jest, tak jest, mówił powoli do zgromadzonych słuchaczy: są tajemnice i przeznaczenia niepojęte, są wypadki zdumiewające, które chyba na tamtym świecie wytłómaczą się dla człowieka. To jednak pewna, że ja miewam niesłychane przecucia. Kiedym raz pierwszy ujrzał na ląd wysiadającego tego człowieka, z taką dobrą miną, z takim w sobie zaufaniem, z tą szlachetną postawą, coś mnie tknęło zaraz, że go tu spotka nieszczęście.

— Z czegoś tak wnioskował? zapytał Kapucyn.

— Z bardzo wielu rzeczy i tajemnych znaków, Najprzód dla tego, że wylądowywał właśnie dnia trzynastego czerwca, który jest dniem feralnym, a wiadomo wszystkim uczonym, iż są dni feralne, tylko nie każdy posiada jak ja spis tych dni, których strzedz się należy, aby w ciągu ich nic ważnego nie przedsiębrać... Ecco! powtóre, przyjaciel mój dobry, Beroni, człek niesłychanie mądry, a przechodzący nauką wielu professorów padewskich, chociaż był całe życie tylko ubogim bakałarzem szkółki w kwartale San Giorgio... pokój duszy jego... (Zanaro uchylił szlafmocy),—Beroni powiadał mi, że nie ma nic nieszczęśliwszego, niż gdy człowiek, który kraj swój opuści i wyrzeczy się go, albo sam lub następcy jego powrócić do niego zamierzają: niechybnie naówczas powie-trze samo ich zabija.

— Zanaro, synu mój! przerwał Kapucyn: Beroni i ty, prawie wierutne głupstwo.

— Ojcie szanowny, zawołał Zanaro, całując rękaw habitu ojca Serafina: to, cò ja powiem, zwiędziecie jak chcecie, ale szanujcie Beroniego, dla którego mam weneracyę największą... Był to rzadki człowiek!.. Nikt się na nim nie znał, prócz mnie!

— Mówcież dalej, signor Zanaro, ozwał się głos niecierpliwym, jak to było...

— Historia nader ciekawa, a godna, by ją dla potomności zapisały kroniki weneckie... tragedia, że tak rzekę... mówił wzdychając gospodarz. Ecco!

Młody ów Polak miał còś w sobie, co zwiastowało, że go złe jakieś spotkać musi. Na swój wiek był do zbytku poważny, zamyślony, wstrzemięzliwy a namiętny w duszy... Zaraz płynąc tu do Wenecyi, na statku *Padre Antonio* poznał się i pokochał

szalenie piękną nadzwyczaj Cazītę, córkę kapitana Zenona. Gdyśmy się o t'm dowiedzieli, a raczej domyślili tego, gdyż Polak ów, Wenecyanin razem, był nadzwyczaj skryty, powiedzieliśmy sobie, ja, nieboszczka pierwsza żona moja i ta niegodziwa a przebiegła Madelonetta... (która już naówczas choć nie miała lat piętnastu, dobrze w oczy mężczyznom patrzała...) „Źle być musi... źle! źle!“ Był bowiem tak oszalał z tój nagłej miłości, która go pochwyliła jak choroba, że na żadną więcej kobietę patrzeć nie chciał. Była tu naówczas signora Zenobia Boccatorra, śpiewaczka pysznej piękności, jak dzisiejsza żona moja (lubo ta ją bogactwem form i świeżością kolorytu o wiele przechodzi)... leez ani na nią, ani na uśmiechającą mu się Madelonette, dziewczkę nieszpętną i piętnastoletnią... spojrzeć nawet nie raczył... *Ecco!*

Na Lido raz wraz do kapitana Zenona... A miał z sobą chłopaka, wyrostka, który też nie tracąc czasu, znalazł sobie na Merceryach szewcównę, córkę Naniego, o którym wieść chodzi, iż był także Polakiem... i w tój się też do szaleństwa zakochał, choć podówczas całemu miastu oprócz ojca wiadomo było, że Vittorini, o którym zaraz obszerniej powiemy, dawno był ją zbałamucił.

Cazītą, córka kapitana Zenona, mówił dalej Zanaro— z pomocą Anunziaty, ciotki swój, rzuciła urok na bogatego Polaka... Tak jest panowie! był to urok, a może nawet dały mu pić jaki filtr miłosny, gdyż stare niewiasty są w tych rzeczach bardzo biegłe... przekonał mnie o t'm Beroni.

Odprawiono zaraz Sabronego, narzeczonego Cazīty, któremu Anunziata zaswatała wprędce piękną Giulię (między nami mówiąc, na jego nieszczęście...). Polak

się piorunem oświadczył i ożenił... Wszyscy naówczas mówili mi: „Signor Zanaro... fałszywy wróżbicie, otoż widzisz jak się to wszystko złożyło szczęśliwie...” A jam odpowiadał z głęboką wiarą w wielkie prawdy, których mnie nauczył Beroni: „Czekajcie, a patrzcie końca!”

Cóż się dzieje!.. Polak z Cazitą jadą do jego kraju, chłopak zakochany zostaje w Wenecyi przy Nanim i ma się żenić, a ja patrzę i powtarzam: „Czekajmy, a patrzmy końca...”

Niedługo czekałem: jak luną nieszczęścia... Matko Mitosierdzia! sprawdziły się przepowiednie moje do ostatniej kropelki.

— Jak? szanowny panie Zanaro...

— Zaraz opowiem wam to, poważnie ciągnął gospodarz. *Ecco!* Niedługo zabawiwszy w Polsce, przyciągnął, aby się wyroki spełniły, Polak ów do Wenecyi z żoną... Tymczasem kapitan Zeno ze statkiem swym przepadł... ani wieści, miano go za umarłego... odprawiali nawet za niego nabożeństwa żałobne, świadkiem ojciec Serafin... a nabożeństwa te, zdaniem teologów, jeśli na drugim świecie nie zastaną duszy, dla której były przeznaczone, idą do powszechnej skarbony, dla najpilniej potrzebujących dusz czyscowych, gdyż nic przepaść nie może...

Kapucyn głową kiwał potwierdzająco.

— Gdy Polaka powracającego ujrzał, mówił Zanaro—utwierdziłem się jeszcze w mniemaniu, iż czeka nas rozwiązanie jakiegoś straszliwego... Miał na czole wypisaną śmierć i niedolę. Chłopcu też jego szewca nie lepiej się działo. Pchnięty był nożem z rozkazu Vittoriniego, ledwie się wyskrobał, a dziewczeczka od niego i od ojca uciekła i skryła się... Słuchajcie pa-

nowie, tu się dopiero poczyna pełna cudowności przygoda krwawa i łzawa.

Zanaro otarł pot z czoła... upajał się widocznie wymową własną.

— Na raz zabity kapitan Zeno powraca i zmartwychpowstaje! Znowu zły znak... upiór z drugiego świata widocznie... za zabójstwo jego schwymany Toro, ścięty na placyku pod czerwonym ślepem graczów... początek rozlewu krwi... Ale to jeszcze nic... nie... *ecco!* słuchajcie! Ów szczęśliwy małżonek Polak, ukochany Cazity, poczyna schnąć w oczach, usychać, więdnąć jak drzewo podcięte, jak ryba wyjęta z wody... i najniespodzianiej kona... *ecco!* Młoda małżonka oddaje się niepomiernej żalości... ludzie wszyscy prorokują jój śmierć... Rzuca nieboszczykowi włosy obcięte... nader zły znak, którzy wszyscy mają za dowód przywiązania, a jest wróżbą rozbratu... włosy bowiem, mawiał Beroni, mają w sobie siłę rozprzegającą... Chłopak, który był sierotą pozostał po Polaku, szaleje po nim... całe dni i noce spędza płacząc na mogile swojego pana na Lido... jak pies wyje po nim i lzy leje... Napróżno stary Nani stara się go uspokoić, pocieszyć...

Przechodzi czas jakiś; bolość żony Polaka, młodej i pięknej Cazity, powoli się uśmierzać zaczyna. Mówiono z razu, że miała wstąpić do klasztoru, ale ja wcześniej szeptalem, patrząc na jój wcale ładną twarzyczkę, że raczej do zakonu Adama i Ewy jest przeznaczona... Dodajcie, iż Polak kapitana długi popłacił, a signora Lippi uchodziła za wcale majątną wdówkę.

Po pewnym czasie umiera kapitan, ojciec Cazity, która pozostała sam na sam ze swą ciotką Anunzia-

ta. Pogrzeb mu sprawili, nie można powiedzieć, wspa-
niały, a godny patrycyusza. — Ale wdowa i sierota
w żałobie poczęła się z ciotką pokazywać na odpus-
tach... cała w czerni, co jeszcze podnosiło jęj wdzię-
ki. Młodzież za nią szalała... Zobaczył ją widocznie
w kościele, choć rzadko do kościołów uczęszczał, ten
balamut Vittorini, który córkę Naniego z domu rodzi-
cielskiego wykradł, a raczej odbił w drodze, gdy ją
do klasztoru wieziono. Zakochał się...

Powoli przyszło bliższe poznanie się, podoba-
nie, aż i projekt małżeństwa... *ecco!* słuchajcie...

Tymczasem ów chłopak od szewca siedział na mo-
gile swojego pana... Jednym razem przychodzi do niego
stary Nani i powiada mu: „Słuchaj chłopcze, a miał
imię Matia... słuchaj Matia... twoja ulubiona, a moja
córka, piękna Maryetta, powróciła pod dach rodziciel-
ski, żalując grzechów swych przeszłych... domaga się,
abyś i ty żałobę swą skończył.. widzieć cię pragnie...

Z razu chłopak, któremu pewnie także zadano filtr
jakiś, dość się opierał, nie chcąc widzieć niewdzięcz-
nicy... i na Lido pozostał.—Gdy jednak Maryetta sa-
ma po niego poszła, dał się skusić... Wraca tedy do
szewca... Maryetta łzami i chytrą starą się go
przebłagać i miłość na nowo obudzić... a szło jęj nie
o niego, ale o zemstę... *ecco!* Vittorini miał się już
żeńić z wdową po Polaku... Maryetta opuszczona przez
niego, szalała... *ecco!*

Namawia więc Matię, obiecując mu rękę swą, je-
śliby Vittoriniego zgładził, przez co i pamięć swojego
ukochanego pana i ją pomści!... Daje mu nóż w dłoń,
i jątrzy...

Zbliżamy się do rozwiązania, panowie... krwawa
tragedya!... straszne dzieje!...

Wiecie już, że w chwili, gdy do kościoła Frari zdążyła młoda para, wdowa po Polaku i Vittorini, na wschodach samych, z tłumu się wyrwał ktoś, i nożem w piersi pchnął nowożeńca, który padł i dotąd jeszcze do siebie przyjsć nie może.

Zabójcy nie pochwycono... nie wiadomo co się z nim stało, lecz wiadomo kto nim był, nieochybnie kochanek ów Maryetty... chłopak Polaczek, mszczący razem swą kochankę i swego pana.

— A Maryetta? spytał ktoś.

— Maryetta—rzekł Zanaro—chodzi i śmieje się wesoło, pomszczona na Vittorinim i uwolniona od nudnego zalotnika, który po coltellicie zmykać musiał. Włóczy się, szukając go stary Nani, od tych wszystkich przygód krwawych dostawszy pomieszania... Tyłko co go nie widać—dodał gospodarz,—bo najmniej razy pięć na dzień tędy się mi przesunie...

— A Vittorini? spytał ktoś ciekawy.

— Vittorini wyzdrowieje: ręka była niepewna, zadał mu ranę nie wedle prawideł sztuki—studencką... wiele krwi wytoczył, wiele strachu przyczynił nieszczęśliwej Cazicie, ale to z tego wszystkiego nic nie będzie. Ślub wezmą, to pewna. Ciotka Anunziata go nie puści... a i piękna wdówka też po tej historii nie łatwoby innego znalazła, chyba by go znowu w Polsce szukać musiała.

To mówiąc, odetchnął Zanaro i obejrzał się po słuchaczach, którzy zdawali się po nim zakończenia i sensu moralnego powieści wymagać. Pojął to gospodarz Maltańskiego Krzyża i tonem poważnym dodał:

— Otoż, panowie, jak się to wystrzegać potrzeba, dni feralnych, filtrów bab starych i ludzi napiętnowanych, nieszczęście z sobą niosących.

— Gdyby to ich poznać można!... rzekł ktoś w tłumie.

— Można! dokończył Zanaro: są na to pewne znaki... Beroni nauczył mnie ich wiele. Już gdy kto niespokojny kręci się po obczyźnie i żony sobie w cudzém gnieździe szuka, presumpcya wielka, że naznaczony jest ową fatalnością, która rodzi niepokój i w miejscu usiedzieć nie daje...

— A, wszystko to bałamuctwa! zawołał w téj chwili Kapucyn,—tylko ja wiem prawdziwą przyczynę tych wszystkich nieszczęść Polaka i jego chłopca, i tych, których oni pociągnęli za sobą... Płynąłem z nimi na statku *Padre Antonio*, kiedy raz pierwszy do Wenecyi przybywali.

— Słuchajcie! przerwał Zanaro.

— Otoż, oświadczył mi się Polak naówczas, że miał zamiar, a może był nawet ślub uczynił, odwiedzić Grób Pański i pielgrzymować do Ziemi Świętej. Zastraszili go naówczas wszyscy morem, i ślubu nie dopełnił ani zaraz, ani później; ztąd wszystko owo złe spłynęło,

— Ma słuszność! zawołał Zanaro, całując znowu w rękaw zakonnika: tak jest, i to się także przyczyniło! Pamiętam, że i przedemną się w początkach zwierzał z tym zamiarem... *Ecco!*... Ale jedno drugiego nie osłabia...

W téj chwili urwał, spostrzeżono bowiem przechodzącego niedaleko starego Naniego. Zanaro tak był rozgorączkowany, że musiał go zaczepić.

— E! e! zawołał: dzień dobry, ojczy Nani, dzień dobry!

Szewc, który siedł z głową spuszczoną i okula-

rami spadającymi na koniec nosa, odwrócił się, ruszając ramionami.

— Kto mnie śmie ojcem nazywać? spytał; czy to ty stary wole karmny... he?

— Żle! rzekł Zanaro—żle koło niego... Patrzcie jak się wyraził nieobyczajnie!

— Ojcem nie jestem, dodał Nani: bo się córka mnie wyrzekła, a zięć we krwi umyty, uszedł... Włóczęgą jestem i żebrakiem.

— Biedaczysko! szeptali przytomni.

— Ale co komu do tego? dla czego mnie przesyłajecie? gwałtownie począł, obracając się do Zanara: czyś to ty lepszy? a twoja córka? tatku?

— Ostry jest, szepnął Zanaro.

Niektórzy się uśmiechali...

— Ej! Zanaro! Zanaro, *gran ladron!* dodał:—gdym była sprawiedliwość na świecie, czybyś ty dawno wisieć nie powinien?

Kapucyn się uśmiechnął, śmiał się i sam Zanaro, ale jakoś nieserdecznie.

— Daj już pokój, Nani! rzekł,—daj pokój, rachunki z szubienicą niebezpieczne...

— Dla mnie nie... o nie! odparł szewc: mnie się jeszcze coś od niej należy... a z wielką przyjemnością patrzyłbym i na twoje nogi w powietrzu.

— Fe! fe! Nani, co pleciesz! wołał Zanaro. Dość tych żartów... daj mi pokój... powiedz lepiej dokąd idziesz?...

— Szukam tego, czegom nie zgubił; idę tam, zkad nie przyszedłem, rzekł dziko, śmiejąc się szewc,—i pozdrawiam was ciekawych, co z biedaka szydzicie... Bodaj was ten sam los spotkał...

Zanaro obawiając się uroku, szybko dwa palce r-

gato wystawił *contra la jettatura*, przeciwko szewcowi, który opierając się na kiju, powoli powłókł się mrużąc dalej.

Chodził tak codzień na Lido, na cmentarz, wypatrując, czy tam nie znajdzie Maćka, po którym szczerze tęsknił... Ale na grobowcu Konrada nikogo nigdy już nie spotkał; nawet tamarysy i cyprys, które tam posadzili pierwszej wiosny, wkrótce pousychały, a rodzina ani wdowa o postawieniu grobowca nie myślała.

W Robbinie bowiem, wkrótce jakoś po nadeszłej wiadomości o śmierci Konrada, pochował ksiądz proboszcz starego Pukałę Dalifura, którego do trumny ubrała własnymi rękami poczciwa Murzynowska. Majątek po zmarłym w Wenecyi bracie objął pan Bolesław; ale i temu się jakoś nie szczęściło, dzieci się nie hodowały... Na nim ostatnim wygasła rodzina Lipich de Bucellis.

KONIEC.

POMYWACZKA.

Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w kraju naszym, miało barwę, jakiej dziś próżnoby w nim szukać.

Piszą, że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewając się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawy jego zubożeli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą, że ten ich świat się kończy, ale w szalach szukają zapomnienia katastrofy codzien bliższej, widoczniejszej codziennie. W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką... a téj stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pozjadane majątności na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbcie dziadowskie; gorszym jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne zniżanie się

i kąpanie w rynsztokach; gdy marmurowe łożnice nie smakują.

Kraj cały wre jakimś szalem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród téj orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego. W głębi sere nawet znać, że prorokowi wierzą, ale myślą, że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek; siwe podgolone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dnie tego zamętu są przecię i fusy saskiej epoki, pozostałości miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda staréj obyczajności. Przypatrując się bliżej Stánisławowskim czasom, znajdziesz w nich, jak w zakręcie rzeki, która wszystkie śmiecie zbiera w jeden ką, pełno nazmiatanych do kupy brudów odwiecznych, których razem na wierzch wystąpiło co niemiara. Potrzebaby analizy chemicznej, aby ich pochodzenie oznaczyć.

W obyczajach nie może się wszczepić teoria, dezorganizacya widna wszędzie; mówią wszyscy o braterstwie wedle Russa, a zbliżywszy się do siebie, odpychają mimowolnie. Na trzy wielkie warstwy, wedle usposobień moralnych, dzieli się towarzystwo: na starą masę domorosłą, instynktowo poczuwającą, że się przy dawném zachowywać potrzeba i z niego dalej rozwijać; na młode szumowiny, pragnące postępu, ale rozumiejące go jako zupełną, do głębi sięgającą reformę; naostatek na pośrednie sfery, które z jednej strony rumieni jutrzeńka jutra, z drugiej srebrzy

blask wczorajszego księżycyca, w pośrodku okrywa pomroka...

Miasta naturalnie przodują w tém położeniu, z którego sobie sprawy nie zdają; wioski upierają się przy dawnym porządku i widzą w nim zbawienie; magnateria ze szlachtą na wsi narzeka na zepsucie, w mieście z dworem śmieje się z zadomowionych.

W pośród tego wiru istne ukazują się cuda: filozofowie bez Boga, wielcy panowie, którzy się przedzierzgają w bankierów, królewscy kucharze chorujący na arystokrację, nieokrzesane gbury cisnące się do salonów i rozpieszczeni wychowańcy pałaców szukający z nudów szczęścia pod zgrzebną odzieżą. Chwilami wszystko się to miesza, płacze, zaciera, to znowu rozpada, dzieli, rozchodzi i wojuje.

Nie ma chwili, któraby nie miała swojej jak ówczesna, *teżyzny* między młodzieżą, tylko że każda z nich inaczej wygląda. Stanisławowska niepodobna jest wcale do saskiej. Przypatrzysz się z bliska takiemu Radziwiłłowi „panie kochanku“ i księciu Józefowi, dostrzeżesz tu jedno odcienie, a bohater, co zginął pod Lipskiem, sam do siebie w różnych dobach życia nie jest podobny.

Na jego twarzy, którą wizerunki ówczesne podają nam wesołą, ożywioną, częściej niż się zdaje osiadała gorycz znużenia i tęsknota nieprzemierzona, przecucie zgonu w pełni sił, tragicznego, nagłego... Sta-je on przed oczyma naszymi w téj burce tradycyjnej, z dumnie odwróconą twarzą, z pogodą na czole. Takim przecię nie był zawsze; podż wignąć się umiał na placu boju, ale w samotnych godzinach, gdy spojrzał

w nierozwikłaną przyszłość własną, gdy się stawał człowiekiem w obec siebie, na te powieki iskrzące się męstwem występowała iza przezroczyta.

Ale się wstydził przed światem téj słabości ludzkiej, i w ulicach Warszawy pędził cwałem, powożąc się sam, z pogardliwym śmiechem pustaka, szalenie szczęśliwego człowieka... Ulubieniec kobiet, wzór niedościgniony młodzieży, ksiązę Józef był w istocie nieszczęśliwym, choć się w męczarniach uśmiechał; brakło mu wiary w życie, i jak człowiek zrujnowany, co bierze z kapitału, żył i on moralnym kapitałem swoim, bez rachuby na dzień jutrzejszy.

Na nieszczęście z tego życia, nad którym psychologiczne badanie byłoby niezmiernie ciekawym dodatkiem do rysu epoki, pozostały nam tylko ułamki, podania, legendy, a mało takich danych, któreby rozświeciły wewnętrzny stan duszy człowieka. Wszakże i z tych drobnostek, niekiedy charakterystycznych, dają się odtworzyć pewne momenta téj biografii, choć mniej dla historyi. znaczące, dla poznania człowieka i czasu ciekawe.

Tak wśród mglistego dnia w górach, gdy chwila mi wiatr chmury rozedrze i słońce wierzchy ozłoci widzisz je zawieszzone gdzieś w obłokach, wśród tu manów, i po tych częściach całego olbrzyma Alp, śniegami wiekuistemi okrytego, domyślać się możesz.

Wyobraźnia dosnuwa obrazu okrytego płaszczem mgły nieprzebitej.

Trucizną, która wyżerała serca i wypróżniała pierśsi młodych ludzi owego czasu, było zwątpienie i przedwczesne wyzycie się. Z tego to płynęła owa *tężyzna*,

to rzucanie się pozornie namiętne, w istocie rozpaczliwe, na niemożliwe wyciśnienie z życia jakiegóś upajającej treści. W epokach normalnych, to co żywot dać może, starczy człowiekowi i nasyca go; w podobnych przesileniach ludzie szukają po za krańcami możliwości upojeń, dziwnych wzruszeń i rozkoszy. Ztąd idzie miotanie się gorączkowe, które w historii obyczajów zawsze zuamionuje chwile ciężkich walk i przejścia.

Orgie XVIII wieku nie czém inném są, tylko takim upędzaniem się za wytworzeniem czegoś nowego, czego życie zwyczajne dać nie może; żądano od napoju, od miłości dziwnych, od uczt sardanapalowskich, by przeistoczyły warunki istnienia, by rozszerzyły granice nieodwołalnie naznaczone człowiekowi... Chleb razowy życia nie starczył głodowi ogromnemu: wypiekano ciasto z manny, ze spadających z nieba krolepek rzadkich, nawet w ich niedostatku z błota ulicznego.

I kończyło się na tém, że po niestrawnym pokarmie głód był większy jeszcze, choroba sroższa... szła stokroć straszniejszy...

Książę Józef był człowiekiem swojej epoki; wystawiał może dobitniej niż inne indywidualności, jęj stronę piękną, szlachetną; zarówno poryw jęj ku ideałom i chętki chorobliwe, pragnienia serca i szły zmysłów rozdrażnionych. Za wcześniej poznawszy wszystko, co życie dać mogło, nie smakował już w niczém, i szukał czegoś więcej, sądząc, że pragnienie nietyle dowodzi *gorączki człowieka*, ile *istnienia napoju*. Napróżno piękne panie owych czasów usiłowały go sta-

lój przywiązać do siebie; wabiła go wszelka nowość zaglądał w oczy każdej przybywającej, lecz prędko jednostajność wrażeń odpychała go, nudziła forma taż sama, w głębi toż samo wrażenie, te same powtarzane codziennie słowa, płochoci jednakie... Te setne edycye jednej książki już po okładce mógł poznać i czytać ich nie pragnął. Życie nie umiało mu dać nic nowego... Prostota, serce szczere, świeżość wrażeń byłyby go nawrócić mogły; ale gdzież je spotkać miał, wśród téj sceny pełnej wyuczonych od pieluszek aktorów?

Po tych dniach spędzonych na rozrywkach nierozrywających, na niespodziankach spodziewanych, następowały wieczory do dni podobne, a po powrocie do domu, długie często godziny rozmyślań i apatyi...

Aby pojąć i samego księcia Józefa, i tę społeczność, której on był wytwornym owocem, potrzebaby się jój przypatrzeć z blizka i beznamiętnie, oczyma dziejopisa niemającego ojczyzny; pojedynczo wzięta każda postać tego społeczeństwa wydaje się dziś dziwaczną i niezrozumiałą, zbliżone i zestawione w ową całość, którą tworzyły niegdyś, tłómaczą się wzajemnie. Dla tego nim opowiemy podanie, któreśmy słyszeli z ust starca, co na część historii téj patrzył, musimy rzucić okiem na Warszawę w téj epoce.

Magnaci, dorobkowicze, nawet możniejsza szlachta porwana wirem szalała, wiedząc, że gmach się mógł roztrzaskać nad jój głową; im łoskot upadku był straszniejszy, tém głośniej nakazywano grać muzyce.

W przeddzień tryumfu wyrachowanego i pewnego, nie byłoby weselój niż naówczas w stolicy. Wszyscy cudzoziemcy, którzy w owych latach zwiedzali ją, zgodnie malują Warszawę i jój ludność jako najweselejsze towarzystwo w świecie. Ci nawet, co tu przybywali z najożywieńszych grodów Zachodu, uderzeni byli niezmierną gorączką, która tu panowała.

Bale następowały po balach, noce spędzano za stolikami gry; dni na śniadaniach i podwieczorkach; taniec, ten wyraz szału, najulubieńszą stał się rozrywką. Małdzieci wprawiano do niego, tak jak niemowlętom dają matki napój usypiający. Starzy i posiwiali gorączki szukali u zielonych stolików, lub w oczach mnóstwa ślicznych bogiń, których płochosć nie zrażała wcale, bo cały ten świat z niój sobie życia robił prawidło.

Małżeństwa zawierały się z przewidywaniem rozvodu, zrywały po kilku tygodniach, często wiązały znowu, a trwając nie były węzłem żadnym, stawały się wygodną formą. Najdziwniejsze związki fantazyi wykwitwały na nich, jak orchidee na zgniłym pniu dębowym.

Ksiązę Józef, jak większa część młodzieży ówczesnej, pochwycony falą, za czasu przestał być młodym; ta spiekota, jak afrykańskie słońce, przedwczesną sprowadzała zgrzybiałość. Ale w szlachetnej jego piersi utrata złudzeń młodych i tego idealnego świata, który człowiek z sobą przynosi z lepszej ojczyzny przedziemskiej, nie pociągnęła za sobą rozczarowania i chłodu, tylko tęsknotę i jakieś o społeczeństwie zwątpienie.

Serca ciasne w takim położeniu i boleści nie widzą nic po za niemi, wątpią o człowieku; szersze bo-
leją nad czasem, mają nadzieję w przyszłości.

W tych chwilach samotności i rozmysłów, gdy po wirach balu i szale reduty powracał znużony całodzienną wrzawą i nadaremna pracą szukania rozkoszy w pustych jój lupinach, ksiązę Józef padał na sofę w saloniku, zakrywał twarz rękoma i cierpiał walcząc z sobą, by do ostatka wiary nie stracić. Niebezpieczeństwo było w istocie wielkie: począwszy od stryja, którego pojąć nie mógł, a przecięż kochać musiał, aż do najidealniejszych z tych pań, którejj dłoni czuł drżącą w swój ręce, gdy z nią w szalonym tańcu sale przebiegał, którejj głos cichy szeptał mu dzisiaj to, co wczoraj przyrzekał innemu, a jutro miał jeszcze innemu poprzysiądz; od starego kuzyna domu, co godzinami był dyplomata, niezrównanym, a indziej młokosem bez rachuby,—wszystko i wszyscy składali się na poniżenie w oczach jego człowieka.

W tych dniach życia przecię, w tój dobie którą przebiegł ksiązę Józef, jedna szczególniej istota uosabia w sobie ludzkość, przedstawia jój najjaśniejszą stronę. Jest nią kobieta. Młodzieniec widzi w niej wybrańca bożego, przeznaczonego, by resztki uczucia i serca wyratował z potopu; jeśli w tój istocie nie znajdzie ich, wątpi łatwo o reszcie.

Ksiązę Józef, otoczony tym światem płochych lalek we fryzurach, malowanych jednemi barwami, nasłuchawszy się ich szczebiotu jednostajnego, sto razy zdradzany z uśmiechem, pociągany kłamstwem i próżnością, naostatek pytał już się niespokojnie, czy mi-

łość i wiara nie są próżnemi tylko słowy, przeznaczonemi, by na ziemi latały jak anioły, nigdy jój nie tykając stopą? Wszakże po zdradach tyłu nie przeklął, jak drudzy, człowieka; uchwycił się téj myśli, że na dnie osiadła cnota, prawość, szczerota.

Było to jesienią, jednego z lat następujących po sejmie czteroletnim, który nie przerwał życia rozszalałego większości. Warszawa wyglądała nadzwyczaj świetnie i niezrozumiale wesoło. Pieniądze zdawały się płynąć rynsztokami, tak je nierozważnie rzucono na wszystkie strony; pracowity świat wielki nie mógł wystarczyć balom, wieczorom, piknikom, redutom, spacerom, kartowym stolikom i rozrywkom, którym napróżno starano się coraz nową nadawać barwę, a były jak piekło jednostajne i nudne. Nowi ludzie bawili się niemi kilka tygodni, jak człowiek, który wchodzi w gorącą kąpiel i czuje z razu trochę ciepła, ale po chwili drżeć zaczyna w tym ukropie. Książę Józef, jak wielu jego rówieśników, był niesłychanie smutny; patrząc na tego Apollina w całym blasku męskiej piękności, którego czoło osnuwała mgła jakaś nierozbita, żal serce ścisnął, tak widocznie cierpiał, choć się uśmiechał... Wypełniał on ściśle obowiązki swojego stanu, mozolne, choć pozornie bardzo rozkoszne, a bliżej się weń wpatrując, przychodziło na myśl, że Dante nie wyczerpał wszystkich kar w swoim piekle, nie umieściwszy w niem kłamanego szczęścia uwiecznzonego laurami i różami, z tajemną raną w piersi zakrwawioną i zazdrośczącymi dokoła.

Tymczasem pół świata zazdrościło mu męczarni

a gdy w swém *whisky*, zaprzężoném ośmiu karemi końmi przelatywał Krakowskie Przedmieście, mając po bokach Wielhorskiego i Kościuszkę, lub na przepysznym karoszk, w twardej od srebrnych haftów kurtce pędził do Mokotowa, na Wolę, do Jabłonny, stawali ludzie mówiąc sobie po cichu: „Co to za szczęśliwy człowiek!”

Tego dnia ksiązę Józef nie próżnował od rana. Chociaż późna była jesień, ale pora, jak to się często w Warszawie trafia, prześliczna; wstawszy więc ruszył na przejażdżkę ku Willanowu. Po powrocie był u króla na chwilę, odwiedził Ignacego Potockiego, żeby trochę w jego towarzystwie spoważnieć, oglądał potem angielskie konie wystawione na sprzedaż, które młodzi Tepperowie za niezmiernie wysoką kupili cenę, oddał kilka wizyt pięknym paniom, próżno go uśmiechami zatrzymującym, jadł obiad długi i niesmaczny u Prota Potockiego, nasłuchawszy się do przesytu o projektach przemysłowych i handlowych, potem wbiegł do kilku domów wieczorem, jeździł do teatru, aby się na nim wyziewać dowoli, był na reducie w Radziwiłłowskim pałacu, na proszonej kolacyi kawalerskiej u Branickiego, i znużony powrócił do domu, jak po najmozolniejszym trudzie. Z całego dnia zostało mu wspomnienie nieograniczonej tęsknoty.

Siadł na sofie, jak zwykle, i zamyślił się głąboko...

— Jest to życie niemożliwe! rzekł nareszcie w duchu: jeszcze rok, a człowiek zgrzybieje i zgłupieje. Wir ten nie daje myśleć, szal ten nie dozwala oprzy-

tomnieć. Stać się pustelnikiem wśród téj ciżby? ogłosić za szaleńca... uciec? tak! byłby to jedyny niezły środek, ale dokąd?... A! serce! serce — dodał — czemu ty mnie nie poratujesz?.. czemu nie uderzysz tak silnie i głośno, aby ten hałas zagłuszyć?..

Do kogo? spytał się z uśmiechem, — i myśl przebiegła wszystkie piękności dworu i stolicy, sztydersko zdzierając z nich urok wdzięku. Książę Józef widział je niemal wszystkie tego dnia w lożach teatru, i do każdej z tych twarzy, co się ku niemu zwracały, pamięć przypięła historię, która jej urok odejmowała. Ta jest już z dziesiątym ulubieńcem, tamta z trzecim mężem... tamta z piętnastym przyjacielem, nie licząc nieprzyjaciół, których kochała po chrześcijańsku i przez uczucie obowiązku... Z takimi myślami po północy położył się książę Józef, ale nie usnął; rozgorączkowany dniem, rozmarzony myślą własną, rzucił się, marzył, aż gdy na dzień się już zbierało, wstał, zadzwonił niespodzianie na kamerdynera, który nieprędko nadszedł dosyć przestraszony, i kazał sobie przygotować ubranie. Francuz był posłuszny, ale widząc, że książę ani wierzchowca, ani powozu nie żąda, nie wiedział co myśleć.

Po chwili książę Józef, zostawując go w tém zdumieniu, ubrany po cywilnemu, wyruszył z pałacu na miasto.

Ranek był rzadkiej piękności, i mgła nawet, która prawie zawsze u nas pogodzie jesiennéj towarzyszy, już się gnana wiatrem rozwiewała; niebo, choć blade, ale czyste, miało ten ton łagodny północy, który się w taką z kolorytem pejzażu zlewa harmonię.

Gdzie niegdzie biały bawełniany przelatywał po niém obłoczek, ozłocony wschodzącém słońcem, które otaczały rumiane pasy dalekich tumanów. W powietrzu była cisza, na ziemi spokój, i ledwie dający się czuć powiew zachodnio-południowy opędzał z drzew resztki liści, które się jeszcze po końcach gałęzi trzymały.

W ulicach miasta ujrzał ksiązę to, co na nich rzadko widywał: ludność różną od téj, która we dnie się po nich kręciła, wiejską, przedmieściową, pracowitą, ubogą. Szły z Pragi fury z drzewem, z jarzynami, z zapasami różnemi. Kobiety z ciężarami na plecach, mężczyźni z piłami i siekierami, po ulicach odzywały się ranne dzwonki mszy cichych, na które cisnęli się wieśniacy. Gdzie niegdzie wśród tego zalewu przybyłej ludności, przepływała i miejscowa uboższa: mieszczanie w kapotach długich z laskami, poważnie kroczący na prymaryę, jejmoście staruszki, chcące się tanio zaopatrzyć do domu, przekupnie i przekupki, ostro targujący się o nabycie tego, co wkrótce jak najdrożej sprzedawać mieli, i młodzież płci obu z najbiedniejszej klasy, wybiegająca po zapasy gospodarskie, wodę, mleko, świeżą bułkę do piekarza.

Ksiązę Józef przypatrywał się z ciekawością temu widokowi nowemu dla siebie, który go przyciągał żądzą poznania utajonych sprężyn, poruszających nieznanym światem.

Im głębiej spuszczał się ksiązę ku Pradze, odchodząc od środka stolicy, tém otaczająca go ludność inny przybierała charakter i mniej w nięj czuć było miasta. Naostatek szedł aż do brzegu rzeki, gdzie uż prawie było pusto. Ubogie domki rybaków, sychły drzewa, czółna popróchniałe, rozwieszono sieci,

chałupki z desek pozbijane, i tuż szeroko rozlana Wisła płowa, spokojna, choć groźna, a na niej w dali parę ciemniejących czółenek.

Tu cisza była uroczysta... ksiązę od dawna takiego nie zakosztował spokoju.

Życie całkiem mu się tu inaczej wydało. Tam, zkad przychodził, było ono teatralném widowiskiem dramatu, napisanego bez talentu, odegrywanego rutyną, czémś kłamaném i sztuczném; tu widział je prawdziwém, poważném, wśród nędzy i walki wspańiale, majestatycznie piękném. Na czołach tych ludzi była troska, ale obok niej siła i wiara w tę siłę człowieka, która tam wyżej czuła się wyczerpaną. Praca uszlachetniała tu ruch każdy... a mimo niej niepewność jutra ożywiała, budziła, nie dawała usnąć gnuśnie.

Gdy ksiązę usiadł na kłodzie nad brzegiem i począł się rozpatrywać w otaczającym go obrazie, z chaty dosyć biednej, nieopodal stojącej, której drzwi się otworzyły powoli, ukazała się postać w bieli.

Była to może piętnastoletnia dziewczeczka, z blond włosami rozpuszczonemi, bo je właśnie zgarniała i czesała, w koszulce i spódniczce, bosa, szczupła, drobna, ale przesliczna. Maleńka chusteczka okrywała jój ramiona od ранego chłodu, z którym zresztą oswojona widać była, bo się wychyliła za próg, i stała przypatrując się niebu, próbując powietrza...

Nie postrzegła ona księcia, który siedział, osłoniiony wysoką szychtą drzewa, naprzeciw światła, i nie też jój w tój tualecie na podwórzu nie przeszkadzało. Zbierała obfite, piękne blond włosy, rozczesy-

wała je, plotła, a niekiedy drobne jój usteczka różowe, z pod których białe patrzyły ząbki, otwierały się poziewaniem, jakby resztki snu odpędzała od siebie. Parę razy zdawała się przysłuchiwać czemuś wewnątrz chaty, i uspokojona powracała do swego stroju. Przy drzwiach stało wiadro z wodą, poczęła się oblewać starannie i wycierać twarz i ręce grubym ręcznikiem. Potém znikła i powróciła znowu z gorsecikiem, który sznurowała powoli. Usta jój w czasie tego zajęcia poruszały się powoli, mówiła pacierz poranny. Niekiedy ręką uderzyła się w piersi, to znowu przyklęła i pochyliła głowę, wreszcie narzuciła na siebie sukienkę pstrą i poczęła ją starannie obciągać.

Wszystko na nięj było niezmiernie ubogie, ale bogata była we wdzięk młodości, którego nie zastąpić nie może. Książę wpatrywał się w nią—po twarzach wybielonych, wyróżzowanych, wymuskanych pań stołecznych—jak w kwiatek polny, rozkwitły na ustroniu.

Kwiatek był w istocie uroczy; najwybredniejszy znawca musiałby mu się zdumieć. Piękność rysów nie jest wcale, jak sądzą, wyłącznym udziałem tych klas społeczeństwa, w których pokoleniami wydelikacona krew, wydaje arcydzieła formy, naprzemian z poczwarnemi monstrami. U ludu od kolebki zmęczone dziecię, często traci kształt wdzięczny i barwę młodości, ale jeśli przetrwa pierwsze życia zapasy, często też wyrasta na Wenus z Milo lub Antinousa... I naówczas siła a energia téj piękności przechodzi blade kwiatki arystokratycznych cieplarni. Wychowanie też wpływa wiele na wyrobienie w tych ostatnich czegoś fałszywego, sztucznego, sztywnego, gdy prostota obyczaju uposażowuje ludowe wdzięki. Jest w nich coś jakby

z marmuru kutego; arystokratyczne piękności podobniejsze są do figurek z cukru i ciasta.

Dziewczę, któremu ksiązę Józef przypatrywał się z takim zajęciem, że oczu od niego oderwać nie mógł, nie było może tak regularnie piękne, ani ak potężnie zbudowane, by je rzeźbiarz wybrał za wzór sobie, ale w szczupłych kształtach jego sił dziecinnych, napół kobiecych, rozlany był wdzięk naiwny, nieporównany. Nóżki, ręce, choć silne i spracowane, ale w wiślanej wodzie wypłókanie codziennie i bieluchne, piersi szczuple, główka drobna, oczy niebieskie, uszko maleńkie, nosek prosty i nieposzlakowanego kształtu, składały się na obrazek przypominający fantazyje Greuze'a, i niektóre szczęśliwsze pasterstwa Boucher'a.

Była to właśnie chwila, w której pastuszki, lud i wioskowe życie, pojęte po teatralnemu, były w wielkiej modzie u świata... Ksiązę Józef napatrzył się ich na parawanach, wachlarzach, na drzwiach i rycinach, ale mu się nie trafiło nigdy w żywym świecie spotkać wzoru dla Greuze'a... Był nawet przekonany, że Boucher i Watteau, że sam rozelzawiony Greuze są wielkimi kłamcami, że przebierają często wielkie pannie za pasterki. Obrazek, który ujrzał tak nagle w ramach drzwi ubogiej chatki, zachwycił go.

Dodajmy, że ksiązę Józef był nieco marzycielem i trochę fatalistą... To wyjście ranne, jakby mimowolne, ta siła, która go tu przeciągnęła, ukazanie się dziewczęcia, poddały mu jakąś myśl przeznaczenia. Wzoram upominał się u świata i losu o coś, coby mógł ukochać; dziś zjawiała się przed nim i tota ślicz-

na, dzika, bo właśnie dałkiej i prostej pragnął... Nie było w tém coś fatalnego? Odezwał się do losu, los mu odpowiadał: „Chciałeś, oto jest.”

Myśl mu poddała wczorajszą tęsknotę i postawiła obok niej to zjawisko niespodziane.

Gdy tak marzył, dziewczę za drzwi znikło, a książę, namyśliwszy się nieco, nie bez pewnej obawy, z której sam się uśmiechał, wstał i powoli skierował się ku ubogiemu domkowi. Powierzchność jego zdradzała stan mieszkańców bardzo biedny; chatka dosyć stara, na małej podniosłości brzegu wybudowana, była szcuple i nadniszczona. Dach na niej cały porastał zielonemi kupkami mechów, które widocznie rozszerzając się zjadały zczerniałe gonty; komin był wyszczerbiony i okopcony...

Ściany trochę wpadły w ziemię. Jedne drzwi, te właśnie, w których mu się dziewczę ukazało, prowadziły do wnętrza. Książę zawahał się chwilę nim próg przestąpił, myśląc czém się wytłómaczy z odwiedzin? ale po krótkiej rozwadze, uległ pokusie.

Śleń, do której się wśliznął, była pusta, pełna przyborów rybaczych, długich węd, zczerniałych sieci i węcierzy; jedno drzwi wiodły w prawo do mieszkania. Książę Józef zapukał do nich, nie śmiejąc się wpierać do środka bez pozwolenia.

— A no! wejdźcie! odezwał się głosik ze środka, miły, cieniuchny, dziecinny. Cóż to wam przyszło do głowy palce sobie obijać o drzwi?

— Ino zobacz, bo może to kto obcy, przerwał głos drugi starszej kobiety.

W téjże chwili drzwi uchylone roztworzyły się

powoli, ale mimo téj ostrożności ksiązę Józef dostał niemi w głowę i uchylić się musiał. Dzieweczka, która je otworzyła, stanęła zdziwiona na widok bardzo pięknego nieznanego pana, przypatrującego się jéj z równą jak ona jemu ciekawością. Oboje poczerwienieli. Mniej to dziwne było ze strony dziewczęcia, ale ksiązę, dawno cdzwyczajony od palącego rumieńca, uczył go na twarzy, jakby przynosił mu na nowo stracone lata dzieciństwa. Był to gość niespodziany...

Domyśliła się dziewczeczka, że ten pan przez omyłkę chyba do ubogiej chaty zajrzeć musiał i trzymała drzwi ciągle, nie chcąc go puścić do środka. Przez tę chwilę niemego przypatrywania się, ona miała czas przeczuć w nim jakąś istotę wyższą, on rozplomieniał się, marząc, że trafił na ów ideał prostoty i serca, który dotąd tylko w złych francuzkich romansach niedoleżnie malowany spotykał...

— Ale czegoż pan chce? odezwało się dziewczę:— bo na matule ciągnie chłodne powietrze.

— Ja? puście-no mnie, to wam powiem, odparł ksiązę, i uchylając drzwi przytrzymywane, wszedł do izdebki.

Ubóstwo jak zbytek ma pewne rysy ogólne, z którymi się okazuje zawsze trochę jednostajnie; przepych potrafi się łatwiej urozmaicić, choć mu niezawszę udaje się szczęśliwie wyjść z popolitości, unikając przesady i niesmaku. Nie widzę więc potrzeby malować wam ubogiej chaty, bo z maleńką różnicą, wszystkie one są do siebie podobne; tu fantazyja rozposażyć się nie może, chyba w drobnych szczegółach.

Wnętrze izby było uderzająco czyste i schludne, i to stanowiło jego całą ozdobę. Na ścianach pełno obrazków świętych, pookrażanych wiankami i palma-

mi, w okienkach trochę zieloności, stół, szafa wielka, parę ławek, a w kącie szerokie łoże białe, na którym leżała stara, blada i chorobą widocznie wycieńczona kobieta... Na kominku paliło się trochę ognia, przy którym coś w garnuszczyku gotowała dziewczynka...

Książę, im mocniej się jęj przypatrywał, tém więcej czuł, że mu do nięj goręcej biło serce... Była prześliczna, a z oczu niebieskich taki wyraz spokoju i niezmiernęj łagodności przezierał, taka płonęła słodycz i dobroć jakaś rozumna!... Po codziennych rewiach salo nowych kobiet, wysznurowanych, wypięknionych a nie pięknych, po licach tych malowanych a nieświeżych, wyraz młodości i świeżości uderzał prawdę porywającą... Na księciu uczynił on wrażenie takie, jakiego by doznał człowiek przywykły patrzeć na obrazki, a nagle stający w obec żywego życia...

Dziewczę niespokojne, wciąż zapierało mu sobą drogę; widocznie chodziło o matkę. Nie czuła ona niebezpieczeństwa własnego; szło jęj o staruszkę, która, wyglądając ciekawie, pokaszliwała ze strachu...

— Pozwólcie mi wejść i spocząć, rzekł książę jak mógł najłagodnięj. Zmęczyłem się przechadzką... proszę was o szklanke wody i pozwolenie posiedzenia na minutkę.

— Julko... Julko! przerwał głos matki: ale puśćcież tego jegomości... cóż tam się tak drożycie?

Książę wszedł powoli i odwrócił się ku łóżku, aby staręj podziękować, gdy ta wychyliwszy się lepięj z za firanek, załamała ręce wychudłe i krzyknęła prawie przestraszona:

— Jezu Marya! a to nasz śliczny książę!

Książę Józef aż się cofnął, z kolei przelękły tém,

że go poznano; a Julka, ścierając pył fartuszkiem ze stołka, przybiegła z nim szybko do gościa, który stał w pośrodku izby zmieszany.

— A cóż to księcia do naszej biedy przypędziło, mój śliczny panie? żywiój niżby się można spodziewać poczęła chora. A mój ty miły Jezu! a toż to cud! Jakimże sposobem?...

— A zkadże wy kochana matko mnie znacie? zapytał ksiązę, odzyskując mowę.

— Albo to was zapomnieć można? zakrzyknęła stara. Ja służywałam w Jabłonnej i w zamku, a kto księcia raz tylko zobaczył, toć go nie zapomni!

— I cóż tu teraz porabiacie?

— A! mój miły ksiązę! nieszczęście nas tu zepchnęło! Były lepsze czasy... Owdowiawszy po pierwszym swoim mężu, który był nie potem dworak, wyszło się drugi raz za rybaka. Pocziwe człeczysko... aleć go Bóg długo na świecie nie trzymał, a wziął do swój chwały... Mój Macieisko załamali się z lodem na Wiśle, i aż trzeciego dnia znaleźli jego ciało, żeśmy je po chrześcijańsku pogrzebać mogli...

Stara zaszła się od płaczu.

— Zostało nas po nim sierot dwoje, mój ksiązę: ja i to pocziwe dziecko... a tu choroba na mnie... co mnie jak trupa na nic nieprzydatnego rzuciła na łożo... Gdyby nie pocziwi towarzysze Macieja, rybacy, co nam pomagają, jużby z głodu przyszło umrzeć i to dziecko zostawić na straszliwe sieroctwo. Ale Bóg opiekun...

Ksiązę milczał wciąż zmieszany, oglądając się to na starą, która śpiesznie i coraz żywiój mówiła, to na dziewczkę zapłonioną, dającą znaki matce, aby się nie męczyła zbytecznie rozmową.

— Czy nie słyszeliście, że ksiązę prosili wody! dajcież mu świeżój i weźcie czystą szklankę białą, moja Julko, a pocałujcie go w rękę i przeproście, żeście go puszczać nie chcieli... Taż to synowiec króla jmcii i taki dobry pan...

Julka, mocno przejęta nowiną, że to był synowiec króla i ksiązę, zakrzętnęła się około wody, ale jak na złość wszystko jój z rąk padało, wymykało się, paluszki krzepły, i gdy przyszło na talerzyku podać szklankę, to się woda na pół na niego rozlała, tak Julce rączęta biegaly ze wzruszenia.

Ksiązę siadłszy, rad był jak najdlużej tu pozostać, aby patrzeć na śliczną Julkę; szczęściem nieskończona gawędka staruszki, która na nowo całe mu życie swoje opowiadać zaczęła, przedłużyła odwiedziny, hojnym ukończone podarkiem.

Nazajutrz ksiązę przywiózł z sobą do chorój doktora Lafontaine'a.

Na wiosnę następnego roku szeptano po Warszawie, od ucha do ucha podając sobie nowinę, obruszającą szczególnie kobiety wyższego świata, że ksiązę Józef, który tak sobie lekko i prawie pogardliwie traktował najcudniejsze piękności Stanisławowskiego dworu, zamiast się zakochać w jednej z najzalatniejszych i najpiękniejszych pań, od dawna okazującej dla niego nadzwyczajną passyę, miał jakąś miłość pokątną, ukrytą, poniżającą go dla jakiegoś ubogiego, nieznanego dziewczęcia.

Gniew wielkiego świata był potężny. Ksiązę spotykał rozplomienione lica, uszczypliwe przymówki, al-luzye bolesne, ale przyjmował je z obojętnością, szczę-

liwego człowieka, z uśmiechem prawie wzgardliwym, nie sobie z nich nie czyniąc. Wieść o tej miłości nadzwyczajnej, dowodząca, że księżę nie był zupełnie ostygly i mógł kochać, obudziła niezwykle usiłowania pochwyceń tak drogiego serca. Panie sądziły, że z łatwością wybiją mu z głowy tę fantazyę chwilową, i zabiegały drogę w sposób, który tylko obyczaj tamtego czasu nieco uniewinniać mogły. Ale księżę na to wszystko był dziwnie zimny, grzecznością nieco szyderską odpierając potwarze i zaloty, bardzo często milczał, odwracał rozmowę i mówić wcale nie chciał. Narobiło to wiele nienawiści, niechęci i spisków: bo wszystkie panie uznały, że tak rzeczy zostawić nie można; iż należało koniecznie zmusić księcia, by w swoim świecie szukał uspokojenia serca. Donoszono prawie codzień o nowych zamiarach i czyhaniu na spokój bohatera, który pokręcając wąsa, ruszał ramionami tylko, lub odpowiadał swym usłużnym szpiegom:

— Dajcie im pokój! niech się sobie bawią... co to mi szkodził...

Nikt prawie nie wiedział, jak rzeczy stały w istocie. W życiu człowieka tak wystawionego na ciekawe ludzi szperania jak księżę, trudno było ukryć się z chwilą życia, odkraść ją dla siebie. Śledziły go wszędzie oczy niespokojne; powtarzano sobie po cichu gdzie go i kiedy widziano, kędy jego whisky przeleciał, o której przejechał konno, gdzie się przemknął pieszo... obliczano potem godziny, aby dojść jak dnia użył, badano sługi, by się dowiedzieć, o której do domu powracał. Na to wszystko księżę Józef uśmiechał się pogardliwie, zwłaszcza gdy mu piękna Anna, prześladowająca go miłością swoją od dawna, zdawała rach-

nek z użycia dnia, który ją niezmierniej pracy kosztował, a był wszakże fałszywy.

Miłość Anny była przywiązaniem, passyą, fantazyą, nazwiécie to jak chcecie, wielkiej pani właściwą. Anna była od powijaków pieszczoném dzieckiem, miała zachcenia gwałtowne, jak dziecię kapryśne, nie rozumiała poświęceń od siebie, tylko dla siebie... Książę Józef podobał się jój tak, jak wielu innych, ale był synowcem królewskim, był królem młodzieży, był najgłośniejszym... a Annie, która dla niego od dwóch lat okazywała najszaleńszą, kompromitującą miłość, nie dał innych nad zimną grzeczność dowodów współczucia. Miłości jój, oświadczeń, gniewów, zajęcia sobą, nie chciał rozumieć...

Anna była przesłiczną brunetką... ale tak piękną, jak bywają obrazki; rysy miała regularne, wyraz twarzy łagodny i wystudyowany do rodzaju piękności; brak jój było charakteru i wdzięku. Coś marmurowego, zimnego szpeciło tę istotę, w piętnastym roku rozczarowaną, w dwudziestym zestarzałą moralnie. Ze wszystkiego pozostały jój tylko gwałtowne, dziecinne fantazyje... gdy zapragnęła czego, musiała dojść, choćby najkosztowniejszymi ofiarami. Jedną z takich fantazyj była dla niej miłość księcia Józefa, której pragnęła tém goręcej, im książę był obojętniejszy. Chciała się nim pochlubić... chciała pokazać swą siłę. Książę Józef w samym początku zaciekawiony zbliżył się do niej, ale poznawszy lepiej, odstąpił prędko... Pięknej Annie ta passya głośna i umyślnie uwidoczniiana nie przeszkadzała wcale wieść za sobą rojów wielbieli... uśmiechać się, bawić, dawać przez kilka dni pierwszeństwo to temu, to innemu, a wzdychać do księcia i nawet trochę czasem płakać wieczorem z gnie-

wu na niego. Goniąc za księciem po balach i przechadzkach, piękna Anna trafiała na tych, co się za nią upędzali, zapominała o nim i śmiała się do rozpuku z trzpiotami... potem znowu napadała ją tęsknota okrutna na kwadrans i szła pusty po niej. Anne była jednym z najdoskonalszych produktów wyrafinowanej arystokratycznej cywilizacji, próbka tego, co może z dobrego serca kobiecego uczynić złe wychowanie i zwichnienie pojęć o życiu. Wietrzna, rozpieszczona, zdziwaczała, chwilami dobra jak anioł, to znowu rozwścieczona i niepamiętna na nic, pobożna i zalotna razem, cnotliwa a nieumiejąca granic roznać gdzie się kończy cnota a poczyna wina, szła w życiu, szczęściem prowadzona jego formami, bez których trudno przewidzieć gdzieby zająć mogła. Jeżeli kto to ona zasługiwała na to imię wietrznej istoty, jakim poeta wszystkie napiętnował kobiety. Książę Józef miał dla niej jakąś pocziwą litość braterską, ale pokochać jęj nie mógł. Im trudniejszym stawało się do zdobycia to serce, tęp było pożądańsze dla Anny; wmówiła w siebie, że bez niego żyć nie będzie mogła, że umrze jeżeli go nie zdobędzie. Był to wielki cel jęj bezcelowego życia.

Można sobie wystawić rozpacz i gniew pięknej Anny, gdy po stolicy rozeszła się wieść, że książę Józef jest zakochany—w kim? nie w jednej z tych piękności, które uwieczniły pastelle Marteau lub pendzel Grassego, ale w prostém dziewczęciu. Wieści mówiły o wieśniaczce... gorzej! o służącej jakiejś... a starościna. O... powtarzała, że książę *a le gout si depravé*, iż mógł się zakochać i przywiązać tylko do *pomywaczki*. Zwano tę tajemniczą istotę nieinaczęj tylko *pomywaczką* a przydomek ten wyrażał całą wzgar-

dę, cały gniew wyższego społeczeństwa przeciwko księciu i owęj pięknej (nie wiadano nawet czy pięknej) nieznanomój jego kochance.

Najgłębsza tajemnica osłaniała stosunki księcia z ową dziewczką. Śledzono daremnie gdzie się ukrywa, wiadano zaledwie o jój istnieniu. Lecz sama zmiana humoru księcia Józefa jużby go była zdradziła. Inaczej całkiem wygląda człowiek szczęśliwy i spokojny, od znudzonego życiem i zniecierpliwionego szukaniem serca i przywiązania człowieka.

Od niejakiego czasu ksiązę Józef niesłychanie się zmienił, przyznawali to nawet najmniej baczni postrzegacze: z zobojętnialego, pochurnego, czasem trochę złośliwego człowieka, stał się wesołym, pobłażającym, dobrym, jak każdy, co czując szczęście, radby niem, dla harmonii, cały świat obdzielić. Jest to w ludziach pocziwych, że gdy im na świecie lepiej, chcieliby, żeby wszystkim dobrze było. Ten, komu dla przyprawy jego szczęścia potrzeba cudzych cierpień, jest niegodziwą istotą... komu boleść bliźniego zwiększa rozkosze, niewart imienia człowieka.

Nigdy też może ksiązę Józef tak bardzo nie był dla ludzi pobłażającym, nie szukał tak we wszystkim dobrego, nie upierał się, by widzieć jasno świat, człowieka, życie. Nawet ta piękna twarz jego, którą znacie, przybrała wyraz łagodnie zamysłonego spokoju i błogości.

Na pozór w jego zwyczajném życiu i porządku dni nie się nie zmieniło; szperania i rachunki godzin nie wykryły różnego ich użycia... Jak dawniej przelatywał wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego

Świata aż do Ujazdowskich alei, niekiedy do Łazienek, konno lub karyklem, sam się powoził i dokazywał cudów, kierując ośmiu szalonymi końmi, uprzężonymi do lekkiego powoziku, a słuchającami skinienia jego silnej dłoni; jak dawniej dawał się zapraszać na Wolę, do sali Szulca, na pikniki i podwieczorki; jak dawniej tańczył ze śliczną Julią Potocką i z nieodstępnym Wielhorskim pokazywał się wszędzie... a jednak szeptano po cichu, że księżę spędza długie godziny u nóg tej, którą nazywano ze wzgardą *pomywaczką!*

Raz na wieczorze u pani Branickiej, śmiała i znana ze swych dowcipów pani Lucchesini, żona posła pruskiego, której miłość dla Juliana Ursyna była znana wszystkim, zagadnęła księcia w sposób przykry:

— Mości księżę, rzekła do niego po francuzku: prawdaż to, że w. ks. m. masz poczwarne gusta i że wolisz zgrzebne płótno od atlasów, a ręce czerwone od pięknych wypieszczonych dłoni? Cały świat mówi, że księżę kocha się, daruj mi wyraz, ale to nie ja go stworzyłam... *w pomywacze!*

Księżę Józef się zaczerwienił.

— Pani, rzekł: mógłbym jej odpowiedzieć, że nie każdemu dano kochać się poetycznie i mieć ideał na rozkazy, ale nie chcę być złośliwym. Nie widzę nic tak straszliwie poczwarnego w miłości dla... choćby zresztą dla pomywaczki. Serce idzie gdzie je woła niezwykła siła magnetyczna; nikt za nie nie odpowiada, jeśli mu się poddaje... Ale powiedz mi pani, co tak znasz dobrze życie salonów, w których atmosferze wzrosłaś, czy w puchach łabędzych wyhodowują się piękniejsze serca i czystsze dusze od

tych, które Bóg, powietrze, tęsknota, nędza, opuszczenie wyrabiają w piersiach prostaczych?

— Widzę, odparła kwaskowato pani Lucchesini: żeś księżę zwolennik Russa, że wracasz do stanu natury...

Na tém przerwała się rozmowa, a posłowa darować nie mogła księciu, że jój przypomniał tak wyraźnie to, o czém wszyscy dobrze wiedzieli, ale na co umyślnie zamykano niby oczy.

Najbliżsi przyjaciele księcia, ci, z którymi żył ciągle i widywał się codziennie, gdy mowa była o téj nieszczęśliwej pomywaczce, najmocniej przeciwko powtarzy się obruszali, dowodząc, że to wszystko było niegodziwie zmyśloną baśnią. Plotka pomimo to, siłą nabierając w pochodzie, wedle łacińskiego przysłowia: *Vires acquirit eundo*, — nieoparta na niczem, coraz to się rozchodziła głośniej i jaskrawszej nabierała barwy. Nie wiedzieć zkąd i jak zaczerpnięte, powtarzano sobie na ucho szczegóły osobliwsze poznania się księcia z ową dziewczką, jój przeszłości, charakteru, rysowano nawet fizyognomię i obnoszono jakieś mniemanie portrety owéj kochanki, tak jak owéj ładnéj *młynarki*, która do dziś dnia uchodzi za ulubienicę Stanisława Augusta...

Szczęściem dla księcia, usłudni salonowi dostarczyciele plotek razem zaczęli popisywać się z dwoma aż portretami, z których jeden do drugiego wcale nie był podobny i zdradzał fantazyę ołówkową któregoś z uczniów Bacciarellego lub Norblina. Ta okoliczność wiarę w nich zachwiała.

— Są podrobione, zawołała piękna Anna. Szczególna rzecz, gdy wszystko się wie w Warszawie... jeden książę Józef ma talent ukrywania się z każdą czynnością i pozostania tajemnicą! To upokarzające! doprawdy.

Z innych całkiem powodów, mężczyźni podrażnieni byli tym odgłosem miłostek okrywających się tajemnicą, przeciwko zwyczajowi; gdyż w owe czasy więcej szukano chluby z tego rodzaju stosunków, niżeli zaspokojenia w nich jakiegóś serca potrzeby. Zdradzało to zazdrość kochanka i wywoływało z drugiej strony chętkę współubiegania się o lepsze. Grano chętnie w odbitego naówczas, i silono się nieraz odsadzić, nie dla przywiązania, ale przez miłość własną. Staremu Tepperowi odbił ktoś piękną Alicję Włoszkę, o czém przynajmniej trzy dni mówiono na ucho, ale tak, że wszyscy słyszeli... Najbliżsi przyjaciele serdeczni księcia Józefa zabierali mu się wyplatać figla, do którego i piękna Anna z drugiej strony zachęcała... Na nieszczęście owa *pomywaczka* kryła się tak, że nikt a nikt o niej nie wiedział... Jedni szukali jej w Mokotowie, drudzy na Woli, inni upatrywali ją na Krakowskiem-Przedmieściu... lecz koniec końców nikt jej nie widział i nikt o niej nie wiedział...

— Ale to ostatni wstyd i sromota! wołała piękna Anna: waćpanowie nie zdaliście się na nic wszyscy... Jużeż można krok w krok za nim chodzić i dośledzić. O, gdybym ja była mężczyzną!...

Chodzili też krok w krok, ale niczego nie doszli.

Jednego wieczoru piękna Anna jakoś była znużona, czuła się chorą i postanowiła nie wyjeżdżać i nie przyjmować nikogo. Galonowany szwajcar odpra-

wiał przybywających zimném: „Nie ma kasztelanowej w domu.“

Poufali wszakże, nie słuchając go, wchodzili na górę i zasięgali bliższej wiadomości od kamerdynera Francuza. Louis wiedział doskonale, kogo można było, mimo niedyspozycyi, dopuścić do przedpokoju, kogo oznajmić, a komu potwierdzić tylko udzieloną na dole nowinę o niebytności pani.

W istocie piękna Anna siedziała w swoim buduarze w białym negliżowym stroju, oszytym koronkami, i bawiła się z ulubionym szpicem, poziewając nad życiem, które jakoś coraz robiło się dla niej nudniejsze... Miejsce na kanapce niebieskiej, które zajmowała wśród atlasowych poduszek, tak było urządzone, że naprzeciwko miała zwierciadło, stanowiące drzwi do drugiego pokoiku toaletowego, i Anna spoczywając mogła zawsze surowo się zastanawiać nad sobą, czyniąc rachunek sumienia, z pomocą wiernego odbicia swych wdzięków.

Miała nawet to przywyknienie, że w domu i wszędzie gdziekolwiek się znajdowała, szukała zwierciadła, lubiła w nie patrzeć, chcąc zawsze zdawać sobie sprawę z najmniejszych szczegółów ubrania, po biały, rumieńca, pudru, fryzury...

Obok Anny siedziały dwie jej najserdeczniejsze i nieodstępne przyjaciółki: pani, którą naówczas w Warszawie zwano Dziobatką, bo ją ospa mocno peszpecila, znana ze złośliwości i dowcipu, a chlubiąca się najpiękniejszą figurą w pasie, dającą się ująć w dłonie mężczyzny, i siostra stryjeczna Anny, stolnikowa, młoda kobiecina, której charakter stanowiło to, że się zawsze i wszędzie nudziła i ziewała. Mimo młodości i wdzięku, świat, w którym się obracała,

wcale jój nie zdawał się obchodzić, żyła w nim nie znajdując przyjemności. Kręciła się wszakże z drugimi, ale roztargniona i zaspana.

Ta trójka przyjaciółek długo gwarzyła, przebiegając dzieje całej Warszawy, wyszukując skandalików, karmiąc się świeżuchnymi nowinami, jak olbrzymy mięsem świeżem w bajkach, gdy nareszcie piękna Anna spytała Dziobatkę wdychając:

— A cóż o księciu Józefie? nic nowego?

— Zawsze Pepi ciebie zajmuje, moja droga...

— Nie wymawiajcie mi mojej słabości czy uporu...

C'est plus fort que moi... Ale wiecież co nowego?

— A! co mi dasz, to ci rozpowiem całą i ciekawą historję? odezwała się Dziobątka.

— Cóż? może tę, którą sto razy słyszałam, o pomywaczce? Ale wiecież gdzie się to jego bóstwo ukrywa?

— Wiemy przynajmniej jak wygląda, co robi. To cały romans moja droga...

— A mówże i nie trzymaj mnie na dwóch łapkach, jak czasem mego Dwidzi cukrem zmuszam do służenia... No mów! bez przedmowy...

Dziobątka uśmiechnęła się...

— Wiecie gdzie ona mieszka? spytała Anna.

— Jeszcze nie, ale się dowiemy wkrótce...

— Wiecie jak się zowie?...

— O i tego nie jeszcze...

— Jak wygląda przynajmniej?

— Wszyscy mówią, że blondynka i że wcale nie jest tak ładną jakby się domyślać można... dziewczę młodziuchne, twarzyczka dosyć pospolita, trochę świeżości... *Mais le curieux de l'histoire*, to miłość Pepi,

który ją wychowuje, daje jej metrów, kształci, uczy, i odwiedzając, całuje w rękę z uszanowaniem...

I Dziobątka szepnęła coś na ucho Annie, która ruszyła ramionami.

Stolnikowa ziewając dopomniła się o udział w nowinie owój, którą powtarzano na ucho. Anna śmiejąc się podała jej trzy słowa, i wszystkie śmiać się zaczęły.

— Ale to niepodobna!

— To nie ma sensu...

— Mów dalej kochana... dodała Anna; ludzie stworzyli sobie jak widzę romans Marmontel'a z tej bardzo pospolitej historyi.

— To co wiem, mam z najlepszego źródła, rzekła Dziobątka. Wierzyć, nie powiem żebym wierzyła... ale jest w tém coś prawdy.... a wreszcie: *se non e vero, e ben trovato*.

— Koniecznie chcą go zrobić bohaterem! szepnęła stolnikowa.

— Ale moja kochana mów już, bo goreję z ciekawości.

— Pepi najął dla niej przepyszne mieszkanie, osadził przy niej starą guwernantkę, rozpoczął wychowanie tego dziecka... ale sam prawie jej nie widuje...

— Al to coś szkaradnego, odezwała Anna: z taką zimną krwią, z taką bezlitością karmić tę niešťczęśliwą jak bydłę, które jutro na rzeź wydane zostanie! Wiele się przebacza namiętności gwałtownej, ale w tém jest coś tak rozmyślnie występnego! Uważacie, dodała, radabym Pepi uniewinnić; ale bądźcie szczerze—do czego to podobne, taka wyrafinowana, chłodna, obrzydliwa rozpusta?...

Stolnikowa potwierdziła sąd siostry.

— *Cela n'a pas de nom!* rzekła powoli.

Dziobatka, która wcale inaczej zapatrywała się do-
tąd na tę romantyczną przygodę, z razu milczała, po-
trzebując czasu na zmianę nagłą zdania, ale po chwi-
li zawołała:

— Może nie macie racyi... On ją kocha gwałtow-
nie, szczerze, serdecznie i właśnie dla tego szanuje ją.

— Miłość platoniczna! rozśmiała się Anna: dajże
mi z tém pokój! Pepi platonicznie rozkochany!...

Chwilka milczenia przerwała rozmowę; na twarz
Anny wystąpił rumieniec gniewu... wstała i poczęła
się przechadzać po buduarze.

— Ale to wstyd, to ohyda dla nas wszystkich!
zawołała wzruszona, stając naprzeciwko lustra, w któ-
rém się przypatrywała z przyjemnością wdzięcznej swój
postaci i rozdramatyzowanym ruchom... Wy wszyst-
kie nie umiecie obrachować następstw tego wypadku.
Zastanówcież się! pomyślcie! uważajcie! Pepi jest
kwiatem naszej młodzieży, na niego świat ma oczy
zwrócone... Człowiek jego wieku, jego temperamentu
musi kochać... Odrzuca kobiety, kobiety swojego świa-
ta, gardzi nami wszystkimi, rzuca nam w oczy obe-
lgę, jakby mówił: „Żadna z was mojej miłości i serca
nie jest warta, będę sobie szukał kochanki na śmie-
cisku, tamta jeszcze lepszą od was będzie!” Czyż to
nie jasno? czy nie wyraźnie?... Posądzam go, że to
zrobił umyślnie; mężczyzna jego wychowania, jego
charakteru, nie mógłby się przywiązać do takiéjs pro-
staczki, szurgota... Jest to po prostu tylko wymierzona
do nas impertynencya; mówi nam: „Żadna z was na-
wet *pomywaczki* nie warta!” To śliczne! A my? my
z założonemi rękami spoglądamy na tę historię i obo-

jętnie przyjmujemy policzek... nie umiemy się ująć za sobą nawet... brak nam wstydu, któryby obudził gniew! Nie chcemy się pomścić, jakbyśmy czuły, że nas słusznie ta obelga dotyka...

Stolnikowa, rozbudzona żywém przemówieniem siostry, zmierzyla ją oczyma blademi, otworzyła usta, ruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Dziobotka śmiać się zaczęła.

Podskoczyła ku Annie, schwyciła ją w objęcia i krzyknęła z zapalem:

— Wiesz co, zrobimy spisek na Pepi... Ty stajesz na czele.. pokażemy, że pomścić się potrafimy... Masz słusność, tego przebaczyć niepodobna... Potrzeba obmyślić środki, naradzić się *et porter un grand coup*... Pepi nam wszystkim ubliżył, jest to niegodziwość z jego strony, jest to obrachowana obelga...

— A więc zemsta!... Jutro zbieramy się u mnie dla narady; mężczyźni będą wyłączeni: którykolwiek z nich mógłby nas zdradzić; kochają go wszyscy i są dla niego pobbłażający...

— Ale czy się bez nich obejdziemy?

— Obejdziemy! Tajemnica jest najściślejsza pod przysięgą! dodała żywo zapalając się Anna. U mnie jutro pierwsze posiedzenie...

Dziobotka, ilekroć miała coś do czynienia i intrygę do prowadzenia, była najszczeńliwszą; znać było zaraz po niej, że myśl spisku dogadzała jej niezmiernie. Pochwyciła kapelusz i chustkę...

— Jadę i zwołam na jutro wszystkie... O której godzinie?

— Na dwunastą! ale tajemnica!

— O! tajemnica! Od niej wszystko zależy...

— Słowo?...

— Jak najuroczystsze...

Tegoż wieczoru księżę Józef wiedział o niedoszłym jeszcze spisku... Stolnikowa szepnęła o tém mężowi, Dziobotka Francuzowi, który się w nią kochał, Anna jednemu z wielbicieli. Księżę śmiał się do rozpuku.

Narada uroczysta u pięknej Anny odbyła się o naznaczonej godzinie i przedstawiała prawdziwy sejmik niewieści... Uznano sprawę w istocie za niezmiernie ważną i wymagającą gwałtownych środków... postanowiono wymierzyć wszystkie baterye wdzięków i przymień na księcia Józefa, aby go od miłości, niegodnej bohatera, oderwać, a z drugiej strony dojść koniecznie do tajemniczój kochanki i starać się dowieść, że stałość i wierność nie są wcale przymiotami ludu i niższych stanów. Tryumfowano za wczasu trochę.. Piękna Anna brała na siebie oderwanie tego, którego serce postanowiła pozyskać choćby dla tego, by je potem ze wzgardą odrzucić i pomścić się za długą nieczułość...

Pierwsza część programatu łatwa była do wypełnienia, bo nie było dnia, żeby się nie spotykali z księciem Józefem; druga zależała cała od tego, by odkryć mieszkanie i istotę ową tajemniczą, o której mówili wszyscy, a nikt jój dotąd nie widział. Nie można było tego dojść inaczej, tylko śledząc wszystkie kroki bohatera i w ślad za nim wkradając się do mieszkania nieznanój. Tu już kobiece zabiegi były niewystarczające. *Dziobotka* wprawdzie ofiarowała się przebrać za mężczyznę, ale wszystkie panie odrzuciły to poświęcenie, znajdując je daremném. Na szpiega takiego potrzeba było mężczyzny zręcznego, któryby nie wahał się znieść przykrości, jakie ten stan za sobą

pociąga, i dotrwał, choćby u zamkniętych wrot, na ulicy, w błocie, póki by do celu nie doszedł.

W tém była główna trudność, bo posądzano wszystkich bez wyjątku mężczyzn o stronność dla księcia, o tajoną przyjaźń dla niego, wreszcie o sprzyjanie sprawie męzkiej więcej niż wielkiemu przedsięwzięciu pięknych pań. Gdy przyszło do wyboru, zdania wielce się rozdziwiły, i podawani kandydaci przez te panie, niemal wszyscy odrzuceni zostali. Znalezienie potrzebnego człowieka było niesłychanie trudne... Obawiano się zdrady...

Po długich i burzliwych rozprawach, w których dzwonek prezydentki Anny często nie skuteczną, ale niespokojną odegrywał rolę,—stało na tém, żeby powierzyć jój samój wybór tego, którego sejm niewieści do odkrycia tajemnicy delegował. Piękna Anna wzięła to na siebie, mając w myśli niedawno ze wsi przybyłego kuzynka, śmiertelnie w nią zakochanego, o którego poświęceniu dla siebie nie wątpiła.

Dalsze prowadzenie ważnej dla wszystkich sprawy miano obmyślić naówczas, gdy kuzynek na pewno dojdzie do ukrytego skarbu i da o nim szczegółową wiadomość. Słódko o tym kuzynku jest konieczne. Był to młody staroście Zabielski, wielkich nadziei, ale małego doświadczenia w świecie; Anna obowiązywała się nim pokierować i być mu we wszystkiém mistrzynią.

Staroście, oddany przez matkę w opiekę pięknej Annie, zaczął od tego warszawską karierę, że się w niej śmiertelnie zakochał. Wychowany na wsi, chociaż ocierał się o świat większy, mało go znał wprzódy. Matka, kobieta najzacniejsza i nieumieją-

ca dostrzedz nigdzie złego, ani w nie uwierzyć, strzegła jego młodości i zachowała w nim świeżość serca, z którą przybył do Warszawy, ciekawy, rozmarzony, pragnący... Tu jakoś rozjaśniło mu się w głowie, ale odchorować musiał na utratę ideałów, na wiarę zachwianą w to, co święta matka tłumaczyła mu wcale inaczej, niż się z blizka pokazywało. Staś Zabielski pozostał tylko z jedną niewzruszoną wiarą... w piękną Annę... Miłość, z której sobie kuzynka żartowała, czyniła z niej dla niego bóstwo; widział w kasztelanowej samą doskonałość.

Niezbyt wielkiego umysłu, poczciwego dosyć serca, lekki i ulegający wrażeniom, Staś w świecie zaczynał odegrywać tę rolę, która dla niego była przeznaczona, istoty niesamoistnej, łagodnej, mającej być narzędziem silniejszych. Na teraz władała nim piękna Anna...

Nazajtruz po wielkim sejmiku niewieścim, wyprawiła Anna karteczkę do Zabielskiego, prosząc go do siebie na samo południe. Chłopiec przyleciał jak oparzony o jedenastą i przesiedział w przedpokoju godzinę, nim się pani trochę przybrała i stała widzialną. Wpuszczono go nareszcie do buduaru, w którym śliczna Anna właśnie piła czekoladę, siedząc jak zawsze naprzeciw zwierciadła. Była zachwycająca... w białych obłonach negliżu, w czepeczku rannym, z lokami rozpuszczonymi umiejętnie, w szlafroczku różowym, który roztwarty, bogato oszytą koronkami odślaniał spódniczkę. Koniec maleńkiej nóżki w pantofelku aksamitnym gryzł właśnie Dżidzi, który porzucił tę zabawkę, lecąc natarczywie na przybyłego... Staś przystanął we drzwiach, zachwycony obrazem... Anna

uśmiechnęła się w duszy, czując, jaki urok na niego rzuciła; nieśmiały młodzieniec z bijącym sercem ledwie umiał się przywitać.

— Chodźże tu bliżej, kuzynku... chodź i siadaj...
Chcesz filiżankę czekolady?

— O! dziękuję, dziękuję...

— Słuchaj, mam wielkiéj wagi sprawę, którą ci chcę powierzyć, *ce seront vos premières armes...* Ale nie zawieźże, mnie, starościcu... Wybrałam ciebie, bo wiem, że mi jesteś oddany. *N'est ce pas?*

— A! całą duszą... życiem.

— O! o! tylko proszę nie iść za daleko! Będę ci bardzo wdzięczna, ale bardzo!...

Spojrzenie dokończyło, pełne głębokiego znaczenia, pełne uroczych obietnic.

— Nim zacznę, dodała Anna stawiając filiżankę: muszę najprzód wymagać przysięgi...

— Na co każesz?...

— Przysięgi *d'un homme d'honneur*, na największą tajemnicę... *J'espère que vous êtes discret.*

— Jak kamień...

— Przysięgasz?

— Przysięgam na wszystko najświętsze... a najprzód na moją... na mój szacunek dla ciebie...

Podawała mu rączkę bieluchną, miękką, atlasową jakby dla przyjęcia przysięgi. Staś złożył na nią gorący pocałunek. Gotów był dać się powiesić za nią.

— Zobacz, czy ta nieznośna Róża nie podsłuchuje poddrzwiami. *Elle est d'une curiosité...* Idź na palcach...

Młodzieniaszek poszedł i obejrzał się dokoła, a Dzi-dzi towarzyszył mu w przechadzce, chwytając go za nogi.

— Nie ma nikogo.

— Siadajże, ale bliżej, abym cicho mówić mogła...

I wskazała mu miejsce tuż przy sobie.

— Wiesz, lub nie wiesz, musiałeś słyseć przecię, że ksiązę Józef, gardząc nami wszystkimi... pokochał się w jakiś prostej dziewczynie, w szurgocie, *une laveuse da vaisselle... enfin*, nie wiedzieć w kim... *C'est une horreur!* Postanowiłyśmy go ukarać! Ale potrzeba dojść kto jest ta kobieta, gdzie ona mieszka.. jak wygląda... a nikt dotąd téj tajemnicy przeniknąć nie umiał. Jesteś wybrany na to... musisz się dla mnie poświęcić....

— A! rzekł młody chłopiec... Ale nauczcież mnie co mam robić?...

— Śledzić go krok w krok i dojść, dojść koniecznie; naówczas doniesiesz mi gdzie się ta kobieta ukrywa. A... resztę zobaczymy...

Staś mocno był zmieszany: spodziewał się innej roli, wyznaczona zdawała mu się niemal uwłaczającą... Być szpiegiem, nawet dla ślicznej kuzynki, nie było dla niego miłym. Twarz jego mimowolnie wydała to wrażenie... ale Anna uśmiechnęła się, a oczy jój, przez chwilę skierowane na starościca, przekonały go wkrótce, że nie było ofiary, do którejby dla niej nie czuł się zdolnym...

— A więc?

— Zrobię co tylko będę mógł! rzekł Zabielski...

— Zrób nawet to, co ci się zda niemożliwe i wierz mojej wdzięczności...

— Idę, lecę, nie odstąpię go krokiem...

— Ale rozumie się, musisz go śledzić niepostrzeżony, przerwała Anna przestraszona: w największym sekrecie... Ksiązę jest domyślny, ty musisz być ostrożny, pamiętny. A teraz idź i nie trać czasu...

— Lecę! rzekł starościc...

Anna podała mu rękę na pożegnanie i upoiła go wzrokiem.

— Byleby jakiego głupstwa nie zrobił! rzekła w duchu; o zapale nie wątpię. Ale czy ten mu *da zrzeczność?*

Wybiegłszy dopiero na ulicę i ochłonawszy po wrażeniu tych czarodziejskich spojrzeń, które go nabawiły szału, starościc pomiarkował, że rzecz, której się podjął, nie była tak łatwa, jak się na pierwszy rzut oka zdawało...

Nie należał on do tych satellitów, do *teżyzny*, która nieodstępnie prawie okrążała księcia i całe dni z nim spędzała... nie mógł tak nagle przywiązać się, przyczepić i śledzić go niepostrzeżony... bał się, aby go nie odkryto, aby się roli upakarzającej, jaką przyjął na siebie, nie domyślono; nie chciał narazić się księciu i jego przyjaciółom, bo z wpływem ich walczyć nie mógł... Poczul, że się porwał na zadanie przechodzące jego siły...

Na los szczęścia rzucił się do powozu najętego i kazał wieźć się na Krakowskie, spodziewając się gdziekolwiek spotkać księcia i znaleźć pretekst, by się go uczepić na dzień cały. Ale zaraz na wstępie postrzegł karykl karemi końmi zaprzężony, który szybkim klusem mignął mu tylko przed oczyma i zniknął lecąc w aleje Ujazdowskie...

Staś kazał jechać za księciem...

Chociaż powóz, który naprędce pochwycił, zaprzężony był dobrymi końmi, świeżo sprzedanymi przez hr. Thomatisa, i rozpoczynającymi dopiero swój zawód

najemnikó w, nie można było niemi walczyć z rumakami księcia Józefa, który tylko kurzawę ogromną podniósłszy za sobą, mignął jak strzała i zostawił w tyle wszystkich. Na rogu alei Ujazdowskiej była naówczas modna garkuchnia, w której wyprawiano śniadania; najslawniejsze w niej były raki, ale że na nie pora jeszcze nie przyszła, zastępowały je kurczęta i różne przysmaki, a lepiej jeszcze olbrzymie libacye, tak naówczas częste i w codzienny prawie obyczaj weszły od Sasów.

Karykl księcia Józefa stał właśnie przed tym domkiem otoczonym zielenią, a kilka innych powozów dowodziło, że oprócz niego było gości wielu... Staś poznał konie Potockich, Lubomirskiego, Sapieby.... Choć nieproszony wcisnął się do sali...

Książę Józef przechadzał się, nie myśląc zasiaść do śniadania, zrobił grzeczność amfitryonowi, że przybył, ale nienawykły do kielicha, umoczył tylko usta i zabierał się już do odjazdu, pod pozorem pilnej bardzo wojskowej sprawy...

Staś przywitał się z nim grzecznie... i z przestraszeniem dostrzegł na twarzy księcia dziwny, prawie szyderski uśmiech.

— Al spodziewałem się tu ciebie! rzekł mu książę.

— Jak to?

— Chodź, to ci powiem dla czego, dodał pierwszy, biorąc go pod rękę i uprowadzając w głąb salki. No! patrz mi w oczy śmiało! Anna ci kazała mnie śledzić i wykryć tajemniczą istotę jakąś, o której wieść chodzi, że w niej zakochany szalenie. Nie kłam i przyznaj się... zdrowiej ci będzie.

Piorun byłby mniej może wstrząsnął starościca niż te wyrazy. Cofnął się przestraszony...

— Widzisz, ja jestem czarownik i wiem wszystko, nawet to, coście przed półgodziną mówili z sobą w buduarze Anny... choć jeden Dzidzi był świadkiem. Nie zapieraj się, nie mam ci za złe, żeś jój przyrzekł co chciała. Jesteś w tym wieku, kiedy dla czarnych oczu, dla ramion otoczonych koronkami białymi, osłonięnych w aksamity i atłasy, życie się nawet poświęca... Niestety! szkoda życia! ale mniejsza o to... Mina podsadzona podemnie jest odkrytą... ale mi cię żal, chcę cię ratować Stasiu...

— Mości książe...

— Dwa słowa... Daj sobie wieczorem zawiązać oczy, a będziesz widział tę, którą tak odkryć pragniesz... i pozwolę ci opowiedzieć co posłyszysz i zobaczysz... Chcesz?

Staś stał osłupiały. Struchlał, nie wiedząc co ma odpowiedzieć.

— Nie zapieraj się... przyjmujesz?

— Przyjmuję! rzekł zaczerwieniony chłopak... Ale książe się nie gniewasz?

— Widzisz, że się tylko śmieję...

Podali sobie ręce...

— Starościcu, jesteś młody, dodał książe Józef,— jedną ci dam radę: dawaj kobietom życie, jeśli je masz na zbyciu, ale... strzeż się w ich ręce powierzyć... honoru... Dziś to jest igraszka, jutroby mogło być gorzej... Do zobaczenia! o godzinie dziesiątej czekam cię u siebie... przyjdź pieszo... Dopóki nie zobaczymy się, nie masz prawa pisnąć ani słowa...

Staś skłonił się pomieszany.

— Unikaj dziś Anny... jutro powiesz jój ~wszystko... Latać za mną... byłoby napróżno, nie odkryjesz nic... ja ci sam wszystko pokażę... Anna będzie na

herbacie u hetmanowej, ty nie jedź... Zresztą bądź spokojny, wyjdiesz zawsze z tryumfem, zobaczysz to, czego świat nie widział... Do widzenia.

To mówiąc, księżę odwrócił się, wbiegł w kółko biesiadujących na chwilę i pojechał do Mokotowa, do księżny marszałkowej Lubomirskiej. Śniadanie, na które gwałtem wproszono Stasia, przeciągało się dalej, przybierając rozmiary niezmiernej pijatyki. Młodzież doszła do tego stopnia rozszalenia i dobrego humoru, iż przewidywać było łatwo, że się śniadanie na sucho bez jakiegóś historyi nie skończy. Jakoż w istocie gotowała się ta sławna później sprawa, o której wspomnieć musimy, bo maluje dobrze ten dziwaczny szal, jakiemu ówczesna młodzież ulegała. Rozpowiadano długo o tém śniadaniu, i Inflantezyk podróżny, który zostawił opis swój podróży po Polsce, wspomniał o niém jako o charakterystycznym rysie obyczajowym epoki.

Księżna marszałkowa utrzymywała u siebie w Mokotowie wielką ilość rozmaitego ptactwa i drobiu: bażanty, kury afrykańskie, pawie, które ożywiały ogród i dziedziniec. Do wielu ówczesnych fantazyj, na jakie próżnujący ludzie chorować zwykli, należała hodowla zwierząt, zamiłowanie w bonończykach, a u mężczyzn amatorstwo koni niepospolitych i drogich. Przeplacano taranty, konie izabellowe, małeńkie kucyki, długogrzywe lub fryzowane. Księżna marszałkowa lubiła bardzo swoje kury i gąski; może też krowiarnia Maryi Antoniny trochę na to wpływała. Po wyjeździe księcia Józefa do Mokotowa, młodzież wychylała kielichy, które wprędce rozpały głowy. Zrodziły się żale i pretensye do księcia, że im towarzystwa nie dotrzymał. Ktoś rzucił myśl: „Weźmiemy wina z sobą i pogonimy za nim do Mokotowa...”

— Brawo! jedźmy do Mokotowa!

W takim usposobieniu umysłów najniedorzeczniejszy wniosek bywa przyjmowany łatwo. Ruszyli się wszyscy, obsiedli powozy, zabrano kosz szampana, i cała ta czereda, śpiewając pieśni pół-francuzkie, pół-polskie, zatoczyła się przed ganek, gdzie naturalnie jej nie przyjęto; księcia Józefa także nie zastali. Odmówienie, które spotkali u drzwi, obraziło przewodców téj demonstracyi...

Musimy choć kartę wizytową po sobie zostawić...

— Zrobimy polowanie!

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale wszystek drób i ptactwo księżny marszałkowej padło ofiarą śniadania; kury, indyki, pawie, gęsi, pościno szablami. Trwała ta rzeź i upędzanie się za wypłoszoném ptactwem dobrą godzinę, a ludzie księżny, z razu spróbowawszy stanąć w obronie przeciw napaści, zmiarkowali, że z podchmielonymi nie ma co żartować, cofnęli się i wydali no pastwę nieszczęśliwe zwierzęta...

Dokonawszy téj krwawej zemsty na niewinnych ofiarach, tryumfatorowie powrócili w Ujazdowskie aleje, aby tam czas przepędzić aż do reduty... na którą umyślili wtargnąć wszyscy, ufarbowani i poprzebieran za kominiarzy... Przystosowanie do téj nowój wyprawy zabrało czas do wieczora.

Wieczorem przed redutą była herbata u pani Branickej. Książę Józef, który resztę dnia po przejażdżce rannéj spędził w domu z książką, ubrany w tę kurtkę, w której mu tak było ślicznie i do twarzy, pojechał do hetmanowej. Wiedział, że i król miał być tam

na chwilę. Traf chciał, żeby się z nim właśnie u drzwi spotkali.

— A cóż to ciebie Pepi nie widać nigdzie? spytał Stanisław August.

— *Cher onzle*, ci mnie tylko nie widzą, co nie chcą.

— Ale rzadkim poczynasz być w zamku...

— Zawsze jestem na rozkazy, najjaśniejszy panie, dodał ksiązę Józef.

Król westchnął i spuścił głowę... Weszli na wschody, gdzie u góry czekało króla niemal całe towarzystwo. Ksiązę Józef wsunął się w jego orszaku, i znalazł się wkrótce otoczony kwiatem kobiet wystrojonych, wybrylantowanych, które mu się uśmiechały z dziwnie szyderską miną...

Anna była pomiędzy nimi, prawie tryumfująca; udawała, że wacha przepyszny bukiet, który trzymała w ręku, ale oczy jej z ukosa wpatrywały się w bohatera, który postrzegłszy ją, ze szczególnym pośpiechem i nadszkwianiem zbliżył się zaraz do niej. Anna z razu udała, że go nie spostrzega, przywitała dosyć obojętnie; tak wymagała strategia, która każe grać chłód, gdy postrzega z drugiej strony choćby promyczek uczucia. Ksiązę Józef uśmiechając się ją przywitał.

— Jakżeśmy się dawno nie widzieli!

— A! to przynajmniej nie moja wina! odparła Anna z wymówką.

— Moja zbrodnia, do której się przyznaję, i na klęczkach o przebaczenie za nią proszę.

— Ksiązę to nie na mnie jedną jesteś tak niełaskaw, ale na cały nasz biedny świat... Utonąłeś gdzieś w swych książkach, czy... ja nie wiem, ludzie różnie mówią.

- A! czegoż to ludzie nie mówią!
- O! to prawda! na księcia szczególnie, o którego wszyscyśmy zazdrośni...
- Cóż naprzykład?
- Żeś zakochany...
- A! w pomywacze! *vieille histoire!* słyszałem...
- Bo jużciż w wieku twym, mości książe, nie można nie kochać...
- Ale można głęboko miłość ukrywać...
- Księżę westchnął.
- Jeżeli się jój wstydzić potrzeba...
- Jeżeli jest bez nadziei i bez przyszłości...
- Dla was, mości książe! nie ma miłości bez nadziei... cicho szepnęła piękna Anna.
- O! pani, rzekł książe—różne są nadzieje... Nazywam najnieszczęśliwszą miłością bez nadziei taką, która nie zasłania nam sobą całego życia aż do grobu... która jest jak kwiatek wdzięczny, co ma nieodzownie jutro uwieędnać; lepiej go nie zrywać.
- Dla czego? nie jestże wszystko szczęście tego świata tylko wonią kwiatka chwilową?
- To odstręcza od życia! westchnął książe. Szczęściem, że całe życie nie zamyka się w miłości...
- Tak, dla was... ale dla nas...
- A! droga pani, dajmyż pokój téj żegludze po rzece *du tendre*... mówmy otwarciéj, wybuchnął książe Józef. Szalony, ktoby życie za miłość postawił... bo któraż z was kochać umie?
- Mości książe!
- Któraż z was ma serce? dodał książe Józef: co się u was sercem i miłością nazywa? Bądźmy szczyrzy: fantazyja, podbudzona miłość własna, próżnostka, próżnowanie... ale cichego, głębokiego przy-

wiązania na wieki, gotowego do poświęceń... o! tego u was szukać byłoby stratą czasu i szaleństwem...

— I dla tego książę—odparła urażona Anna—puściłeś się w podróż odkryć pomiędzy... pomywaczki...

— *Vouz y tenez!* rzekł śmiejąc się książę; niech i tak będzie... Spodziewam się odkryć jeśli nie Amerykę, to choć spokojną jaką wysepkę na oceanie, gdzieby po trudach długiej żeglugi i burzliwego morza odetchnąć można...

— Coś w rodzaju Robinsona Cruzoe'go? rzekła Anna

— Pani dziś jesteś złośliwa.

— O! nie, wierz mi książę, jestem w jak najlepszym humorze...

— Ja także, zawołał książę Józef. Jak to się szczęśliwie schodzi! moglibyśmy zabawić się wesoło...

Anna spojrzała mu w oczy; w istocie błyszczał w nich dowcip i swoboda.

— On szczęśliwy! rzekła w duszy: z czoła mu promienieje tajemnica! Szczęśliwy... z kim? jak? *c'est indigne!*

W sercu pięknej pani zrodziła się zazdrość gorąca; książę patrzył na salon z obojętnością człowieka starego, którego by lalkami bawić chciano...

Piękna Anna odsunęła się powoli.

— Czeka! szepnęła w duszy: nie ukryjesz się przed nami, musimy wiedzieć twą tajemnicę; a wówczas *nous aviserons!*

— Mości książę! rzekł zbliżając się do niego Branicki, na którym znać było nieco hulankę obiadową i świeżo opuszczony stół biesiadniczy. Stoisz jak marmurowy Apollo belwederski wśród tego raj, zimny, obojętny... Jeśli tych oczu blaski nie potrafią cię ożywić, to cóż u licha życie w tobie obudzi?

— Co? rzekł książę: wiesz co? oto trąbka bojowa, koń rżący z niecierpliwości, kurzawa bitwy i pogoni, i gorączka walki zajadłej... A! gdyby znowu wojna, jakbym poleciał skąpać się w tym ukropiel... odżyłbym może jeszcze!! Tak gnuśnie patrzeć w czarne oczy... raj Mahometa... ale śmierć sercu mężkiemu.

— A! a! czarne oczy! piękna Anna! szepnął Branicki: widzę co się święci... i toż przecię walka... Życzę szczęścia i usuwam się z drogi...

To mówiąc wszedł między mężczyzn, a książę Józef po chwili wysunął się z salonu.

Starościc Zabielski, odprawiwszy swój powóz, czatował już na księcia Józefa, i gdy ten powracał do domu, znalazł go na ganku, trochę ostudzonego chłodem wieczornym i rozmyślaniem dnia całego.

— A! słowny jesteś, rzekł książę: to dobrze; chodź ze mną, zdaje się, że nie pożałujesz zachodu.

Weszli do saloniku, w którym gospodarz zostawił gościa, dając mu jakieś wielkie *in folio* do przeglądania, a sam poszedł się przebrać. W kwadrans potem powrócił po cywilnemu i zawołał do starościca po francuzku:

— Jeszcze mamy jedną formalność do spełnienia. Oczy ci zawiązę; ale gdybyś przypadkiem jakim odkrył okolicę i poznał miejscowość, wymagam słowa honoru, że o niej Annie słowa nie powiesz.

— M. książę, rzekł starościc: ponieważ mnie sam wieziesz, nie masz się o co obawiać.

— Więc idziemy... Służę ci.

Nie wyszli z pałacyku przez główne drzwi, ale bocznymi wschodami. Książę przeprowadził Zabiels-

skiego po ciemku; ścieżką, która szła do ogrodu, spuścili się na dół, wyszli fórtką ukrytą w zaroślach, a na ulicy zastali stojący powóz zamknięty, bombę w rodzaju tych, jakie wówczas były w modzie. Książę wpuścił najprzód starościca, czarną chustką silnie zawiązując mu oczy, siadł potem sam i szepnął coś furmanowi. Powóz mimo ciemności potoczył się szybko... Staroście spodziewał się zorientować, wkrótce jednak poplątało mu się w głowie; czuł bruk pod kołami, potem ziemię ubitą, potem znów twarde kamienie, i znowu miękkie błoto wiosenne, i znów nierówny bruk miejski... Powóz po dobrej półgodzinie szalonego biegu wstrzymał się, a książę wyciągnął starościca, zakazując mu oczy odsłaniać; ujął go za rękę i poprowadził z sobą po cichu. Zabielski słyszał otwieranie fórtki i drzwi kluczem, który przybyły miał z sobą... Raz czy dwa woń zielonych drzew i gałęzie wilgotne rosą wieczorną dały się uczuć starościcowi; potem weszli do mieszkania.

— Stój tu, rzekł książę: naprzeciw ciebie są drzwi szklane przysłonione firanką. Możesz ją ostrożnie poruszyć i patrzeć... ale siedź cicho... bo się pogniewamy. Jeśli masz kaszel, staraj się go stłumić w sobie.

Zabielski, usłyszawszy instrukcję, żywó oderwał z oczu zasłonę i obejrzał się. Księcia już nie było... Stał w pokoiku ciasnym, ciemnym, ale trochę światła wpadało do niego przez zasłonę we drzwiach, u których go postawiono. Z ciekawością niezmierną Staś zbliżył się do nich, poruszył firankę, i wzrok chciwy zatopił w przyległym pokoiku, w którym panowała cisza.

Pokoik był bardzo skromny, cały ukwiecony, świeżuchny, w okienkach białe firanki upięte wdzięcznie, sprzęt przyzwoity, jakkolwiek niewytworny wcale... Stolik, kanapka, mały klawikordzik w kątku, na którym leżały nóty otwarte, na stoliku trochę książek i papierów; świeca woskowa paliła się, niebardzo strzeżona widać, bo długi knot jój świadczył, że o niej zapomniano.

Tuż w fotelu drzemała staruszka, której pończocha spadła na kolana, a głowę pochyliła aż na piersi; sen widocznie ją zmógł mimowoli, bo palce trzymały jeszcze dróty i poruszały się nieco, jakby do pracy powrócić chciały... Naprzeciw zamysłone, z rączkami skrzyżowanymi na kolanach, z główką pochyłą, siedziało dziewczę dziwnie piękne, drobne, kształtne, z czystym czołem dziewczęcym, które koronowały gładko uczesane włoski, z różową buzią aniołka i wyrazem niewinności na twarzy, prawie dziecięcej. Staś uderzony był tą pięknnością, niepodobną do hałaśliwych, narzucających się wdzięków pań stołecznych; była sobie cicho piękna jak obrazek jakiś, jak marzeńko niebieskie, i tak beznamiętnie, spokojnie szczęśliwa, jak gdyby dla niej zakres pragnień nie przechodził progu izdebki. Kiedy niekiedy spoglądała na staruszkę i uśmiechała się nieznacznie z wyrazem przywiązania i czułości.

Gdy się tak staroście przypatruje ciekawie, chwytając wszystkie szczegóły obrazka, drzwi się otworzyły i wszedł powoli na palcach książę... ale nim jeszcze ukazał się w progu, już przecucie zwróciło ku niemu główkę dziewczęcia, które zadrżało, zerwało się z krzeselka i na palcach pobiegło ku niemu, wskazując uśpioną staruszkę...

Zdumiał się bardzo starościc, widząc, że ksiązę przywitał podbiegającą pocałowaniem jój ręki, nie okazując wcale spoufalenia zbytniego... ale natomiast w oczach jego i Julii promienista świeciła radość.

— *Mais c'est une idylle!* rzekł w duchu starościc, któremu żywo biło serce.

W tój samój chwili staruszka się przebudziła; żywo najprzód zaczęła robić pończochę, nie spostrzegłszy księcia, otarła knot u świecy, i zobaczywszy go dopiero, zerwała się zmieszana...

— A! mości ksiązę! odezwała się po francuzku stara. Mogłoby się wydać komu, żem zasnęła, chociaż doprawdy nie spałam. Julka siedziała zamysłona, i mnie także przyszły wspomnienia do głowy... sama nie wiem...

— Ale moja Lagrange... grzech to niewielki... gdybyś nawet zdrzemnęła...

— Doprawdy m. ksiązę, nie spałam...

Julce pusty śmieszek przelatywał po ustach, ale usiłowała go ukryć i przytłumić... Patrzała na księcia, a ksiązę na nią z uczuciem spokojnego przywiązania...

Starościc stał osłupiały.

— Cożeś robiła, moja panno Julio? zapytał po chwili.

— O! dzień nam przeszedł jak zawsze w pracy...

— Ona się istotnie zmęczyła, podchwyciła p. Lagrange. Z rana przychodził Folino do rysunku... pokazuje album moje dziecię... potem de Santis do śpiewu i do fortepianu... potem czytaliśmy razem...

— A! tego nudnego Rollina... przerwała Julia... aleś ksiązę kazał uczyć się...

I spojrzała na niego...

— I chodziłyśmy na przechadzkę, dodała starszka.. wieczór był prześliczny...

— A więcój co, moja miła? zagadnął ksiązę.

— No cóż, tęskniłam po księciu... odparło dziewczę: jak zawsze...

— O! czyż po mnie?

— Alboż jest kto dla mnie więcój na świecie nad mojego księcia, mojego pana?

— Opiekuna, dodał ksiązę Józef wesoło—starego, nudnego opiekuna, który przychodzi dawać nauki moralne, bez względu na wiek, na młodość trzpiotowatą.

— Ksiązę się obgadujesz, rzekła Julka; a mnie się na lzy zbiera, gdy na ciebie patrzę...

— O! już jak ona kocha księcia, to doprawdy aż do niedorzeczności, odparła p. Lagrange. Cały dzień żeby pomyślała o czém inném: rysuje, mówi o księciu; chodzimy, patrzy tylko czy go gdzie nie zobaczy.

— I nie nudno ci tak, moja Julko? spytał ksiązę...

— A! możeż być nudno w takim szczęściu?

Starościc dojrzał lzy w jój oczach... Spuściła główkę i zarumieniła się milcząca.

— Ale ksiązęby co może zjadł? przerwała p. Lagrange; mamy poziomki... śmietankę...

Julka nie mówiąc podniosła oczy na niego powoli, a Francuzka zaczęła się krzątać około podwieczorka... Zostali sam na sam; coś szeptali z sobą, ale starościc z podziwieniem przekonał się, że ta pogardliwie pomywaczką przezywana dziewczeczka, była dla księcia jakby dzieckiem ukochaném; że miłość jego dla niej

była pełna poszanowania i tkliwości, czémś na ów wiek zepsucia niepojęcie czystém, idealném.

Z obu stron widać było przywiązanie namiętne, ale umyślnie ze strony księcia utrzymujące się w granicach szczęścia czystego i niezakłóconego.

Gdy w niebytności pani Lagrange pocałował ją w czoło ze wzruszeniem, Julia oblala się rumieńcem, jak krwią cała, pochyliła się na jego ramię i znowu parę łez brylantowych zaświeciło na jój powiekach.

— O mój panie! jakże mi dobrze żyć tém życiem, które otwarłeś przedemną, coraz szerszém sercem, coraz silniejszą myślą, coraz większym spokojem ducha! Cóż gdy czuję, że te kwiaty dla mnie rozwijają się nad brzegiem przepaści. Ciebie inny świat, inne przeznaczenie czeka... każda chwila może mi ciebie odebrać... a potem... cóż? samotna śmierć...

Po czole księcia przeleciała chmurka i westchnął...

— Nie Julko, póki ty mnie kochać będziesz i ja ciebie, nic nas nie rozdzieli... Tyle mojego szczęścia, co przy tobie i z tobą... Może przyjsć chwila, gdy mnie obowiązek honoru powoła z orężem w rękę na pole walki, wówczas rozstać się będziemy musieli.. Może umrę... mam przeczucie wczesnej śmierci, ale się jój nie boję, wierzę w przeznaczenie zagrobowe... dziwne sny mi przelatują głowę... Wiesz, zdaje mi się często, że pamiętam jakieś życie przed tém życiem i spodziewam się życia po śmierci... Jakiego? nie wiem. Czuję, że ciebie gdzieś wprzód widziałem... spotkałem, żeśmy się już kochali dawniej... Byliśmy dwojgiem ptaków... lataliśmy razem nad szerokimi płaszczyznami, mieliśmy gniazdko u brzegu w sitowiacach... Mnie dziki strzelec zranił, padłem w wodę i tonąłem... czułem krzyk twój... latającój nademną....

muskalaś skrzydłem fale, które mnie pochłonać miały; jam się pasował z niemi... naostatku i głosu już twego nie słyszałem... Głucha, straszna otoczyła mnie ciemność, jakby sen długi bez marzeń...

— Co też to książę sobie roisz! zawołała Julka, której usta uśmiechały się, a oczy zachodziły łzami. Ja doprawdy niedobrze nawet rozumiem... Gdzieżby człowiek mógł się stać ptaszkiem, albo ptak człowiekiem?

Książę zadumał się chwilę...

— Ty możesz być kwiatkiem na łące, różanym, nie prawdaż? rzekł uśmiechając się.

— Książę sobie żartuje...

Wtém pani Lagrange wniosła poziomki i śmietankę. Książę zasiadł z Julką przy stoliku i zaczęła się cicha rozmowa...

Staroście patrzył, i ta scena sielankowa, to rozmowy urywane, to obejście się braterskie księcia Józefa, niezrozumiałemi mu się zdawały, jakby komedia dziwna i prawie śmieszna.

Już ten świat Warszawy trochę go był zepsuł; ale Zabielski był młody i uczucie wkrótce przemogło... Z uwielbieniem, z zazdrością począł się wpatrywać w ten obrazek cichego, spokojnego szczęścia.

— A teraz do egzaminu! zawołał po chwili książę: pokaż mi robotę... zagraj mi co, zaśpiewaj...

— De Santis z niéj nadzwyczaj kontent, rzekła szybko pani Lagrange; mówi, że świeższego, piękniejszego głosu nie słyszał od dawna... Rokuje Julce świetne powodzenie, gdyby kiedy w operze wystąpić chciała.

Książę się rzucił i zmarszczył.

— Co za myśl! zakrzyknął. Teatr! nigdy na to

nie pozwolę... Czyż głos Bóg dał na to, aby koniecznie z niego szukać chluby, oklasków i zysku? Dośćby było nogą stąpić na te deski, aby stracić spokój i niewinność duszy!

Julka pobiegła do fortepianu i nie słysząc protestacy księcia, zaczęła świeżym, pełnym głosem aryę Mozarta; ale po pierwszych taktach ksiązę jej przerwał.

— Dość! dość! rzekł; ta myśl teatru truje mi wrażenie jej śpiewu... Zdaje mi się, że ją widzę zmienioną, wystrojoną, śmiejącą się stu na raz czcicielom... wietrznicą, pustą i bez serca...

Julka skoczyła od fortepianu i żywo przybiegła do księcia, patrząc mu w oczy wzrokiem, w którym oburzenie błyskało.

— Ksiązę, rzekła, niewszystkie kobiety rodzą się bez serca, lub tracą je w młodości... Ja czułam je w piersi, nim nazwać jego bicie umiałam; ja go już nie stracę. To życie, o którym mówi stary de Santis, nie uśmiecha mi się wcale, wystrasza mnie jak groźba. Ja kocham ciszę, spokój, ten mój los, nad który szczęśliwszego nie pojmuję, ja czuję, że oklaski nie nasycają, że burzą i niepokoją... Chciałabym śpiewać dla mego opiekuna, grać, uczyć się, wyrozumnieć, wypięknąć, aby mnie uznał kiedy za godną tego przywiązania braterskiego, którym mnie biedną obdarował niezasłużenie... Chciałabym być czems dla niego, dla niego jednego... a potem, gdy mu się znudzę, gdy mnie odepchnie, zapomni, resztę życia spędzić we wspomnieniach, na marzeniu o chwili szczęścia, na rozpamiętywaniu dni jasnych...

Julka rozplakała się, ksiązę ją uspakajał czule, ale znać było po nim, że się powstrzymywał i ha-

mował, że więcej czuł niż okazywał, że umyślnie nawet wesołość, której w duszy nie miał, udał dla jój rozweselenia. Powrócono do poziomek.

Staroście patrzył przejęty, a ile razy wzrok księcia skierował się ku niemu i fircance, za którą stał, prawie się gniewał na niego za to obojętne postawienie go za drzwiami szczęścia, jakby nic nie znaczącą jakąś istotę.

Pokutnicze wyczekiwanie za drzwiami i przypatrywanie się scenie, która coraz zajadlejszą zazdrość budziła w Zabielskim, trwało dosyć długo. Naostatkiem książę po rozmowie cichój z Julką, którą potrafił rozweselić i ożywić znowu, pożegnał ją i panią Lagrange, co zjadłszy niemal wszystkie poziomki, już drzemać znowu poczynała. Po chwili staroście uczuł rękę, która go ujęła i wywiodła na powietrze. Książę zawiązał mu oczy, wsiedli do powozu. Jakiś czas milczeli oba, nareszcie książę się odezwał poważnie:

— Widzisz teraz tę rozpustę sybaryty, szukającego upojenia w poczwarnych jakichś zachceniach. Nadto jesteś młody, abym potrzebował ci dowodzić, że ten stosunek zrodziła pustka serca, brak uczucia, a nie szal jakiś zwierzęcy. Nasz świat, starościcu, jest światem drewnianych lalek, po których towarzystwa żywego człowieka, serca prawdziwego pragnie się jeszcze goręcej. Te lalki ludzają cię pozorem, drażnią, do rozpacz przywodzą. Któż mi może wzbronić tego pół-braterskiego, pół-ojcowskiego szczęścia, którego kosztuję przy tém dziecku?.. Można mię spotwarzyć, o te nie dbam... Lecz okrucieństwem by-

łoby stawać mi na drodze... i śmiałek, coby to przedsięwziął, życiemby przyplacił pewnie. Po atmosferze salonów tu świeżem oddycham powietrzem, tu naturalnego widzę człowieka, tu czuję serce, tu Kocham i zapominam o wszystkiem. Możesz opisać Annie coś widział,—dodał ksiązę—ale nie podawaj tego w szyderstwo, bobyś popełnił występki...

Staś milczał, dziwnie przejęty i pomieszany...

— Gdzie cię mam wysadzić? spytał ksiązę Józef.

— Gdzie się księciu podoba.

— Może naprzeciw mieszkania Anny? Zdasz jój sprawę z posłannictwa pod pierwszym wrażeniem, to lepiej. Nie ma więcj nad północ, wpuszczą cię jeszcze... Zaspokój to gorączkowe pragnienie ciekawości.

Po chwili powóz na dany znak wstrzymał się, i staroście zamyślony znalazł się przed pałacem zajmowanym przez Annę. Ksiązę odjechał ku zamkowi, a Zabielski ogłuszony zastukał do bramy, po za którą świeciło się jeszcze.

— Pani wróciła? spytał szwajcara.

— Nie ma jój, ale jest spodziewaną co chwila; a przykazano mi, gdybyś jw. pan przybył, prosić, byś na nią raczył poczekać.

Staś wszedł na wschody, układając w głowie co jój rozpowie.

W sali palił się ogień na kominku, w żyrandolach światło; u drzwi Louis drzemał oczekując, a Dzidzi na aksamitnej poduszce zawarczał z daleka, muijęd będąc zuchwałym w niebytności pani. Staroście rzucił

się na krzesło; głowę miał pełną obrazu, który tylko co widział, serce jakieś rozkołatanę, niespokojne. Szczęście sielankowe księcia Józefa w tym salonie zdawało mu się prawie śmiesznem, tak jak ów salon z izdebki Julki wydałby mu się nieprawdopodobnym. Porównywał w myśli Annę z tą prostą dziewczeczką, i namietność tylko ciągnęła go do pierwszej, gdy do drugiej wiodła siła nieznaną spokojnego współczucia.

— Jestem śmieszny przez swoją wrażliwość, rzekł do siebie. Jak to być może, żeby to dziewczę taką w mych pojęciach czyniło zmianę? Dla czego Anna zdaje mi się mniej powabną? Dla czego te wspaniałości i zbytki rażą mnie jak teatralne lachmany?..

Domawiał tych wyrazów, gdy szmer się zrobił w domu, i piękna Anna w szalu indyjskim, który się za nią włókł puszczonej z ramion, w toku z piórami, wśliznęła się do salonu.. Dzidzi wybiegł naprzeciw niej szeczekając.

— A! staroście! zawołała, szukając oczyma nie jego, ale zwierciadła: — z raportem! nie prawdaż?..

Staś zdziwił się, mimo blasku stroju obrachowanego na podniesienie jój wdzięków, znajdując ją mniej piękną niż zwykle, ładną sztucznie, zbyt wymuszoną pięknnością. Anna rzuciła się na sofę.

— Cóż masz? spytała cicho, ze zwierciadła rzucając na niego wzrokiem omdlałym.

Starościec nie bez zgryzoty pewnej sumienia zaczął jój opowiadać wszystkie przygody. Anna słuchała milcząca, niekiedy uśmiechając się kwaśno. Mimowoli w mowie starościca czuć było zazdrość trochę i zbyt wielki zapal dla ubogiej dziewczeczki.

— Wszyscyście tacy, przerwała mu wśród opowiadania Anna. Byle co nowego, niezwykłego,

choćby brudne dziewczę z garderoby... imaginacya się zapala... A! fe!

— Pani, rzekł Staś, to wygląda wcale inaczej niż sobie wyobrażasz!

— Cóż tedy, idylla!... mów dalej.

Starościec mówił, plątał się, Anna parę razy ziewnęła.

— Wiesz przecież gdzie to jest? spytała obojętnie.

— Miałem oczy zawiązane.

— Mogłeś trochę im sfolgować...

— Dałem słowo.

— W takich rzeczach?

Staś się trochę obruszył.

— Ale mi już teraz na nic niepotrzebne, dodała Anna chłodno: dziękuję ci za staranie; ale musztarda przychodzi po obiedzie, ja wiem już wszystko...

— Jak to? zkąd? spytał starościec zdziwiony.

— Myślałeś, że się na ciebie spuszcze?... Przeczuciałam, żeś nadto młody do téj missyi poufnéj; prosiłam kogo innego, i ten mi doszedł zaraz gdzie ona mieszka. Jutro zobaczę i osądzę własnymi oczyma...

Staś, który sądził, że mu będą bardzo wdzięczni, smutnie spuścił głowę.

— A! jak późno! zawołała Anna, patrząc w zwierciadło razem i w zegar nad kominem: idź spać! musiałeś się zmęczyć.

I podała mu białą, okrytą brylantowemi pierścieniami rączkę do pocałowania... mówiąc: „Dziękuję ci.“

W głosie tym było się można domyślić wymówki za okazany entuzjazm dla Julii, jakby: „Dziecko jesteś...“

— Nic mi pani nie masz więć do rozkazania? spytał starościec.

— Tylko jak najściślejszą tajemnicę .. dobranoc.

Stał smętny i pomieszany, powoli wyszedł jednymi drzwiami, gdy Anna, zawsze biały swój szal wlokąc za sobą, sunęła się drugimi do sypialni, prowadząc Dzidzi, który naszczekiwał..

W ówczesnej alei Ujazdowskiej zaczynały już gdzie niedzie wznosić się małe drewniane lub w części murowane domki, wśród rozległych ogrodów. Głucho tu jeszcze było i mniej życia panowało w tej stronie niż dzisiaj, ale w lecie szukano tu powietrza wiejskiego, a ogrodnicy spekulowali, zasadzając owocowe drzewa i warzywa. Wśród tych sadów gdzie niedzie mały parterowy domek, na letnie przeznaczony mieszkanie, wznosił się niepozorny i skromny. W ogóle małe te mieszkanie nie zwracały oczu wcale, nikt tam znaczniejszy jeszcze się nie osiedlił... W pośrodku prawie alei, po prawej stronie jadąc od Warszawy, dosyć obszerny grunt opasywał w części mur, a w tyle wysoki parkan drewniany... Zamknięta prawie zawsze fórtka od alei nikogo nie nęciła, tak była prosta i niewykwintna. Od ulicy żadnego nawet domu widać nie było. Stał on w głębi otoczony drzewami, na końcu alei z grusz i jabłoni wyglądał jak uboga chatka ogrodnicza.

Nikt się tam nie domyślał mieszkańców, tak byli dobrze zakryci wśród zieleni, gałęzi i bujnych grząd ogródka... We dniu fórtka była szczelnie zamknięta a drugie wejście od Mokotowskiej uliczki, niedostrzeżone, niepozorne, służyło do codziennych stosunków z miastem... W tym domku o kilku pokojach od roku już mieszkała Julia. Pani Lagrange uchodziła,

za jęj ciotkę, a Folino i de Santis nie wiedzieli wcale o stosunkach pięknej dziewczeczki z księciem.

Stary Włoch wygadał się niepotrzebnie z uwielbieniem dla głosu nieznanomęj dziewczeczki z Ujazdowskiej alei, i przez jego to paplanie o portrecie księcia Józefa, wiszącym w pokoju jęj, odkryto Julki mieszkanie.

Wszakże, wiedząc nawet gdzie się ukrywała, niełatwo się tam było dostać.. Pani Lagrange, surowa i podejrzliwa, obawiała się i księcia, i strzeżonęj przez się dziewczeczki, i intryg miejskich, któreby spokojny jęj byt zachwiać mogły. Furtka od alei otwierała się tylko na wieczorną przechadzkę, a od ulicy dla służącęj i ogrodnika. Klucze zawsze prawie nosiła przy sobie sama Lagrange. Julka, której w tém zieloném gniazdeczku było dobrze, wcale nie utyskiwała na zamknięcie i odosobnienie, ciężęło ono nieco Francuzce tylko, ale powoli przywykała do niego.

Nazajutrz około południa od drzwi ulicy zadzwoniono natarczywie; trafiało się to często przez omyłkę szukających kogo innego, ale tym razem zakwefiona kobieta wyraźnie zażądała widzieć się z panią Lagrange... Wypadek był nadzwyczajny; sługa pobiegła oznajmić, zostawiwszy przybyłą w korytarzyku...

Francuzka mocno się przelękla i wybiegła do sieni..

— Co to być może? kto to być może?

— Madame, odezwał się z pod czarnego kwefu głósik kobiecy: słówko tylko... pozwól mi wnijsć do środka.

— Pani... tu nikt nie wchodzi... ja nie mogę...

— Przychodzę od króla... przerwała nieznanoma. Ściągniesz na siebie pani gniew jego, opierając się napróžno... Prowadź mnie pani do pokoju.

Lagrange zmieszana nie wiedziała co począć. Tymczasem przybyła wymięła ją i posunęła się żywo, instynktem zgadując dokąd iść należało...

W saloniku małym siedziała Julia u fortepianu i śpiewała... Czysty jój głosik rozlegał się daleko. Nieznajoma na palcach wcisnęła się, stanęła, patrzyła, a kwef jój oddechem niecierpliwym się poruszał. Nie zważając na panią Lagrange, stojącą i drżącą ze strachu, rzuciła się na krzesło...

Julka śpiewała... Po chwili głos jój umilkł, ręce zsunęły się z fortepianu, zamyśliła się, westchnęła i oczy skierowały się ku pięknemu pastelowi Marteau, wyobrażającemu księcia Józefa...

Gdyby kto był w téj chwili podniósł czarną zasłonę, okrywającą twarz Anny, dojrzałby gorejący na niej rumieniec, który przebijając bielidło, coraz krwawszym oblewał ją płomieniem zazdrości i gniewu... Ręce jój drżały, pierś podnosiła się żywo, naostatek odwinęła kwef, który ją osłaniał i podeszła wprost do klawikordu. Julia sądziła po chodzie, że pani Lagrange się zbliża, i przelekkła się straszliwie, ujrawszy nagle zupełnie nieznajomą kobietę, wlepiającą w nią oczy ogniste, jakiegoś uczucia, dla Julii niewytlómaczonego, pełne... Krzyknęła porywając się z siedzenia.

Anna wciąż na nią jeszcze patrzyła, zdając się ciekawością przebijać zasłony. Wzrok ten zuchwały wielkiej pani, przyglądającej się istocie, którą miała za daleko niższą od siebie, miał w sobie coś tak przykrego i bolesnego, że Julia uczuła od niego ból wewnętrzny; instynktowo otuliła się rękami, cofnęła krok, oddech się jój wstrzymał, uczuła zbliżające się niebez-

pieczeństwo i oczyma poczęła szukać opieki pani Lagrange, która stała w kątku, równie jak dziewczę przelekła.

— Czego pani chcesz odemnie? dla czego się tak we mnie wpatrujesz?

— Patrzę i nasycić się nie mogę! odparła syczącym głosem piękna Anna. Jesteś prześliczna moja panienko! ale ci to nie daje prawa jeszcze tak się patrzeć na ten portret... Za wysoko sięgasz oczyma...

Julia uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

— Pani! cożem winna?

— A tak! tyś nic niewinna, zawołała Anna miarkując się; tyś niewinna jak my wszystkie, i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego... Ty go kochasz?

— Pani!.. Julii słów zabrakło; łkanie precisnęło się przez usta...

— Ty go kochasz? nie prawdaż?

— Jesteż to grzechem? możeż być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odzyskując przytomność. Cóż świata i pani, której nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! ale ja cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Zkądże to miłosierdzie?

W téj chwili dwa wzroki kobiece spotkały się z sobą, i Julia poczuła się już równą Annie... Oburzyło się w niéj uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dla czegoś tu pani weszła? Kto panią wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną, zdawało jéj się, że tak z góry potrafi obejść się z wylekłą dziewczę-

czyną, iż teraz pojąć nie mogła, dla czego wstyd jej było, i jakiś ogarniał ją niepokój.

— O! nie gniewajże się moja piękna panno, dodała uśmiechając się kwaśno. Jestem krewną, tak jak siostrą księcia... przyszedłam cię przestrzedz i ratować. Rodzina nasza nie ścierpi takiej miłości, takiego związku; książe jest lekki i płochy, nie chcemy też, żebyś na niego i na nas narzekała.

W tém wszystkiém bardziej jeszcze w głosie niż w wyrazach, było tyle płataniny, wahania się, sprzeczności, że Julii serce samo wskazywało jakiś podstęp.

W miarę jak wielka pani traciła odwagę, ona jej nabierała.

— Jedném pani słowem odpowiem, odezwała się Julia. Pomiędzy mnie a księcia nikt nie ma prawa wchodzić. Książe jest wolny, jam swobodna; wiem, że nas dzieli przepaść, i patrzę na nią śmiało, bo to ramię, na którym wesprzeć się mogę jak na ręku ojca, przeprowadzić mnie może przez nią, ale nie wepchnie w nią nigdy. Ja mu wierzę. Czernisz go pani, zarzucając mu płochosć. Jest płochym może z ludźmi płochymi, jest poważnym i surowym ze mną i dla mnie. Cóż zresztą komu do tego, że cierpieć mogę? Skarżyć się nie będę, a jeśli chwilę spokojnego i czystego szczęścia oplączę tęsknotą długą... to mój rachunek z sumieniem i Bogiem!... Książe jest szlachetnym, książe jest dla mnie tylko opiekunem i bratem, a choć świat w przywiązaniu naszym dopatrzy plam, przez oczy splamione, ja wyjdę czysta i spokojna.. Tak jest pani, kocham go, zginę dla niego jeśli będzie potrzeba... ale siebie i jego nie skazę narzekaniem. Co wam do mnie ubogiój i biednej dziewczyny? co wam do cichego mego szczęścia?

Anna stała, słuchała ze zdumieniem. Ta śmiałość, ten zapał, z jakim mówiła Julia, były dla niej rzeczą tak nową, że się czuła upokorzona i zmieszana.

— Przepraszam, odezwała się wreszcie — bardzo panią przepraszam. Spodziewam się, że mnie przynajmniej nie oskarżysz przed księciem.

— Nie mam dla niego tajemnic.

— Moje chęci były jak najlepsze... nie myślałam, że obrazę i narażę się... przyszedłam tu... ale się cofam... Nie chcesz pani rady... nie obawiasz się przyszłości... tém lepiej... ale strzeż się!... strzeż się!.. Młodość nie umie ocenić życia, rzuca się zuchwale...

Julka wcale nie przejęła się tych wyrazów, uczucie napępniało oczy jęj łzami; podniosła je z wolna na portret księcia i dodała:

— Bądź pani spokojna... Ten, którego kocham, nie jest pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, wysysającym kwiaty motylem; więcej ja mu winnam, niż poświęcić dla niego moję... Z radością, ze szczęściem poniosę życie w ofierze... i nie zakłócę jednęj jego godziny... Odepchnie mnie, pójdę w milczeniu i nie jęknę...

To mówiąc, ukłonem poważnym pożegnała Annę, która postawszy jeszcze chwilę, dōsyc pomieszana i prawie zawstydzona, powoli wysunęła się z pokoju.. Julia padła na kanapkę zemdlona.

Z tego wejrzenia na Julię, na dōmek, w którym mieszkała, na to małe a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna wyniosła tylko jednę naukę, zdawało się jęj, że książę, aby kochać, potrzebuje miłość oprawić w ramki drewniane i bluszczem ją ustroić, że chce

cichego, skrytego, jakiegoś sielskiego kochania. Płocha wietrzniczka dostrzegła tylko lupinę, nie pojmowała istoty przywiązania i tego, co je rodziło.

— Ale ona wcale nie jest piękna, mówiła wracając do siebie: sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone... choć zresztą małe i kształtne... coś pospolitego w postaci... trochę młodości... nie lękam się jój... Książę chce widocznie sielanki. O! potrafimy przecię i my ją skomponować.

Z głową rozplamioną wpadła do domu, a przed bramą zastała właśnie *Dziobatkę*, która odjeżdżała nie zastawszy jój. Wychyliła się z karety, przywołując przyjaciółkę i obie razem weszły do salonu. Na twarzy malowało się niezwykle uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni, zatraskując drzwi gabinetu. Słowo?...

— Najświętsze!

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niej!

— U kogo?...

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją własnymi oczyma... wiem wszystko.

— A! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazyja zdzięcałego człowieka... niby sielanka! zaczęła nieporządnie odpowiadać Anna, mieszając to co widziała, co chciała zrobić, co sądziła i co się jój zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach kobiety, której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przybrało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z niego scenę dramatyczną, przekreśloną, uzupełnioną i artystycznie dosztukowaną... Co szczególnie, że własna Anny kompozycja, zmieszana ze wspomnieniem

świeżem jeszcze, utworzyła dla niej nieprawdziwą prawdę, w którą jak najświęciej uwierzyła.

Dziobątka słuchała trochę niedowierzająco, ale dosyć sympatycznie.

— Wiesz co uczynię? dodała w końcu Anna: natychmiast najemę domek w alejach; stroję go, przebiegam się za dziewczeczkę prostą, i jestem pewna, że księcia Józefa mieć będę, że mu się oczy otworzą...
Elle est si commune!

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka. Oddalić tę panienkę, a zająć jej miejsce... zastanie ciebie w jej miejscu, to się przyczyni do wrażenia; ona mu się już też znudzić musiała...

— Pst! pst! cicho! i tajemnica jak największa! Zobaczymy!

Potem trwały jeszcze długo narady, i przyjaciółki rozeszły się w jak najszcześniejszym usposobieniu, całując się serdecznie, co dowodziło, że jedna drugiej były w tej chwili potrzebne.

Przez kilka dni nic nowego nie zaszło. Julia, przechorowawszy odwiedziły Anny i długie omdlenie, na usilne prośby pani Lagrange, która się obawiała, aby jej książe nie oddalił i za opieszałość się nie gniewał, postanowiła zamilczeć o całej tej scenie, która na długo zostawiła w jej sercu smutek i jakieś zwątpienie. Gdy książe przybył wieczorem i zastał chorą Julię, wytłómaczyła mu się z tego zaziębieniem, gorączką; domyślał się wprawdzie czegoś, ale Julia starała się usunąć podejrzenia. Nazajutrz rano przyjechał Lafontaine i nic nie znalazł prócz nerwowego podrażnienia osłabienia; szepnął księciu, że przyczyn-

ną słabości nie musiało być zaziębnienie, ale jakieś uczucie, jakiś wpływ moralny...

Podwoił księżę czułości, starania, wesołego humoru, aby te chmury rozproszyć, a na trzpiotowstwie i dowcipie nie zbywało mu; ale ta przymuszona wesołość zdawała się powiększać jeszcze smutek Julii.

— „Cóż się tu stało?“ mówił w duchu księżę. Staral się rozpytać Francuzki, ale wylękla staruszka zaklinała się na wszystko, że nie pojmuje co mogło być przyczyną smutku, że żadnej widocznej przyczyny nie wie i t. p.

Staroście Zabielski od owój wieczornój wizyty w domku przy alei Ujazdowskiéj chodził także jakby opętany... Dowiedział się od Anny o mieszkaniu Julii, zdawało mu się, że się w niej kocha, i począł myśleć o środkach zapoznania się i zbliżenia. Anna bardzo tę myśl prędko odgadłszy, popierała ją, radząc, że i to na coś przydać się może... Ale starania Zabielskiego, aby się dostać do domku, który pani Lagrange strzegła teraz z podwójną czujnością, do niczego doprowadzić nie mogły. Wieczorami często godziny całe wartował staroście pod bramą, aby spotkać te panie wychodzące na przechadzkę, ale i to mu się nie udawało.

— Z jednéj strony starać się, aby Julię zbalamucił staroście, z drugiéj saméj się podstawić w jej miejsce, to mój plan... Nie może się nie udać! mówiła Anna.

— Musi się udać! dodawała Dziobotka.

I spiskowały zajadle...

Tego wszystkiego ofiarą padł tylko nieszczęśliwy Zabielski, któremu najprzód zapaliła się głowa, od głowy zajęło się serce, a od niego poszedł pożar dalej, tak, że biedny młodzieniec chodził jak zwarzony...

• Książę Józef łatwo się domyślił uczucia.

— Kochany starościcu, rzekł mu na ucho jednego razu na wieczorze u Potockich: przestrzegam cię, żebyś mi w drogę nie wchodził... Strzelam nieźle, i ręczę ci, że do serca człowieka, któryby mi chciał wydrzeć szczęście moje, nie chybię... Spokój téj kobiety droższy mi nad wszystko! Jeżeliś uczciwy człowiek i trochę znasz świat, nie myśl o żadnych intrygach...
à bon entendeur salut!

Ale staroście ulać się nie mógł, a niebezpieczeństwo zwiększyło tylko namiętność.

Przez czas jakiś wszystko zdawało się w zawieszeniu; roboty były tak skryte, iż nici ich prawie na wierzch się nie pokazywały. Anna dla uspokojenia księcia Józefa, który ją podejrzewał o intrygę, udawała najzupełniejszą obojętność; zmieniła tylko nieco gusta i starała się okazywać jak najskromniejszą, głośno odzywając się z upodobaniem w prostocie. Strój jej zakrawał nieco na pasterki Boucher'a i Watteau... Kwiatek we włosach, biała sukienka, wstążka gładka, ubierały wielką panią, której z tém, wyznać potrzeba, dosyć było ładnie. Ale książę zdawał się nie dostrzegać zmiany. Tymczasem niespokojny staroście pracował; głowa mu się coraz mocniej paliła... Nie mogąc dostać się do demku, w którym mieszkała Julia, przelazł przez mur o zmroku i jak złodziej wartował pod oknami, aby przez uchyloną zasłonę choć jej twarzyczkę zobaczyć. Widział ją przy robocie, gonił nadaremnie po przechadz-

kach; zbliżyć się nie mógł. Przypadek, który miesza się często do spraw ludzkich, zlitował się wreszcie nad niedolą starościca. W Warszawie bawiła u PP. Sakramentek zamieszkała stara guwernantka, która wychowywała siostrę Zabielskiego. Była to przyjaciółka ich domu; staroście czasami ją odwiedzał z polecenia matki. Raz w czasie téj krótkiej wizyty, stara poczęła się przed nim użalać na osamotnienie i nudy; starościna ją do Sakramentek wysłała, ale Francuzka nie godziła się z życiem klasztorném, tęskniła do świata i życzyła wyniść z pod klauzury.

— Gdybym znalazła siostrę moją, o której dobrze wiem, że jest w Warszawie—mówiła,—mieszkałybyśmy razem... Ale gdzie się ta Lagrange podziała, nie mogę dośledzić.

Poszukując siostry staréj guwernantki, Zabielski wpadł na trop i dowiedział się, że Lagrange mieszka przy Julce. Ostrożny, nie zawiadomił o tém od razu staréj przyjaciółki, ale obrachował, że ten zbieg okoliczności może pomódz jego zamiarom. Podjął się sam poszukiwać, pośrednictwa, i tak dostał się do domku Julii.. Wielka miłość uczyniła go zręcznym dyplomatą.. Lagrange, która także od dawna szukała siostry, dała się uwieść nadzieją znalezienia jéj i trochę o niebezpieczeństwie grożącym Julii zapomniała.

Jednego wieczoru wpadł Zabielski do Anny, z oznajmieniem, że wszystko było gotowe.

Co? zobaczymy zaraz...

Gdy Anna w prostéj białéj sukience muślinowéj siadała do powozu, Zabielski puścił się w czwał ku Mokotowu...

Piękna Anna długo szukała stanowczego środka oderwania księcia Józefa od tego dziewczęcia, które uznała pospolitą, niegodną takiego szalonego przywiązania... i sama, jak mówiła, przez czystą miłość ludzkości, chciała się poświęcić, aby wyrzeć z serca bohatera uczucie, tak szkodliwe pociągnąć mogące za sobą następstwa.

Plan, jaki ułożyła piękna pani był wcale oryginalny... Postanowiła oddać Julię jakimkolwiek bądź sposobem, a sama zająć jej miejsce. Nie wątpiła, że księżę urzawszy ją w tym domku, w stroju prostym, zniżając się dla niego i przetwarzając na prostą dziewczeczkę, gwałtownie roznamiętnić musi. Z drugiej strony starościc miał porwać Julię... Spodziewał się, że dziewczę go pokocha... Wszystko zostało ukartowane jak najlepiej. Julia wśród przechadzki miała sięść do powozu z panią Lagrange, a powóz mimo jej woli i wiedzy, uwieźć ją do domku przygotowanego przez starościca. Na nieszczęście pięknie osnute projekta, nie wiedzieć jak, zostały odkryte, choć pilnie starano się, aby w jak największej pozostały tajemnicy.

Gdy Zabielski, dawszy znać przed wieczorem Annie, sam dopadł koni i pogonił za mniemaną Julią, która uwieziona być miała, Julia tymczasem jechała za wiedzą księcia do Jabłonny... Zabielski gonił tylko powóz, w którym siedziała stara guwernantka jego siostry...

Anna pośpieszyła do tego domku, w którym marzyła już scenę z księciem, mającą być pierwszą dramatu, osnutego naprzód i pełnego wdzięku jak obrazek Bacciarellego... Dojechawszy do alei, z bijącym sercem weszła do pustego domku, który zdawał się

być przygotowanym na jój przyjęcie. Wszystko tam tchnęło ciszą, spokojem i szczęściem sielankowém, które przed chwilą z niego uleciało... Na klawikordzie leżał jeszcze otwarty zeszyt Mozarta... Bukiet pół-zwiędły stał na stoliku, książka założona wstążką białą na kominie. Anna urządziła spotkanie, obmyśliła jak miała usiąść, aby książkę od razu jój twarzy nie spostrzegł, jak miała ułożyć postawę i ręce, głowę, aby się jak najwdzięczniejszą oczom jego objawić...

Za każdym szmerem odwracała głowę i w oczach się jój ćmiło; szukała wyrazów, któremi powitać go miała... Wyobrażała sobie zdumienie, rozpromienienie, upadnienie do nóg, załamane jego ręce... piękne oczy czarne zwrócone ku niój, i... po chwili niepewności, przebaczenie, którém go po dobrej nauce moralnej obdarzyć miała.

Abyśmy następną scenę zrozumieć mogli, potrzebujemy wspomnieć o postaci, która w domu Anny najmniej była widoczna, w życiu jój bardzo podrzędną grała rolę, a przecież zwała się mężem i panem... Mąż i pan ów był w całym znaczeniu wyrazu człowiekiem swojego czasu, typem wszystkich jego wad i słabości.

Zwał się on kasztelanem, ale trudno w nim było poznać potomka hetmanów i wysokiego dostojnika Korony, tak z cudzoziemska wyglądał. Od młodu wychowany na saskim dworze, pół-cudzoziemiec, nauczył się po polsku dopiero w późniejszym wieku i mówił wcale niepoprawnie, sztukając nieustannie wyrazami których w rodowitym języku mu brakło, branemi

z niemieckiego lub francuzkiego. Europa, która młode jego wykołysała lata, napoiła go największą wzgardą dla domowego żywota, obyczajów, języka i stroju. W kraju mu się wszystko wydawało szkaradnym, śmiesznym, barbarzyńskim; prawil nieustannie o postępie, o świetle, ale zarazem dla uspokojenia sumienia uznawał, że on był, *dans les circonstances présentes*, zupełnie niepodobnym. Nim więc miała się rozpocząć praca około zupełnego przerobienia społeczeństwa na kopyto zagraniczne, kasztelan znajdował najwłaściwszém nie nie robić i bawić się.

Ożeniwszy się z Anną, równie dla jój piękności, jak dla znacznego posagu, zaraz w intercyzie przewidział możliwość rozwodu, ale unikając go, gdyż byłby mu zaszkodził wielce w kredycie i interesach, żył z żoną wedle ówczesnej najświeższej mody. Małżeństwo wprawdzie zamieszkiwało pod jednym dachem, ale miało dwa własne gospodarstwa, zupełnie oddzielne: pani swój dwór, pan swych przyjaciół, swe zajęcia... Często bardzo nie widywali się całemi tygodniami; spotykając się w gościnie, przemawiali kilka słów i rozbiegali się w różne strony, nie pytając wcale co robili. Oboje zostawili sobie zupełną swobodę... Pan miał konie, ekwipaż, apartamenta osobne; pani swe kółko, kuchnię, usługę, konie, pokoje, do których mąż się wcale nie mieszał. Oboje tylko spotykali się z rachunkami u Teppera i Kabrita, a w razach zawikłań pieniężnych, odbywali konferencyę krótką, która się kończyła wdzięcznym uśmiechem i pocałowaniem ręki... Czas gorącej namiętności przeszedł bezpowrotnie, została przyjaźń chłodna; a że pożyczcie to nie skom-

plikowało się potomstwem, nie było dziś innego węzła między nimi nad wspólne interesa i względność wzajemną. Kasztelan w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym, wykształconym, nawet rozsądnym, gdy o cudze chodziło sprawy; do swoich nie używał wcale tego chłodnego narzędzia i był posłusznym niewolnikiem chwilowych namiętności. W gruncie wyżyły i wystygły, obojętny na wszystko, prócz siebie, przez kalkulację tylko nie popełniał ani nieprzyzwoitości, ani zazdrości wielkich, które zawsze życie mąca; znajdował, że najlepszą rachubą było okazywać się o ile możności uczciwym i łagodnym człowiekiem. Lubiono go powszechnie, ale wiedzano, że na niego rachować nie można, i nie używał też wcale wziętości. W towarzystwach nieznaczącą grał rolę. Życie jego zresztą upływało, po za widocznymi szrankami urzędowej jego egzystencji, przy jakiejś Włoszce śpiewaczce, przy przyjaciółce wojewodzinie, dla której miał przywiązanie niewytlomaczone i niezrozumiałe dla nikogo, jakąś potrzebę serca, a głównie przy stołach gry, gdyż kasztelan namiętym był graczem. Ta passya pochłaniała czas, pieniądze, spokój, zdrowie, wszystko... i wprędce nawet na zdziecinnienie umysłu wpłynęła. Całe noce grano u niego, lub on grał u drugich, a często różnica w grze wynosiła tysiące dukatów. Kasztelan nie był nieszczęśliwym graczem, ale zdarzało mu się przegrywać wszystko, aż do solitera, który nosił w żabocie, i tarantowego cugu, którym jeździł.

Takim był ów mąż Anny, którego ona zwała zwykle najlepszym swym przyjacielem, ale z nim wi-

dywała się jak najmniej i jak najkrócej. Zresztą żyli z sobą w najczulszych stosunkach wygasłej miłości, zastąpionej wspomnieniami...

Kasztelan był tego wieczoru u Ponińskiego na faraonie i zabierał się grubo stawiać, gdy tajemniczym bilecikiem znać mu dano, że go ktoś nieznajomy oczekuje na drugim końcu miasta. Wcale to było mu nie na rękę, ale bilecik zakrawał na awanturkę kobiecą, a kasztelan łakomy był na tego rodzaju coraz nowe przygody. Posadziwszy na swém miejscu stryjecznego brata, siadł do karety i poleciał do fórtki, którą mu nieznajomy człowiek, oddawca listu, miał wskazać...

Napróżno go rozpytywał, posłaniec milczał jak mur... Galopem jechali w aleje...

— Ani chybi, pewnie się komuś zamarzyło ostrzedz mnie o jakiś niewierności mojej Marynety, jak gdybym ja się tego nie domyślał i nie przeczuwał... O! co to za śmieszni ludzie!.. Albo może Rozyna mnie wabi; bo ostatnim razem w teatrze rzuciła na mnie wzrokiem pełnym obietnic najślodszych...

Kasztelan w tych domysłach dojechał do fórtki i wszedł do ogródka, przez który go przeprowadzono. Gałęzie drzew pomięły mu nieco fryzurę i podrapały suknie; wilgoć dała się czuć przez delikatne trzewiki, i z ciekawością gorącą wszedł do pokoiku...

Jedna świeca woskowa mdle po nim rozlewała światelko. W kątku odsuniona nieco ode drzwi,

w białej sukni ukazywała się siedząca postać kobieca... nikogo więcej.

Była to, jak się łatwo domyślić można piękna Anna, która w przychodzącym spodziewała się ujrzeć księcia Józefa. Serce jój biło mocno; chciała co najrychlej zwrócić głowę i wahała się jeszcze... Kasztelan wchodził na palcach, oglądając się.

— Sama! a więc *rendez vous*... Ale to nie Rozyna! Któż to być może?

I zbliżał się na palcach...

— Prześliczna figura!... co za rączki!

Piękna Anna obejrzała się w tej chwili, i kasztelan zdrętwiał ze zdziwienia, postrzegłszy... własną żonę... Przestрах i zdumienie Anny niemniejsze było; ale w téjże chwili zręczna kobieta zmierzyła myślą swe położenie, przeczuła krwawego figła, jakiego jój wyznaczono, i postanowiła wyjść z niego zwycięzko. Twarz jój na chwilę tylko uległa wrażeniu trwogi i niepewności; siłą woli wywołała na nią zaraz uśmiech, który rozległ się wesołą i doskonale odegraną radością...

— A kasztelanie! zawołała: jużes też tak o mnie zapomniał, żem musiała aż do figła się uciec, aby cię tu zwabić... i choć chwilę sam na sam z tobą przepędzić... Nie prawdaż? doskonała sztuka!

Kasztelan jeszcze nie mógł przyjść do siebie; twarz jego z trudnością rozjaśniła się; pocałował w rękę żonę, która drżała jak on, i usiadł przy niej ocierając pot z czoła...

— *Ah! c'est parfait!* zawołał z przymuszonym grymasem.

— O! pomszczę się! pomszczę! cicho szepnęła Anna...

Cała Warszawa nazajutrz podawała sobie na ucho zabawną historję téj niespodzianki.

Równie wielkiego doznał zdziwienia staroście, gdy w urządzonym wykwintnie domku zamiast Julii zastał starą guwernantkę swéj siostry, naiwnie przyjmującą cały ten zachód na swój rachunek, jako dowód wdzięczności rodziny. Z początku stał chwilę, gryząc sobie usta, blizkim był wybuchu, ale zmiarkował, że w takich razach lepiej jest i rozumniej pogodzić się z losem i z uśmiechem przyjąć jego igraszkę...

— Jest to zdrada, której nie daruję nigdy! Jutro całe miasto szydzić będzie ze mnie... Stanę się pośmiewiskiem... to szkaradnie... to ohydnie...

Rozplakana Francuzka, błogosławiąc go i okrywając epitetami najwyszukańszymi, pełna wdzięczności, której tak niespodziany odebrała dowód, wstrzymała starościca, przyjmując go jakby u siebie i nie dając mu się wyrwać przykrym oświadczeniom, na które czuł, że wcale nie zasługiwał...

Nareszcie napiwszy się herbaty, zamysłony, kwaśny, ale znacznie ostygły, Zabielski powrócił do Warszawy. Kazał pakować natychmiast i o świcie wyruszył do Paryża, nie pokazując się już nigdzie...

O Julii i o księciu wszyscy jakoś mówić przestali...

Nazajutrz, jak zwykle, księżę pokazał się w swym ekwipażu w alejach, wesoly, spokojny, piękny jak

*

Apollo. Oddał wizytę Annie, której w domu nie zastał; był u Dziobatój, która go przyjęła, mówiąc mu o polityce, o wojnie, o przyszłym sejmie, i pożegnała ceremonialnie; odwiedził na ostatku kasztelana winszując mu zbliżenia się do żony, co ten przyjął dosyć ozięble...

Wieczorem widziano go na reducie.

W rok potém... książę Józef zniknął na dni kilka z Warszawy, i powrócił blady, smutny, cierpiący... Domyślano się jakichś cierpień serdecznych, ale najgłębsza tajemnica okrywała jego czynności...

Na Powązkowskim cmentarzu spostrzeżono go wkrótce potém, przy poświęceniu grobowca skromnego, który nie wiadomo czyje pokrywał zwłoki. Składał się on ze złamanej kolumny, owitój bluszczem; na tablicy u spodu stało jedno imię tylko:

J U L I A.

Zmarła dnia... roku 178..

Znajdziemy się za światem!

SPIS RZECZY.

	Str.
Półdyablę Weneckie	3
Pomywaczka	231



